

COŚ O TOBIE

I COŚ O MNIE

JULIE BUXBAUM

J U L I E B U X B A U M

COŚ O TOBIE
I COŚ O MNIE

Przełożyła z angielskiego
Donata Olejnik



SPIS TREŚCI

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Drodzy Czytelnicy!

Podziękowania

Przypisy

Dla moich E. i L.:
Kocham Was jak stąd do Księżyca i z powrotem, z powrotem, z powrotem.
Ad infinitum

ROZDZIAŁ 1

Siedemset trzydzieści trzy dni po śmierci mojej mamy, czterdzieści pięć dni po tym, jak mój ojciec związał się z obcą kobietą, którą poznał przez Internet, trzydzieści dni po naszej przeprowadzce do Kalifornii i zaledwie siedem dni po rozpoczęciu nauki w trzeciej klasie zupełnie nowej szkoły, w której znam w przybliżeniu zero osób, dostaję nagle maila. Anonimowa wiadomość wyskakująca ni z tego, ni z owego w mojej skrzynce odbiorczej, podpisana dziwnym pseudonimem Ktoś Nikt, byłaby zjawiskiem absolutnie zaskakującym, tyle że ostatnio niczego już nie poznaję w swoim życiu, więc nic mnie naprawdę nie szokuje. Potrzebowałam całych siedmiuset trzydziestu trzech dni, podczas których czułam się całkowitym zaprzeczeniem normalności, żeby odkryć bardzo ważną rzecz: można się uodpornić na dziwaczność.

Od: Ktoś Nikt (ktosnikt@gmail.com)

Do: Jessie A. Holmes (jesster567@gmail.com)

Temat: twój przewodnik duchowy po szkole Wood Valley

dzień dobry, panno Holmes. nie spotkaliśmy się w realu i nie jestem pewien, czy to kiedykolwiek nastąpi. to znaczy zapewne tak – może zapytam Cię o godzinę czy coś równie prozaicznego poniżej godności nas obojga – ale nigdy nie poznamy się tak naprawdę, w znaczący sposób... i dlatego uznałem, że napiszę do Ciebie maila pod osłoną anonimowości.

tak, tak. wiem. szesnastolatek właśnie użył określenia „osłona anonimowości”. to powód #1, dla którego nigdy Ci nie zdradzę, kim jestem. nie przeżyłbym zawstydzenia swoją pretensjonalnością.

„osłona anonimowości”? naprawdę to napisałem?

i owszem, zdaję sobie także sprawę, że większość osób na moim miejscu wysłałaby Ci SMS-a, ale nie miałem pojęcia, jak to zrobić, nie zdradzając jednocześnie swojej tożsamości.

przyglądałem Ci się w szkole, ale nie w podejrzany sposób. chociaż zaczynam się zastanawiać, czy używając słowa „podejrzany”, nie zaczynam się robić podejrzany. nieważne. w każdym razie... zaintrygowałaś mnie. zapewne zdążyłaś już zauważyć, że nasza szkoła to ziemia jałowa pełna jasnowłosych Barbie i Kenów o pustym wzroku. jest w Tobie coś... nie tyle powiew świeżości – chociaż faktycznie, wszyscy chodzimy razem do szkoły, odkąd skończyliśmy pięć lat – ale sposób, w jaki się poruszasz i mówisz, czy raczej nas obserwujesz. jakbyśmy stanowili część dziwnego programu dokumentalnego National Geographic. to daje mi nadzieję, że może jesteś inna niż ta cała banda idiotów w szkole. a także sprawia, że chciałbym się dowiedzieć, co dzieje się w Twojej głowie.

nie będę owijał w bawełnę: zwykle nie interesuje mnie zawartość cudzych głów. moja własna daje mi dosyć do myślenia.

piszę tego maila, żeby zaproponować Ci swoją wiedzę i doświadczenie. przykro mi, że przynoszę złe wieści: nawigowanie po dzikich ostępach Wood Valley High School nie jest łatwym zadaniem. nasza szkoła może wygląda zachęcająco dzięki kącikom do jogi, medytacji i czytania oraz kafejce (przepraszam: Cafejce Cawowej), ale – jak każda inna placówka edukacyjna w Stanach – to jedna wielka strefa wojenna.

tym samym oferuję się jako Twój duchowy przewodnik. pytaj, o co chcesz (oprócz moich danych, ma się rozumieć), a ja postaram się rozwiać wszystkie Twoje wątpliwości: z kim warto się przyjaźnić (lista będzie krótka), od kogo trzymać się z daleka (dłuższa lista), dlaczego nie powinnaś jeść wegetariańskich burgerów w naszej stołówce (historia, której wcale nie chcesz znać, ze spermą w roli głównej), jak dostać A na lekcji z panią Stewart i dlaczego lepiej nie siadać obok Kena Abernathy'ego (problem ze wzdęciami). ach, uważaj też na wufie. pan Shackleman każe ładnym dziewczynom robić dodatkowe okrążenia, żeby móc przyglądać się ich tyłeczkom.

to chyba wystarczy na początek. a tak poza tym – witaj w dżungli.

z wyrazami szacunku

Ktoś Nikt

.....

Od: Jessie A. Holmes (jesster567@gmail.com)

Do: Ktoś Nikt (ktosnikt@gmail.com)

Temat: Wyrafinowany żart?

Czy to mail na serio? Czy może kiepski dowcip na powitanie rodem z idiotycznej komedii romantycznej? Zamierzasz wydobyć ze mnie podstępem moje najgłębsze, najbardziej skryte myśli/lęki, a potem, kiedy się tego zupełnie nie będę spodziewać – BAM! – zamieścisz je na Tumblr i stanę się pośmiewiskiem szkoły? Jeśli tak, trafiłeś pod niewłaściwy adres. Mam czarny pas w karate, potrafię o siebie zadbać.

A jeśli to nie jest kawał, dziękuję za propozycję, ale nie skorzystam. Kiedyś chciałabym zostać dziennikarką, więc chyba powinnam się przyzwyczajać do stref wojennych. Zresztą pochodzę z Chicago, chyba dam sobie radę z Wood Valley.

.....

Od: Ktoś Nikt (ktosnikt@gmail.com)

Do: Jessie A. Holmes (jesster567@gmail.com)

Temat: to nie jest żart. ani wyrafinowany, ani prostacki

przyrzekam, że to nie żart. i chyba nigdy nie oglądałem żadnej komedii romantycznej. wiem, to szokujące. pozostaje mi mieć nadzieję, że to nie jest św
zdajesz sobie sprawę, że dziennikarstwo to wymierający zawód? może powinnaś planować karierę

wojennej blogerki?

.....

Od: Jessie A. Holmes (jesster567@gmail.com)

Do: Ktoś Nikt (ktosnikt@gmail.com)

Temat: Spersonalizowany spam?

Bardzo zabawne. Ale, ale: naprawdę burgery warzywne zawierają spernę?

.....

Od: Ktoś Nikt (ktosnikt@gmail.com)

Do: Jessie A. Holmes (jesster567@gmail.com)

Temat: Jessie Holmes, właśnie wygrałaś sto milionów dolarów od nigeryjskiego księcia

nie tyle sperma, ile sperma spoconego zawodnika lacrosse.

na Twoim miejscu unikałbym także pieczeni. a najlepiej w ogóle trzymaj się z daleka od stołówki.
bo tylko się zarazisz salmonellą.

.....

Od: Jessie A. Holmes (jesster567@gmail.com)

Do: Ktoś Nikt (ktosnikt@gmail.com)

Temat: Już wysyłam mój numer konta

Kim jesteś?

.....

Od: Ktoś Nikt (ktosnikt@gmail.com)

Do: Jessie A. Holmes (jesster567@gmail.com)

Temat: poproszę także o kopię aktu urodzenia i prawa jazdy

o nie, nie. nie ma mowy.

.....

Od: Jessie A. Holmes (jesster567@gmail.com)

Do: Ktoś Nikt (ktosnikt@gmail.com)

Temat: Podejrzewam, że będzie Ci jeszcze potrzebny mój numer ubezpieczenia, prawda?

No dobrze. To powiedz mi chociaż jedno: o co chodzi z brakiem wielkich liter? Nie działa Ci Shift?

.....

Od: Ktoś Nikt (ktosnikt@gmail.com)

Do: Jessie A. Holmes (jesster567@gmail.com)

Temat: oraz wzrost i waga

śmierdzące lenistwo

.....

Od: Jessie A. Holmes (jesster567@gmail.com)

Do: Ktoś Nikt (ktosnikt@gmail.com)

Temat: WRESZCIE zaczynasz pisać o sobie

Leniwy, ale wygadany. Interesująca kombinacja. A jednak zadajesz sobie trud, żeby nazwy własne i zaimki pisać wielką literą?

.....

Od: Ktoś Nikt (ktosnikt@gmail.com)

Do: Jessie A. Holmes (jesster567@gmail.com)

Temat: i nazwisko panięńskie matki

nie jestem aż takim profanem

.....

Od: Jessie A. Holmes (jesster567@gmail.com)

Do: Ktoś Nikt (ktosnikt@gmail.com)

Temat: Leniwy, wygadany ORAZ wścibski

„Profan” to wielkie słowo jak na nastolatka.

.....

Od: Ktoś Nikt (ktosnikt@gmail.com)

Do: Jessie A. Holmes (jesster567@gmail.com)

Temat: Leniwy, wygadany, wścibski i... przystojny

nie tylko to mam wie... uff. w ostatniej chwili się powstrzymałem przed niewybrednym i bardzo oczywistym żartem. nieźle mnie podpuściłaś.

.....

Od: Jessie A. Holmes (jesster567@gmail.com)

Do: Ktoś Nikt (ktosnikt@gmail.com)

Temat: Leniwy, wygadany, wścibski i... jaki skromny

Wielkie? Nie wątpię.

.....

Tak to właśnie jest z korespondencją mailową. W życiu nie powiedziałabym czegoś podobnego w cztery oczy – czegoś tak prymitywnego, z podtekstem. Nie jestem dziewczyną zdolną do takich żartów. W towarzystwie przedstawiciela gatunku męskiego nie potrafię flirtować, nie zarzucam włosów na plecy, a gdyby już do czegoś doszło, nie wyszłabym poza pocałunki. (Gwoli wyjaśnienia: potrafię całować. Nie twierdzę, że zdobyłabym w tej kategorii tytuł mistrzowski czy olimpijskie złoto, ale wiem, że nie jestem aż taka kiepska. Moja wiedza wynika z porównania. Adam Kravitz. Pierwsza klasa liceum. On: ze złością, z dużą ilością śliny, z językiem poruszającym się rytmicznie, jak zombie próbujący odgryźć mi głowę. Ja: bardzo chętna, trzy dni obtartej skóry na twarzy).

E-maile są jak diagnoza ADHD. Gwarantują więcej czasu na egzaminie. W prawdziwym życiu zawsze po fakcie przeredaguję w myślach każdą rozmowę, poprawiam tak długo, aż uzyskam błyskotliwe, beztrudne i swobodne odpowiedzi – coś, co innym dziewczynom przychodzi zupełnie naturalnie. Oczywiście to całkowita strata czasu, ponieważ jest już za późno. Gdybym przedstawiła swoje życie za pomocą zbiorów, wyimaginowana ja oraz prawdziwa ja nie miałyby ani jednego punktu wspólnego. Ale w korespondencji mailowej i SMS-ach mam dodatkowy czas, który jest mi potrzebny, żeby zaprezentować lepszą, dopracowaną wersję siebie. Żeby być dziewczyną z tej cudownej części wspólnej obu zbiorów.

Dociera do mnie, że powinnam być ostrożniejsza. „Wielkie? Nie wątpię”. Naprawdę tak napisałam? Nie wiem, czy zabrzmiałam bardziej jak młody cwaniaczek, czy jak dziwka. W każdym razie nie jak ja.

Co gorsza, nie mam nawet pojęcia, do kogo piszę. To mało prawdopodobne, żeby K/N rzeczywiście był dobrą duszą, której zrobiło się żal „nowej”. Albo moim cichym wielbicielem – bo oczywiście moja wyobraźnia natychmiast powędrowała w stronę takiej hipotezy, zapewne w rezultacie wielu godzin pochłaniania komedii romantycznych i czytania książek o mało realistycznych fabułach. A jak sądzicie, dlaczego pocałowałam Adama Kravitza? Mieszkał po sąsiedzku w Chicago. Czy jest jakaś lepsza historia niż opowieść o dziewczynie, która odkrywa, że prawdziwa miłość od dawna czeka na nią za rogiem? Oczywiście mój sąsiad okazał się zaślinionym zombiakiem, ale to nieważne. Człowiek uczy się przez całe życie.

K/N to z pewnością tylko czyjś okrutny żart. Pewnie to nawet nie chłopak, tylko jakaś wredna dziewczyna pastwiąca się nad słabszymi. Bo spójrzmy prawdzie w oczy: jestem słaba. Może nawet żaloszna. Skłamałam. Nie mam czarnego pasa w karate. Nie jestem twarda, chociaż jeszcze do ubiegłego miesiąca byłam przekonana, że owszem. Co prawda życie mnie nie rozpieszczęło, a raczej

obdarowywało głównem, ale brałam je na klątę, że tak połączę metafory. Choć nie zawsze, bo czasem czułam się, jakby mi coś rzeczywiście narobiło na serce. Jedynym powodem do dumy było to, że nikt nie widział moich łez. A potem zostałam uczennicą Wood Valley High School, która mieści się w rejonie Valley należącym do Los Angeles, a jednocześnie nienależącym – czy jakoś tak – ponieważ mój ojciec ożenił się z bogatą babką pachnącą wykwinicie migdałami, sok kosztuje tu aż dwanaście dolarów i sama nie wiem. Już po prostu nic nie wiem.

Jestem jak zwykle zagubiona, zdezorientowana i samotna. Nie, nie zachowam ciepłych wspomnień ze szkoły średniej. Mama powiedziała mi kiedyś, że ludzie dzielą się na dwie grupy: tych, którzy uwielbiają swoje lata szkolne, i tych, którzy przez kolejną dekadę dochodzą po nich do siebie. Co cię nie zabije, to cię wzmocni, mawiała.

A jednak ją coś zabiło, a ja wcale nie jestem wzmocniona.

Może istnieje jeszcze trzecia grupa, do której ja należę: ludzie, którzy nigdy nie dochodzą do siebie po pobycie w szkole średniej.

iadectwo jakiejś ułomności mojego charakteru.

ROZDZIAŁ 2

No i trafiłam na jedyną rzecz, której nie da się wygugłać: kim jest Ktoś Nikt? Tydzień po otrzymaniu pierwszego tajemniczego maila nadal nie mam pojęcia. A ja lubię wiedzieć. Wszystko. Najlepiej z wyprzedzeniem, żebym miała odpowiednio dużo czasu na przygotowania.

Najwyraźniej jedyną opcją jest zabawa w cholernego Sherlocka.

Zacznijmy od dnia #1, straszego pierwszego dnia szkoły. Był okropny, ale gwoli sprawiedliwości pewnie nie bardziej niż każdy inny dzień, odkąd zmarła moja mama. Bo od czasu jej śmierci każdy dzień jest dniem bez niej. Straszne. Czas wcale nie leczy ran, bez względu na to, czym mamia kupione w księgarni kartki z życzeniami wypisanymi pospiesznie przez dalekich krewnych. A jednak tego pierwszego dnia szkoły najwyraźniej musiała nastąpić chwila, w której wysłałam w eter żalose wibracje z gatunku „Pomocy!” i Ktoś/Nikt mnie zauważył. Chwila, w której miałam wypisane na twarzy wielkimi literami: „Moje życie jest do dupy”.

Jednak określenie, kiedy to się stało, nie jest takie łatwe, ponieważ ten pierwszy dzień obfitował w wyjątkowo żenujące momenty, mam więc z czego wybierać. Po pierwsze, spóźniłam się na lekcje – przez Theo. Theo to mój „nowy brat” – syn żony mojego ojca – który, h u r r a a a!, też chodzi do trzeciej klasy i podszedł do kwestii całej tej patchworkowej rodziny w ciekawy sposób: udał, że nie istnieję. Nie wiedzieć czemu doznałam przejściowego zaćmienia umysłu i założyłam, że skoro mieszkamy w tym samym domu i chodzimy do tej samej szkoły, pojedziemy do niej razem. Skądże. Jak się okazuje, Theo nosi koszulkę z napisem: „Jestem ekoprzyjazny” wyłącznie dla szpanu i nie musi zaprzętać swojej ślicznej główki takimi drobiazgami jak koszt paliwa. Jego mama prowadzi wielką firmę zajmującą się promocją filmów, a w ich domu (może i ja w nim teraz mieszkam, ale to na pewno nie jest m ó j d o m) jest nawet biblioteka. Oczywiście wypełniona filmami, a nie książkami, ponieważ to Los Angeles. Ostatecznie więc pojechałam do szkoły własnym samochodem i utknęłam w koszmarnym korku.

Kiedy wreszcie dotarłam do Wood Valley High School – wjechałam przez onieśmielającą wielką bramę, znalazłam wolne miejsce na olbrzymim parkingu pełnym luksusowych wozów, po czym przeszłam kawał pieszo – sekretarka skierowała mnie w stronę grupki siedzącej w kółku na trawniku. Miałam wrażenie, że to obóz oazy czy coś podobnego, bo obok leżało kilka gitar. *Kumbaya, my Lord*, przybądź, Panie, i te sprawy. Jak się okazuje, wrześnieowa lekcja na niemożliwie zielonej trawie, wśród kwitnących za plecami drzew, to tylko w Erze i w Los Angeles.

W ciemnych dzinsach zaczynałam się czuć niekomfortowo. Było mi gorąco, a do tego nie mogłam opanować zdenerwowania i stresu związanego z wariacką jazdą. Wszystkie inne dziewczyny miały na sobie lekkie, jasne sukienki na cienutkich ramiączkach, które podkreślały drobne ramiona.

Oto pierwsza różnica między Los Angeles a Chicago: wszystkie dziewczyny są tu chude i półnagie.

Lekcja już dawno się zaczęła, a ja stałam jak kretyńka, zastanawiając się, jak dołączyć do grupy. Wszyscy zabierali głos po kolei, zgodnie z ruchem wskazówek zegara, i opowiadali reszcie, co robili w wakacje. Ostatecznie klapnęłam pomiędzy dwoma wysokimi chłopakami z nadzieją, że już powiedzieli, co mieli do powiedzenia, i jakoś uda mi się wyłgać.

Oczywiście wybrałam fatalnie.

– Cześć wszystkim. Caleb – oznajmił władczym tonem chłopak siedzący przede mną. Chyba zakładał, że wszyscy wiedzą, jak ma na imię. Podobał mi się ten ton, pewny siebie, zupełne przeciwieństwo tego, jak się czułam. – W wakacje pojechałem do Tanzanii. Świetna sprawa. Najpierw weszliśmy całą rodziną

na Kilimandżaro i przez dwa tygodnie nie czułem nóg. A potem zgłosiłem się jako wolontariusz do budowy szkoły w afrykańskiej wiosce. No wiecie, żeby dać też coś od siebie. Ogólnie rzecz biorąc, to były fantastyczne wakacje, ale cieszę się, że wróciłem. Brakowało mi kuchni meksykańskiej. – Kiedy skończył, zaczęłam klaskać – na litość boską, przecież wszedł na K i l i m a n d ż a r o i b u d o w a ł s z k o ł ę, wypadło bić brawo – ale przestałam, ledwo tylko zdałam sobie sprawę, że nikt do mnie nie dołączył.

Caleb miał na sobie gładki popielaty T-shirt i markowe džinsy. Był przystojny, ale nie onieśmiał. Miał na tyle pospolite rysy, że mogłabym się z nim kiedyś – b y ć m o ż e! no dobrze, pewnie nie – umówić. Niezupełnie przystępny, zbyt seksowny jak dla mnie, ale w końcu mogę się chyba chociaż przez chwilę ponapawać taką fantazją.

Następny w kolejce był kudłaty chłopak siedzący tuż przede mną. On też był słodki, prawie tak samo jak jego kolega.

Hm. Może jednak zaskoczę sama siebie i zacznie mi się tu podobać? Jeśli nie jest mi pisane świetne życie w realu, to może chociaż odbiję sobie w wyobraźni.

– Jak wiecie, mam na imię Liam. Pierwszy miesiąc wakacji spędziłem na stażu w Google w Bay Area. Było super, już sama ich stołówka warta była podróży. A przez większość sierpnia włóczyłem się z plecakiem po Indiach. – On też miał fajny głos. Melodyjny.

– Z plecakiem, akurat! – odezwał się Caleb, ten gość od Kilimandżaro, a reszta klasy z nauczycielem włącznie wybuchnęła śmiechem. Tylko ja się nie śmiałam, ponieważ – jak zwykle – zareagowałam z opóźnieniem. Byłam zbyt zajęta główkowaniem, w jaki sposób uczeń szkoły średniej może zdobyć staż w Google, i uświadamianiem sobie, że jeśli wszystko tak tu wygląda, to w życiu nie dostanę się na studia. No dobrze, przyznam się, że jednocześnie obserwowałam tych dwóch chłopaków, rozmyślając, jacy naprawdę są. Caleb, pomimo całej tej wspinaczki na Kilimandżaro, wydawał się grzeczny i schludny, z kolei Liam wyglądał bardziej luzacko, hipstersko. Interesujące połączenie. Yin i yang.

– No dobra, bez plecaka. Rodzice nie pozwolili mi jechać, dopóki nie obiecałem, że będę nocował w porządnym hotelu. No wiecie, zatrucia pokarmowe i te sprawy. Ale i tak czułem, że naprawdę poznałem tamtejszą kulturę, i zyskałem świetny materiał na podanie na studia, a o to przecież chodziło – wyjaśnił Liam. Teraz już byłam mądra i nie wyrywałam się z oklaskami.

– A ty? Jak masz na imię? – zapytał nauczyciel. Później się dowiedziałam, że to właśnie pan Shackleman od wufu, prze

Nie miałam pojęcia, dlaczego musi pokazywać na mnie palcem, ułatwiając wszystkim gapienie się, ale dobrze, tłumaczyłam sobie, że to nic takiego. W końcu to zadanie godne pierwszej klasy podstawówki: Co robiłam w wakacje. Nie było żadnego powodu, dla którego miałyby mi się trząść ręce, a puls gnać jak szalony; żadnego powodu, dla którego miałabym doznawać ostrej niewydolności krążenia. Znałam dobrze pierwsze sygnały, widziałam je w reklamach. Każdy uczeń wbijał teraz we mnie wzrok, łącznie z Calebem i Liamem, którzy przyglądali mi się z rozbawieniem i podejrzliwością. A może zainteresowaniem. Sama nie wiem.

– Eee, jestem Jessie. Jestem tu nowa. W wakacje nie robiłam nic ciekawego. To znaczy... przeprowadziłam się tutaj z Chicago, a wcześniej... eee... pracowałam w... eee... Smoothie King w centrum handlowym. – Nikt nie był aż tak chamski, żeby zaśmiać mi się prosto w twarz, ale widziałam w ich oczach czyste współczucie. Oni budowali szkoły, podróżowali po świecie, odbywali staże w korporacjach wartych miliardy dolarów.

Ja spędziłam dwa miesiące, mieszając syrop kukurydziany.

Z perspektywy czasu uważam, że powinnam była skłamać i powiedzieć, że pojechałam na Madagaskar i pomagałam sierotom z porażeniem mózgowym.

Nikt by nawet nie mrugnął.

Ani nie zaklaskał, jeśli już o tym mowa.

– Chwileczkę. Nie mam cię na liście – oznajmił pan Shackleman. – Chodzisz do czwartej klasy?

– Eee... nie – odparłam, czując, jak krople potu wzbierają mi u nasady włosów i zaczynają ściekać po twarzy. Szybka analiza: co zwróci większą uwagę na nadmierną ilość wydzieliny – to, że ścieram pot, czy to, że go zostawiam? Wytarłam.

– Trafiałaś do niewłaściwej klasy – powiedział nauczyciel. – Chyba nie wyglądam jak pani Murray, co? – Ten kiepski żart wzbudził jednak śmiech. A dwadzieścia pięć twarzy znów się obróciło w moją stronę i mierzyło mnie wzrokiem. I to dosłownie, bo niektóre z tych twarzy wyraźnie oceniały moje wymiary. – Masz lekcje w środku.

Pan Shackleman wskazał na budynek główny, więc musiałam wstać i odejść, a cała klasa, łącznie z nauczycielem, łącznie z wartymi fantazjowania Calebem i Liamem, patrzyła, jak odchodzimy: ja oraz mój tyłek. Dopiero później, kiedy już dotarłam do właściwej sali i musiałam od nowa brnąć przez całą tę wakacyjną farsę przed kolejną grupą dwudziestu pięciu osób – i ponownie wypowiedzieć słowa „Smoothie King” ku podobnemu zbulwersowaniu całej klasy – dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że do tyłka przykleiła mi się całkiem spora kępa trawy.

Ile osób mogło wyczuć moją rozpacz? Co najmniej pięćdziesiąt, przy założeniu optymistycznym, które wybrałam, żeby poczuć się ciut lepiej.

Czyli K/N może być kimkolwiek.

Teraz, całe czternaście dni później, stoję w stołówce z moją idiotyczną śniadaniówką z szarego papieru i rozglądam się po nowym terytorium – wszystko tu jest takie błyszczące i k o s z t o w n e (uczniowie jeżdżą prawdziwymi beemkami, a nie starymi fordami focusami z naklejonym logo BMW, które kupili na eBayu) – nie mając pojęcia, dokąd iść. Przedemną problem, z którym boryka się każdy nowy uczeń w każdej szkole: nie mam z kim usiąść.

Nie ma mowy, żebym dołączyła do Theo, mojego przyszywanego brata. Gdy raz rzuciłam mu „cześć” na korytarzu, zmierzył mnie tak intensywnie pustym spojrzeniem, że teraz już nawet nie patrzę w jego stronę. Trzyma z niejaką Ashby (naprawdę tak ma na imię), która wygląda jak modelka na wybiegu – ostry makijaż goth, designerskie ciuchy, które sprawiają wrażenie szalenie niewygodnych, niezbyt wyraziste rysy twarzy, różowy język na głowie. Odnoszę wrażenie, że Theo należy do najpopularniejszych uczniów w szkole – kiedy idzie korytarzem, prawie ze wszystkimi przybija żółwika – co jest dziwne, bo to typ gościa, który w mojej starej szkole w Chicago byłby ofiarą kpin. I nie dlatego, że jest gejem – w końcu moi dawni koledzy nie byli homofobami – ale ponieważ jest przerysowany. Teatralny. Wszystko, co robi, wygląda sztucznie, oczywiście nie licząc kontaktów ze mną.

Poprzedniego dnia wpadłam na niego przed snem. Miał na sobie jedwabną bonzurkę – niczym model z reklamy wody kolońskiej. Owszem, moje policzki były wysmarowane maścią cynkową i cuchnęłam olejkiem z drzewa herbacianego, niczym idiotyczna parodia pryszczatej nastolatki, ale i tak miałam w sobie dość przyzwoitości, by nie udawać, że nie ma nic dziwnego w tym, że nasze losy nagle i bez naszej zgody się ze sobą splotły. Powiedziałam „dobranoc” najuprzejmiej, jak potrafiłam, ponieważ nie widzę sensu w chamstwie. W końcu to nie unieważni ślubu naszych rodziców. Theo wydał z siebie eleganckie prychnięcie z czytelnym przekazem: „Ty i ten twój ojciec naciągacz powinniście wynosić się czym prędzej z mojego domu”.

Nie miał racji. Mój tata nie jest zainteresowany pieniędzmi jego mamy. Ale rzeczywiście, p o w i n n i ś m y wyjechać. Jeszcze dzisiaj wsiąść do samolotu i wrócić do Chicago, chociaż to niemożliwe. Nasz dom został sprzedany, pokój, w którym spałam przez calutkie moje życie, teraz służy jakiejś siedmiolatce i mieści kolekcję jej lalek. Przepadł, a razem z nim wszystko, co było mi bliskie.

W przerwie obiadowej chciałam zaszyć się z kanapką z masłem orzechowym i dżemem w bibliotece, ale

moje plany pokrzyżowała tabliczka z zakazem wnoszenia jedzenia. Szkoda, ponieważ mają tu świetną bibliotekę. Jak dotąd to jedyna rzecz, którą uważam za lepszą od tego, co było w mojej starej szkole. (W której w zasadzie nie mieliśmy biblioteki. Zaledwie kantorek na książki, przez większość uczniów wykorzystywany do schadzek. No ale to była szkoła publiczna. Ta kosztuje pierdylion dolarów rocznie, co sponsoruje nowa żona mojego taty). Według informatora szkolnego bibliotekę ufundowała jakaś gruba ryba o znanym nazwisku. Nawet krzesła są tu wyszukane, normalnie żywcem przeniesione z ekskluzywnych magazynów z projektami wewnątrz, które nowa małżonka mojego ojca porozkładała strategicznie w różnych miejscach domu. „Porno designerskie”, tak je nazywa, a potem śmieje się nerwowo, dzięki czemu wiem, że rozmawia ze mną tylko dlatego, że musi.

Nie będę jadła w łazience, ponieważ tak robią najbardziej żałosne osoby w książkach i filmach, a poza tym uważam, że to ohyda. Szkolni hippisi opanowali trawnik na tyłach budynku, a ja nie zamierzam poświęcać własnych płuc na ołtarzu udawanych przyjaźni. No i jest jeszcze ta dziwna Cafejka Cawowa, która w sumie mi bardzo podchodzi, mimo idiotycznej nazwy (dlaczego „C”?). Jednak bez względu na to, jak szybko docieram do niej po matematyce, oba wygodne fotele są zawsze zajęte. Na jednym przesiaduje dziwny chłopak, który codziennie przychodzi w tej samej koszulce z Batmanem i w czarnych obcisłych dżinsach, i czyta jeszcze grubsze książki niż ja. (Tylko czy naprawdę? Może to tylko rekwizyty? W końcu kto czytuje Sartre’a dla przyjemności?) Drugi zajmuje grupka zmieniających się dziewczyn, głośnych i rozchichotanych, nieustannie flirtujących z Batmanem, który w rzeczywistości ma na imię Ethan. Wiem o tym tylko dlatego, że mamy razem angielski. (Pierwszego dnia dowiedziałam się, że lato spędził jako wolontariusz na obozie muzycznym dla dzieci autystycznych. W każdym razie nie stał przy blenderze. Jeden plus: nie spojrzął na mnie z litością jak cała reszta klasy, gdy opowiadałam o moich superprzygodach ze smoothie, ale to dlatego, że w ogóle na mnie nie spojrzął).

Mimo że dziewczyny stają na głowie, Batman nie jest nimi zainteresowany. Ogranicza się do niezbędnego minimum – połowiczny uścisk, zbycie słowem, brak kontaktu wzrokowego – a po każdej takiej interakcji jakby kurczy się w sobie, najwidoczniej ten wysiłek sporo go kosztuje. (Jak się okazuje, w tej szkole wszyscy się ściskają i całują w oba policzki, jakby byli dwudziestodwuletnimi mieszkańcami Paryża, a nie szesnastolatkami ze Stanów, dość nieśmiałymi i niezręcznymi w ważnych sytuacjach). Nie rozumiem, po co one ciągle do niego przyłazą, za każdym razem takie rozbawione, jakby pobyt w szkole średniej przysparzał im t y l e r a d o ś c i! Czy naprawdę trzeba powtarzać głośno, że dla większości z nas s z k o ł a ś r e d n i a n i e m a n i c w s p ó l n e g o z r a d o ś c i ą? W r ę c z p r z e c i w n i e!

Jestem ciekawa, jak to jest posługiwać się wyłącznie stopniem najwyższym przymiotnika, jak te dziewczyny: „Och, Ethan, jesteś najzabawniejszy! Po prostu najzabawniejszy!”.

– Potrzebujesz świeżego powietrza. Chodź z nami, Eth – mówi blondynka i mierzwi mu włosy, jakby był małym, nieposłusznym dzieckiem. Flirtowanie szesnastolatków wygląda tak samo w Los Angeles i Chicago, ale powiedziałabym, że dziewczyny są tu jeszcze głośniejsze, jakby sądziły, że istnieje zależność między natężeniem dźwięku a zainteresowaniem płci przeciwnej.

– Nie, nie dzisiaj – odpowiada Batman uprzejmie, ale chłodno. Ma ciemne włosy i niebieskie oczy. Ładny, jeśli kogoś pociągają chłopcy w typie „mam w dupie swój wygląd”. Rozumiem, dlaczego ta dziewczyna zmierzwiła mu włosy: są gęste i kuszące.

On jednak wydaje się nieprzyjemny. Albo smutny. A może i jedno, i drugie. Jakby też odliczał dni do zakończenia nauki i nawet nie próbował udawać, że jest inaczej.

Tak na marginesie: zostało jeszcze sześćset trzydzieści dziewięć dni, łącznie z weekendami. Nawet ja potrafię udawać. Zazwyczaj.

Nie miałam okazji przyjrzeć mu się dokładnie tak, żeby mnie na tym nie przyłapał, ale jestem prawie pewna, że ma dołeczek w brodzie. Istnieje też cień prawdopodobieństwa, że maluje sobie oczy kredką,

blee. A może to tylko podkrążone oczy sprawiają takie wrażenie? Bo wygląda, jakby był wykończony, jakby sen był luksusem, na który nie może sobie pozwolić.

– Jasne – odpowiada dziewczyna, udając, że wcale nie dotknęła jej ta odmowa, chociaż widać wyraźnie, że owszem. Siada na kolanach swojej koleżanki, takiej samej blondynki jak i ona. Są tak do siebie podobne, że można by je wziąć za siostry bliźniaczki. Zaczynają pozorować pieszczoty. Dobrze wiem, jak wygląda takie przedstawienie.

Przechodzę obok nich, marzę o tym, by dotrzeć do znajdującej się za drzwiami ławki. Może to i odludne miejsce na zjedzenie drugiego śniadania, ale za to wolne od stresów. Niczego nie spieprzę.

– Na co tak się gapisz? – warczy jedna z blondynek.

No proszę, oto pierwsze słowa, jakie wypowiedział do mnie uczeń tej szkoły z własnej nieprzymuszonej woli, odkąd rozpoczęłam tu naukę dwa tygodnie temu: „Na co się tak gapisz?”.

„Witajcie w dżungli” – myślę sobie. „Witajcie. W. Cholernej. Dżungli”.

d którego zakusami na dziewczęce tyłki ostrzegał mnie K/N. – Chyba nie było cię tu w zeszłym roku?

ROZDZIAŁ 3

Nie jest wcale tak źle – wmawiam sobie, kiedy w końcu siadam na ławce, odwrócona plecami do Batmana, a te wredne laski, stołówka i reszta mojej klasy znajdują się bezpiecznie daleko. Ludzie są tu wstrętnei – i co z tego? Wstrętnych ludzi nigdzie nie brakuje.

Tłumaczę sobie, że pogoda jest za to cudowna. Świeci słońce, bo w Los Angeles ponoć zawsze jest słonecznie. Zauważyłam, że wszyscy w szkole noszą designerskie okulary przeciwsłoneczne, i już zaczęłam złośliwie sądzić, że straszni z nich pozerzy, ale jak się okazuje, okulary są tu po prostu niezbędne. Przez cały dzień mrużę oczy i zakrywam je ręką, niczym salutująca harcerka.

Najbardziej brakuje mi mojej najlepszej przyjaciółki Scarlett. Niziutka pół Żydówka, pół Koreanka, zawsze pełniła funkcję mojego goryla. Z pewnością miałyby ciętą ripostę dla tej laski, coś uszczypliwego i mocnego. Niestety, jestem zdana tylko na siebie: ja, mój opóźniony zapłon i piekące oczy.

Próbowałam się przekonywać, że przez następne dwa lata dam sobie radę sama. Że jeśli będę potrzebowała wsparcia, po prostu napiszę SMS do Scarlett i poczuję się tak, jakby była obok, a nie prawie na drugim końcu świata. Scarlett szybko reaguje. Żebym chociaż potrafiła się tu we wszystkim rozeznać. Ktoś/Nikt miał rację: mam mnóstwo pytań. Przydałaby mi się aplikacja z objaśnieniem, jak stosować stołówkowe karty kredytowe albo czym jest Dzień Dobroci Wood Valley i dlaczego nie wolno wtedy wkładać butów odsłaniających palce. A przede wszystkim dowiedziałabym się, z kim absolutnie nie mogę nawiązywać przypadkowego kontaktu wzrokowego. „Na co się tak gapisz?”

Blondyny przechodzą obok mojej ławki – widocznie próba nakłonienia Batmana do wyjścia spełzła na niczym – i wybuchają śmiechem.

Czyżby śmiały się ze mnie?

– Ona tak poważnie? – pyta teatralnym szeptem ta o jaśniejszych włosach swoją tylko odrobinę mniej blond koleżankę, po czym rzuca spojrzenie w moją stronę. Obie są ładne w konwencjonalny, bezpieczny sposób. Błyszczące, jasne, świeżo wyszczotkowane włosy, niebieskie oczy, zdrowa cera, chuda sylwetka. Zaskakująco wielkie cycki. Krótkie spódniczki, z pewnością łamiące szkolny regulamin, i cztery warstwy makijażu, zapewne nałożone z pomocą tutorialu znalezionej na YouTube. Nie będę ukrywać: też bym chciała należeć do tych nielicznych nastolatek, które nigdy w życiu nie widziały w lustrze pryszczka. Moja twarz, nawet w najlepszy dzień, prezentuje sobą to, co babcia nazywała (nie zawsze delikatnie) charakterem. Dopiero drugie, a może nawet i trzecie spojrzenie ujawnia mój potencjał. O ile w ogóle jakiś mam. – Widziałaś tę frotkę?

Cholera jasna. Miałam rację. Rozmawiają o mnie. Nie dość, że spędzę najbliższe dwa lata bez chociażby cienia przyjaciela, to jeszcze te wszystkie ulotki dotyczące prześladowań w szkole wreszcie nabiorą dla mnie sensu. Ktoś/Nikt może i jest tylko żartem, ale ma rację: ta placówka to jedno wielkie pole bitwy.

Pali mnie twarz, dotykam włosów – to oznaka słabości, ale i odruch bezwarunkowy. Moja frotka jest w porządku, czytałam, że znów są modne. Scarlett też czasami nosi, a przecież w zeszłym roku została wybrana na najlepiej ubraną uczennicę naszej szkoły. Czuję, że zaczyna mnie szczypać pod powiekami. O nie, nie zobaczą moich łez. Poprawka: Nie d o p r o w a d z ą mnie do łez.

Pieprzyć je.

– Ciii, bo cię usłyszysz – mówi ta druga, po czym spogląda na mnie jednocześnie przepraszająco i triumfalnie. Jest naładowana po uszy wredotą swojej przyjaciółki. Odchodzą, czy raczej suną, kołyszac

biodrami, jakby miały widownię. Odwracam głowę, żeby się upewnić, ale nie, oprócz mnie nikogo tu nie ma. Kręcą swoimi idealnymi tyłeczkami wyłącznie ze względu na mnie.

Wyciągam telefon i piszę do Scarlett. U mnie przerwa obiadowa, a ona właśnie kończy lekcje. Nienawidzę tego, że jesteśmy tak od siebie oddalone nie tylko w przestrzeni, ale i w czasie.

Ja: Nie pasuję tu. Wszyscy noszą rozmiar XS. Albo XXS.

Scarlett: Nie, nie mów mi, że będziemy teraz przerabiać teksty w rodzaju: Nie, nie jesteś gruba. Cała nasza przyjaźń opierała się na tym, że nic takiego nie robimy.

To prawda, nigdy nie byłyśmy dziewczynami, które piszczały: „Nienawidzę mojego małego palca! Jest taki... krzywy!”. Scarlett ma rację. Mam lepsze rzeczy do roboty niż porównywanie własnej osoby z niedoścignionymi ideałami ustanowionymi przez grafików kolorowych czasopism. Skłamałabym jednak, mówiąc, że nie należę do największych osób w tej szkole. Jak to możliwe? Wpuszczają tu do wody środki przeczyszczające?

Ja: I do tego same blondynki. Typowy kalifornijski blond.

Scarlett: NIE POZWÓL, ŻEBY ZMIENIŁY CIĘ W JEDNĄ Z NICH. Obiecałaś, że nie staniesz się losangeleską.

Ja: Nie martw się. Żebym została losangeleską, musiałabym najpierw rozmawiać z kimkolwiek.

Scarlett: Cholera. Poważnie? Jest aż tak źle?

Ja: Nawet gorzej.

Robię szybkie selfie przedstawiające mnie na ławce z nadjedzoną kanapką z dżemem i masłem orzechowym. Uśmiecham się, zamiast wyduć usta, i opisuję zdjęcie hasztagiem: #Dzień 14. Te dwie blondyny z pewnością wydułyby wargi, zrobiły z tego fotkę w stylu „ale jestem śliczna” i natychmiast wrzuciły na Instagram. „Zobaczcie, jak seksownie wyglądam, jedząc kanapeczkę!”

Scarlett: Zdejmij tę gumkę. Z tą koszulą prezentuje się raczej farmersko.

Rozpuszczam włosy. Dlatego właśnie potrzebuję Scarlett. Może to dzięki niej nigdy wcześniej nikt mi nie dokuczał. Gdybym nie poznała jej w wieku czu-

Ja: Dzięki. Gumki już nie ma. Spalę ją.

Scarlett: Kim jest ten przystojniak, który wszedł ci w kadr?

Ja: Co?

Mrużę oczy i wpatruję się w ekran komórki. Kiedy robiłam zdjęcie, Batman właśnie wyglądał przez

okno. Nie tyle wszedł w kadr, ile został uwieczniony dla potomności. Wychodzi nato, że blondynka i jeszcze jaśniejsza blondynka miały jednak widownię. Oczywiście, że tak. Takie jak one z a w s z e mają widzów.

Oblewam się gorącym rumieńcem. Nie dość, że jestem grubą nieudacznicą, która je samotnie drugie śniadanie z żalną frotką we włosach, to jeszcze zostaję przyłapana na tym, jak robię sobie selfie w tak cudownej chwili. I to przez niezłe ciacho.

Klikam w ikonkę obok zdjęcia. Usuń. Jaka szkoda, że całej reszty nie można usunąć z taką samą łatwością.

erech lat, pewnie byłabym jeszcze większą kretynką.

ROZDZIAŁ 4

Ziemia jałowa Thomasa Stearnsa Eliota. Ktoś z was czytał? – pyta pani Pollack, moja nowa nauczycielka angielskiego. Nikt nie podnosi ręki, ja też nie, chociaż przeczytałam ją dwa lata temu – w czasach, które teraz wydają się należeć do zupełnie innej rzeczywistości. Moja mama rozrzuciła tomiki poezji po całym domu, jakby to była jakaś zabawa w poszukiwanie skarbów, rozproszone, wyszukane wskazówki prowadzące nie wiadomo do czego. Kiedy się nudziłam, brałam książkę ze stosu obok wanny albo ze stolika nocnego mamy i otwierałam w przypadkowym miejscu. Chciałam przeczytać to, co zakreśliła w tekście, albo odcyfrować jej nieczytelne zapiski z marginesów. Często się zastanawiałam, dlaczego akurat ten, a nie inny wers został zaznaczony.

Nigdy jej o to nie zapytałam. Dlaczego? Jednym z najgorszych elementów towarzyszących czyjejś śmierci jest to, że człowiek wraca myślą do momentów, w których nie zadał odpowiednich pytań, bo idiotycznie zakładał, że ma mnóstwo czasu. Teraz te chwile wydają się czymś sztucznie sfabrykowanym. Przeświecone duchy wspomnień.

W *Ziemi jałowej* mama podkreśliła pierwsze zdanie i zaznaczyła je wielkimi gwiazdkami: *Najokrutniejszy miesiąc to kwiecień*^[1].

Dlaczego kwiecień jest najbardziej okrutny? Nie wiem. Ostatnio wszystkie miesiące wydają mi się na swój sposób straszne. Teraz mamy wrzesień: ostre ołówki. Nowy rok, a jednak wcale nie. Za wcześnie i za późno na postanowienia noworoczne i zaczynanie wszystkiego od początku.

Książki mojej mamy zostały popakowane w kartony i teraz gniją w magazynie w Chicago; papier zaczynał już śmierdzieć stęchlizną i kurzem. Staram się o tym nie myśleć. Ani o tym, że wszystko ulega rozkładowi. I że całe to zakreślanie było stratą czasu.

– To poemat, około czterystu wersów. Czyli co, czterysta tweetów? – Klasa wybucha śmiechem. Pani Pollack jest młoda – niecałe trzydzieści lat – ubrana w legginsy z nadrukiem w panterkę, skórzane buty na koturnie, z odkrytymi palcami, i jedwabną bluzeczkę odsłaniającą piegowate ramiona. Wygląda lepiej niż ja. To jedna z tych nauczycielek, za którą wszyscy uczniowie stoją murem, może nawet podziwiają, ponieważ wydaje się całkiem bliska pokoleniowo.

W pierwszy dzień przedstawiła mnie klasie, ale wcale nie kazała wstawać i opowiadać o sobie, jak inni nauczyciele. To miłe z jej strony, że oszczędziła mi tego upokorzenia.

– Czyli tak, moi drodzy. *Ziemia jałowa* to trudna rzecz. Bardzo trudna. Na poziomie akademickim. Ale uważam, że dacie radę. Dacie radę?

Kilka osób rzuca bez przekonania „tak”. Ja milczę, nie ma potrzeby ujawniania moich kujońskich skłonności.

– Nie, nie. Stać was na więcej. To jak, dacie radę?

Uzyskuje pełny aplauz, co robi na mnie wrażenie. Myślałam, że wszyscy się tu ekscytują jedynie ciuchami, „US Weekly”^[2] oraz kosztownymi podróżami, które będą mogli ująć w swoich podaniach na studia. Może za szybko spisałam ich na straty.

– No dobrze, zrobimy to tak: dobierzecie się w pary i w ciągu najbliższych dwóch miesięcy będziecie się spotykać co tydzień i omawiać poemat. – O nie. Nie! Wiecie, co jest najgorsze zaraz po tym, że jest się nowym? Bycie nowym, który musi znaleźć sobie partnera do projektu. Co za gówno.

Rozglądam się po sali. Theo i Ashby siedzą z przodu, zakładam, że Theo nie ma zamiaru pomóc swojej przyszywanej siostrze. Dwie blondynki, które się wcześniej ze mnie naśmiewały, siedzą po mojej prawej

stronie. Jak się okazuje, mają na imię Crystal (blondynka) i Gem (jeszcze bardziej blond), co byłoby przezabawne, gdyby nie ich wredota^[3]. Spoglądam w lewo. Dziewczyna obok ma oprawki firmy Warby Parker, postrzępione džinsy i wygląda jak ktoś, z kim mogłabym się zaprzyjaźnić w Chicago. Ale zanim zdobyłam się na odwagę i spytałam, czy będzie ze mną w parze, ona już się odwróciła do swojej sąsiadki.

Nagle wszyscy są już dobrani. Rozglądam się, próbuję ukryć rozpacz, ale w moich oczach czai się błaganie. Czy będę musiała się zgłosić i powiedzieć nauczycielce, że nie mam partnera? O Jezu, nie! Już zginam rękę w łokciu, by przyznać się do porażki, kiedy ktoś stuka mnie długopisem w ramię. Oddycham z ulgą i się odwracam. Nieważne, kto to. Nie mogę wybrzydzać.

Nie. To niemożliwe. Batman. Żołądek mi się wywraca na drugą stronę. Ethan kiwa głową, coś jak Theo, ale wyraźnie odczytuję jego intencje: proponuje mi, żebyśmy wykonali projekt razem. Jego niebieskie oczy patrzą przeszywająco, niemal napastliwie, jakby spoglądały nie tylko na mnie, ale i w e m n i e. Jakby mnie oceniał. Sprawdzał, czy jestem warta jego czasu. Mrugam, opuszczam wzrok, kiwam głową i uśmiecham się nieznacznie w ramach podziękowania. A potem odwracam się do przodu i całą siłą woli powstrzymuję się przed położeniem dłoni na policzki, żeby je ochłodzić.

Do końca lekcji zastanawiam się, dlaczego Batman wybrał mnie. Może wyglądam inteligentnie? A jeśli tak, czy to oznacza, że prezentuję się jak nerd? Analizuję w myślach swój strój: rozpinana koszula w kratę, džinsy Gap z podwiniętymi nogawkami, stare, zniszczone vansy. Mój typowy ubiór z Chicago, tyle że bez grubej kurtki. Nic specjalnego, zwłaszcza teraz, kiedy pozbyłam się frotki. Moja pierwsza myśl jest taka, że z jakiegoś powodu postanowił zrobić dobry uczynek. Widocznie wyglądałam żałośnie, gdy tak rozpaczliwie rozglądałam się po klasie. Zwłaszcza że przecież wcześniej był świadkiem, jak mnie potraktowała Gem i jak się zbłaźniłam w pierwszy dzień szkoły. Nawet Ken Abernathy, który zdaniem K/N ma problem z puszczaniem gazów, od razu znalazł sobie partnera.

Kiedy rozbrzmiewa dzwonek i wszyscy pakujemy laptopy – oczywiście jestem jedyną osobą bez wyszukanego, cieniutkiego komputera – Batman staje przy mojej ławce i mierzy mnie tym swoim zabójczym spojrzeniem. Czy ma w sobie coś z psychopaty, czy to tylko moja wyobraźnia? Chyba nie jest aż taki podły? To szalenie miłe, że mnie wybrał. Nie przypominam sobie, żebym w poprzedniej szkole zadała sobie trud zaprzyjaźnienia się z nowym uczniem. Seksowny i miły. Nie. To się nie dzieje.

W porę sobie uświadamiam, że powinnam się odezwać, zamiast stać jak słup soli.

– Chcesz się wymienić numerami czy jak? – pytam i jestem na siebie zła za nerwową piskliwość mojego głosu. Przypominam teraz te wszystkie laski, które spadają na niego chmarą podczas dużej przerwy. Tyle że przez ostatnie tygodnie prawie w ogóle nie otwierałam ust. Ze Scarlett komunikuję się głównie za pomocą SMS-ów. Mój tata jest tak zajęty szukaniem pracy i spędzaniem czasu z nową żoną, że ledwo się widzimy. Zresztą i tak chwilowo nie jest moją ulubioną osobą. Nie podoba mi się ta jego nowa wersja: zaangażowany, ożeniony z obcą kobietą, zmuszający mnie do życia, w którym zupełnie się nie odnajduję.

To byłoby na tyle. Liczba osób, jakie mi zostały w życiu.

– Nieee. Ja zrobię projekt i podpiszę swoim i twoim nazwiskiem. – Batman nie czeka, aż się zgodzę, tylko kiwa głową, jakbym powiedziała „tak”.

Hm. Może jednak nie jest wcale taki miły.

– Ale... – Ale co? „Tak bardzo chciałam zrobić z tobą ten projekt? Podobają mi się twoje oczy seryjnego mordercy?” Czy jeszcze gorzej: „Proszę...”. Nie kończę zdania. Opuszczam wzrok na moją skórzaną torbę, która wydawała mi się całkiem spoko, dopóki tu nie przyjechałam i nie zdałam sobie sprawy, że wszyscy noszą wyszukane francuskie marki, które znam tylko z piosenek.

– Nie martw się. Dostaniesz A. – I Batman odchodzi tak szybko, że mam wrażenie, jakbym go sobie tylko wyobraziła. Perwersyjna wersja superbohatera. Zostaję sama, pakuję się i rozmyślam nad tym, ile czasu upłynie, zanim ktoś znów się do mnie odezwie.

Ja: Będzie lepiej, prawda? Powiedz, że będzie.

Scarlett: Żałuję, że nie jestem osobą, która zaniża poziom rozmowy stosowaniem emotikonów, bo absolutnie zasługujesz na uśmiechniętą buźkę. Oczywiście, że będzie lepiej.

Ja: Ha. Po prostu. Nieważne. Sorry, że tak jęczę.

Scarlett: Po to jestem. A tak na marginesie, ten mail, który mi przesłałaś... Masz CICHEGO WIELBICIELA.

Ja: Naczytałaś się książek. Ktoś mnie wrabia. I PRZESTAŃ KRZYCZEĆ.

Scarlett: Nie ma mowy. Nie powiedziałam, że jest wampirem, tylko cichym wielbicielem. Klasycznym.

Ja: Chcesz się założyć?

Scarlett: Powinnaś wiedzieć, że zawsze mam rację. To moja jedyna zdolność magiczna.

Ja: A jaką mam ja?

Scarlett: To się okaże.

Ja: Dzięki.

Scarlett: Żartuję. Jesteś silna. To twoja moc, dziewczyno.

Ja: Mam wyrobione mięśnie ramion od ciągłego podnoszenia ciastek i zajadania stresu. Ręka – usta. Powtórzyć 323 razy. Hardcorowe ćwiczenie.

Scarlett: Poważnie? To, że jesteś silna, nie znaczy, że nie możesz poprosić czasem o pomoc. Pamiętaj o tym. ZAWSZE jestem dla ciebie, ale może wolałabyś skorzystać z propozycji kogoś na miejscu.

Ja: Taaa. Dzięki, Pani Dobra Rada. Tęsknię za tobą!

Scarlett: Ja za tobą też! Idź, napisz szybko do K/N. Już, już. I powiedz mi prawdę: spotkałaś w tej nowej szkole kogoś nienaturalnie bladego?

Od: Jessie A. Holmes (jesster567@gmail.com)

Do: Ktoś Nikt (ktosnikt@gmail.com)

Temat: Wzywam ducha z lampy

Dobra, poddaję się. Miałaś rację. Ta szkoła to prawdziwa strefa wojny. I dlatego działałam wbrew intuicji, za to z nadzieją, że mogę Ci zaufać. Nadal jesteś gotów odpowiedzieć na kilka pytań? (A jeśli jesteś Deeną, wygrałaś).

.....

Od: Ktoś Nikt (ktosnikt@gmail.com)

Do: Jessie A. Holmes (jesster567@gmail.com)

Temat: do usług, miła pani

zaintrygowała mnie ta Deena. dlaczego miałyby cię wrabiać? moja oferta jest nadal aktualna.

.....

Od: Jessie A. Holmes (jesster567@gmail.com)

Do: Ktoś Nikt (ktosnikt@gmail.com)

Temat: Wirtualnie dygam

Historia z Deeną nie ma w sobie nic szczególnie interesującego. Dziewczyńskie głupoty z liceum. No właśnie, skoro już jesteśmy w temacie, wspomniałeś coś o krótkiej liście osób, z którymi

O co chodzi z Dniem Dobroci WV? I co się stanie z moimi palcami, jeśli nie będą zakryte?

Te wasze dziwne karty do stołówki są prepaidowe czy jak?

.....

Od: Ktoś Nikt (ktosnikt@gmail.com)

Do: Jessie A. Holmes (jesster567@gmail.com)

Temat: gulasz z siekanych palców

zaczynij od Adrianny Sanchez. jest nieśmiała, więc sama do ciebie nie podejdzie, dlatego Ty powinnaś zagadnąć do niej. jest inteligentna, fajna i dowcipna, kiedy się ją lepiej pozna. nie wiem dlaczego, ale mam wrażenie, że mogłybyście się dogadać.

to dzień prac społecznych na rzecz Habitat for Humanity. w grę wchodzi użycie młotków, dlatego zakryte obuwie. twoje vansy się nadadzą. tak na marginesie, są bardzo spoko.

nie, nie są prepaidowe. automat na napoje przyjmuje tylko dziesiątki, dwudziestki i karty kredytowe.

.....

Hm. Może jednak ten K/N zna mnie lepiej, niż sądziłam. Adrianna Sanchez to ta dziewczyna w wielkich oprawkach firmy Warby Parker, która siedzi obok mnie na angielskim. Ta, która przypomina mi moje koleżanki z Chicago. Rumienię się nieco w związku z komplementem na temat moich butów. Jestem beznadziejna.

Od: Jessie A. Holmes (jesster567@gmail.com)

Do: Ktoś Nikt (ktosnikt@gmail.com)

Temat: Jeden jedyny procent

Karty kredytowe? Poważnie? Czy wszyscy są tu bogaci?

.....

Od: Ktoś Nikt (ktosnikt@gmail.com)

Do: Jessie A. Holmes (jesster567@gmail.com)

Temat: chcesz się przelecieć moim prywatnym samolotem?

szczerze? są tu ze dwie osoby na stypendiach, ale szkoła kosztuje nieprzyzwoicie dużo, z czego zapewne sobie zdajesz sprawę. tak tu już jest.

.....

No i proszę, mam czarno na białym: powód #4657, dla którego tu nie pasuję. Mój tata nie jest magnatem przemysłu filmowego, cokolwiek to oznacza, tylko farmaceutą. W Chicago wcale nie byliśmy biedni. Żyliśmy normalnie. Jednak nie miałam karty kredytowej. Za zaoszczędzone pieniądze robiłam zakupy w Target i Goodwill^[4], nie porywaliśmy się na kawę za pięć dolców, bo wcześniej wyliczyliśmy, że filiżanka kosztuje prawie tyle co godzina pracy po lekcjach. Moich rodziców nigdy nie kręciły pieniądze, ciuchy i różne modne gówna, które są obowiązkowe tu, w LA. Ja też nigdy nie domagałam się markowych rzeczy – to nie w moim stylu. A nawet gdyby tak było, podejrzewam, że mama zrobiłaby mi wykład. I wcale nie dlatego, że nie stać nas było na okazjonalne szaleństwo zakupowe, ale dlatego, że według niej płacenie za nazwę i ozdoby to strata pieniędzy. Głupota dla głupich ludzi. O wiele bardziej interesowało ją wydawanie pieniędzy na podróże albo działalność dobroczynną. „Doświadczenie jest ważniejsze niż przedmioty” – mawiała, po czym cytowała jakieś badania społeczne, z których wynikało niezbicie, że pieniądze nie dają szczęścia. Niestety, nie mogę powiedzieć, że zawsze się z nią zgadzałam – pamiętam kłótnię o sukienkę za dwieście dolarów, którą chciałam kupić na bal gimnazjalny – teraz jednak jestem dumna z tego, jak zostałam wychowana. Nawet jeśli to oznacza, że czuję się jeszcze bardziej obco na tym obcym terenie, jakim jest moja nowa szkoła.

Nagle moja wdzięczność wobec Batmana przeradza się we wściekłość. Jak śmiał wtrącać się w moje stopnie? W przeciwieństwie do tych wszystkich uprzywilejowanych dzieciaków w szkole ja zamierzam ubiegać się o stypendium na studia. Nie mogę zaufać jego obietnicy, że dostanę A. A co, jeśli pani Pollack odkryje, że nie zrobiliśmy tego projektu wspólnie? Kiedy się zapisywałam do szkoły, musiałam podpisać obietnicę honorowego zachowania. Teoretycznie rzecz biorąc, mogą to uznać za oszustwo i zaznaczyć w aktach.

Jutro będę musiała zebrać się na odwagę i pogadać z Batmanem. Powiem mu, że musimy zrobić to razem, inaczej poproszę panią Pollack o zmianę partnera. Nienawidzę tego, że mam pięć godzin odrabiania lekcji dziennie, a jeszcze muszę znaleźć czas na pracę na część etatu. Nienawidzę, że nie ma tu Scarlett. I że Theo, który właśnie wrócił do domu, nie ma w sobie tyle przyzwoitości, żeby rzucić choćby: „Cześć, jak minął dzień?”, chociaż siedzę w salonie. I straszne, że nienawidzę swojego ojca,

którego przecież – co stwierdziłam po śmierci mamy – łatwiej jest kochać, niż żałować. Nienawidzę go za to, że mnie tu ściągnął, zostawił samej sobie i wiecznie go nie ma. Mama złościła się, kiedy używałam słowa „nienawidzę”. Uważała, że to zbyt mocne określenie, i pewnie byłaby wściekła, że stosuję je w stosunku do taty. Ale cóż, jej już nie ma, a on ożenił się z inną. Mam wrażenie, że stare zasady dawno przestały obowiązywać.

Od: Jessie A. Holmes (jesster567@gmail.com)

Do: Ktoś Nikt (ktosnikt@gmail.com)

Temat: Niedopowiedzenie

Cześć, przewodniku duchowy! Nie chcę wydać się niewdzięczna i tak dalej, ale TWOJA SZKOŁA
JEST DO DUPY.

.....

Od: Ktoś Nikt (ktosnikt@gmail.com)

Do: Jessie A. Holmes (jesster567@gmail.com)

Temat: powiedz mi coś, czego nie wiem

uczysz księdza pacierza. i przestań krzyczeć, bo aż mnie głowa rozboleła.

.....

powinam się zaprzyjaźnić. Nie chcę brzmieć desperacko, ale przydałaby mi się porada na tym froncie.

ROZDZIAŁ 5

Jak dobrze być wreszcie w domu – oznajmił tata, wchodząc do rezydencji swojej nowej żony, przy czym rozłożył szeroko ręce, jakby chciał dodać: „Nie jest to rudera, co?”. Nasz stary dom w Chicago był niski i przysadzisty, nazywałam go czule „zapaśnikiem”, ten wygląda przy nim jak król balu: wysoki, lśniący, wygrywa z łatwością we wszystkich konkurencjach. Białe sofy. Białe ściany. Białe regały. Wystarczająco okropne jest to, że ona płaci czesne za moją szkołę, boję się, że do rachunku będę musiała doliczyć także plamy na tych nieskazitelnych meblach.

Wcale nie jest dobrze być w tym domu. Dziwnie się czuję, narzekając na mieszkanie w czymś, co przypomina lokum rodem z serialu o celebrytach, ale tęsknię za naszym starym domem. Tata sprzedał go Patelsom w tym samym dniu, w którym zamieścił ogłoszenie. W moim dawnym pokoju śpi teraz Aisha, zniknęły moje stare plakaty filmowe, książki i zdjęcia, na których ja i Scar robimy głupie miny. Tutaj zajmuję jeden z wielu pokoi gościnnych, z których każdy został urządzony tak, żebyś broń Boże nie miał ochoty przedłużyć wizyty. Śpię na kanapie rodem chyba z antyku, z rodzaju tych, na których dziewczyna z lat pięćdziesiątych mogłaby prezentować podwiązki, ale nienadających się raczej do spania. Mam swoją łazienkę z kolekcją toskańskich mydełek z monogramem – wyglądają na zbyt drogie, żebym odważyła się ich dotknąć, a co dopiero mówić o użytkowaniu. Na ścianach wiszą dzieła sztuki abstrakcyjnej przypominającej raczej malunki dziewięciolatka. Jedyne, co przyniosłam do tego pokoju – nie licząc Bessie, mojej pluszowej krowy z dzieciństwa – to zdjęcie przedstawiające mamę i mnie. Miałam wtedy jakieś osiem lat i owinęłam się wokół jej uda, niczym małe szympansiątko, chociaż byłam już za duża na coś takiego. Mama spogląda na mnie z rozbawieniem i miłością, w moich oczach widać uwielbienie i strach. Pamiętam, kiedy ta fotografia została zrobiona. Bałam się nowej opiekunki, nie wiedzieć czemu byłam przekonana, że jeśli mama wyjdzie za drzwi, już nigdy nie wróci.

– Cudnie, prawda? – zapytał tata, wnosząc moje życie upchane w dwie torby do „mojego pokoju”.

Był taki szczęśliwy i podekscytowany – jak dziecko, które zrobiło dobry uczynek i oczekuje nagrody – nie mogłam go zawieść.

Kiedy mama zachorowała, stał się zupełnie bezradny. To ona była kapitanem naszego okrętu. Jednego dnia całkiem zdrowa, zajmująca się organizacją życia, po czym nagle... wszystko się zmieniło. Diagnoza: rak jajnika, wysokie stadium zaawansowania (IV). Zrobiła się zbyt słaba, żeby chodzić po pokoju, a co tu mówić o nawigowaniu między rafami życia codziennego: posiłkami, zakupami, dowożeniem.

Wyczerpany i pozbawiony sił, tata stracił włosy i kilogramy, zupełnie jakby to on przechodził chemię i radioterapię. Jakby był lustrzanym odbiciem mamy albo jej bliźniakiem syjamskim. Jak gdyby jedno nie było w stanie funkcjonować bez drugiego. Minęło dopiero niewiele ponad dwa lata (siedemset czterdzieści siedem dni, liczę dokładnie), a ja zauważyłam, że zaczął przybierać na wadze, wyglądać zdrowiej. Znów stał się mężczyzną, o j c e m, a nie dzieckiem. Przez długie miesiące po śmierci mamy zadawał mi pytania świadczące o tym, że nie ma pojęcia, jak wygląda codzienność: „Gdzie trzymamy zmiotkę?”, „Jak nazywa się dyrektor twojej szkoły?”, „Jak często chodzisz na wizyty kontrolne do lekarza?”.

Tata pracował na pełny etat, a kiedy nie był w pracy, dyskutował z towarzystwami ubezpieczeniowymi, przeglądał sterty rachunków za leczenie mamy, które przychodziły i przychodziły, jakże okrutnie, już po wszystkim. Postanowiłam nie zawracać mu głowy drobiazgami, tylko pożyczyłam sobie jego wysłużoną kartę kredytową. Załatwiłam regularne dostawy ręczników papierowych i papieru

toaletowego, robiłam listy zakupów, zamawiałam nam batony zbożowe i owsiankę błyskawiczną w ilościach hurtowych, a ponieważ w pierwszym roku jeszcze nie miałam prawa jazdy, nawet staniki kupowałam przez Internet. A także tampony. I zadawałam wujkowi Google wszystkie te pytania, które normalnie kierowałabym do mamy. Smutny wirtualny substytut.

Daliśmy radę. I on, i ja. Przez pewien czas byliśmy tak zajęci trzymaniem wszystkiego do kupy, że prawie zapomniałam, jak to wyglądało kiedyś. Jaką tworzyliśmy zgraną trójkę. Gdy byłam mała, włożyłam rodzicom do łóżka i robiliśmy kanapkę z Jessie w środku. Byliśmy szczęśliwi, trójka wydawała się dobrą liczbą. Każdy z nas miał swoje zadania. Tata pracował i nas rozśmieszał. Mama też pracowała, ale na pół etatu, była kluczową osobą, naszym rozjemcą i spoiwem. Moja rola polegała na byciu dzieckiem, pławieniu się w ich nieustannej uwadze.

Upłynęło siedemset czterdzieści siedem dni, a ja jeszcze nie nauczyłam się o tym wszystkim mówić. To znaczy potrafię rozmawiać o kupowaniu papieru toaletowego, o naszym załamaniu, o tym, że ja byłam załamana. Tylko w dalszym ciągu nie znajduję odpowiednich słów, by rozmawiać o mamie. Tej prawdziwej. Wspominać ją tak, żeby się nie rozkleić.

Nie potrafię. Czasem mam wrażenie, że w ogóle zapomniałam, jak się mówi.

– Niesamowicie, tato. Naprawdę – odparłam, ponieważ nowy dom był rzeczywiście niesamowity. Skoro już zostałam uwięziona przez złą macochę, to nie powinnam wydziwiać na miejsce. Było mnóstwo znacznie gorszych niż to, przeniesione żywcem ze stron czasopisma „Architectural Design”. Nie zamierzałam narzekać na kompletny brak przytulności czy odczucie, że znalazłam się w muzeum w towarzystwie zupełnie obcych mi osób. To byłoby małostkowe. Zresztą oboje z tatą wiedzieliśmy, że nie na tym polega problem. Problem polegał na tym, że nie było mamy. I już nigdy jej nie będzie. Kiedy się nad tym dłużej zastanawiałam, czego starałam się unikać, dochodziłam do wniosku, że w sumie nie ma znaczenia, gdzie śpię.

Niektóre wydarzenia sprawiają, że cała reszta staje się nieistotna.

Tworzyliśmy kiedyś silną trójkę, teraz byliśmy nowym, niezidentyfikowanym jeszcze tworem. Koślawym równoległobokiem.

„Mów do mnie Rachel” – oznajmiła nowa żona taty, kiedy ją spotkałam po raz pierwszy. Rozbawiło mnie to. A jak miałam do niej mówić? Mamo? Pani Scott? (Jej panięńskie nazwisko. To znaczy nie do końca, nazwisko z jej poprzedniego małżeństwa). A może, co jeszcze bardziej niedorzeczne, miałam się do niej zwracać jej nowym nazwiskiem, nazwiskiem m o j e j m a m y: pani Holmes? W swojej głowie nazywam ją zawsze nową żoną taty. To taka bezskuteczna próba przyzwyczajania się do tej myśli:

„Mów do mnie Jessie” – odparłam, bo nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Jej istnienie mnie całkowicie zaskoczyło. Nie zdawałam sobie sprawy, że tata zaczął się spotykać z kobietami. Owszem, sporo podróżował – konferencje farmaceutyczne, jak twierdził – a ja w to nie wnikałam, chociaż wcześniej nigdy nie jeździł w podróże służbowe. Uznałam, że praca jest dla niego tym, czym dla mnie szkoła: sposobem na zapomnienie. Cieszyły mnie samotne weekendy. (Czy wykorzystywałam jego nieobecność i organizowałam wielkie imprezy, podczas których wszyscy sączyli piwo z czerwonych plastikowych kubków i wymiotowali nam na trawnik? Skądże. Scarlett zostawała u mnie na noc. Robiliśmy sobie popcorn i urządziłyśmy maraton oglądania starych odcinków ulubionych seriali).

Aż któregoś dnia tata wrócił do domu i powiedział, że się zakochał, a ja zauważyłam na jego palcu nową obrączkę. Zimną i błyszczącą. Srebrną. Gorzki smak porażki. Jak się okazało, nie pojechał wcale do Orlando, żeby dowiedzieć się czegoś więcej na temat cialisu^[5], tylko zwiął na Hawaje z kobietą, którą poznał w sieci w swojej grupie wsparcia po stracie. Początkowo sądziłam, że żartuje, ale ręce mu drżały i uśmiechał się półgębkiem, co zwykle robi, gdy jest zdenerwowany. Później przyszło okropne przemówienie: o tym, że wie, jakie to będzie trudne, nowe miasto, zmiana szkoły i tak dalej – ale powiedział to tak szybko, że kazałam mu powtórzyć, by się upewnić, czy wszystko dobrze zrozumiałam.

To właśnie wtedy po raz pierwszy padły słowa: „Los Angeles”.

„Awans” – powiedział tata. O k a z j a. Szansa na wyrwanie się z „naszej rutyny”. Tych słów też ośmielił się użyć: „naszej rutyny”.

Nie zdawałam sobie sprawy, że tkwimy w jakiejś rutynie, wydawało mi się, że to nietrafione określenie żałoby.

Był opalony, miał zaróżowione policzki po trzech dniach na plaży. Ja nadal świeciłam bladością po zimie w Chicago. Moje palce pewnie śmierdziały masłem. Ale nie płakałam. Gdy minął pierwszy szok, okazało się, że obchodzi mnie to znacznie mniej, niż sądziłam. Czasem mam wrażenie, że kiedy Scarlett mówi, że jestem silna, w rzeczywistości chodzi jej o moje odrętwienie.

Rachel to jedna z tych drobniutkich kobiet, której głos jakimś cudem zajmuje mnóstwo miejsca. Ona nie tyle mówi, co ogłasza: „Mów do mnie Rachel! Powiedz Glorii, jeśli chcesz, żeby coś jeszcze kupiła do jedzenia! Nie krępuj się! Ona jest ekspertem w kuchni! Ja nie potrafię nawet ugotować jajka! Dostałam dzisiaj niezły wycisk na pilatesie!”.

Jej obecność jest wyczerpująca.

Dzisiejsze ogłoszenie: „Kolacja rodzinna!”. Dotąd w zasadzie udawało mi się unikać siadania do stołu z innymi. Rachel była bardzo zajęta pracą nad promocją nowego filmu – *Terroryści w kosmosie*, czyli kino akcji łamane przez science fiction – który, jak twierdzi, „będzie wielkim hitem!”. Mój tata, o ile wieczorami nie wychodzi z Rachel na spotkania biznesowe – „Podtrzymywanie kontaktów to klucz do sukcesu!”, jak Rachel uwielbia podkreślać – siedzi przyklejony do komputera i szuka pracy. Theo też wiecznie wychodzi, głównie do Ashby, gdzie wykradają należące do jej mamy dietetyczne posiłki Zone Delivery.

Ja zwykle jadam u siebie w pokoju. Najczęściej masło orzechowe i dżem, które sama kupuję, albo zupę ramen z jajkiem. Nie czułabym się komfortowo, dodając produkty do listy zakupów Glorii. Gloria jest „zarządcą domu”, cokolwiek to oznacza. „Zupełnie jak rodzina!” – oznajmiła Rachel, kiedy mi ją przedstawiała, chociaż według mojego rozeznania członkowie rodziny nie chodzą w uniformach. Mają tu też chyba ekipę sprzątającą i ogrodnika, a oprócz tego kręcą się Latynosi, którym Rachel płaci za takie roboty, jak wymiana żarówek czy naprawa toalet.

– Chodźcie na dół! Jemy razem kolację, czy to się wam podoba, czy nie!

Ten ostatni fragment wypowiedziała półzartem, jakby chciała się zaśmiać: „Ha, ha, czy to nie zabawne, że wy dwoje wcale nie macie na to ochoty? Na wspólne mieszkanie. Jadanie razem. Życie jest prze-zabaw-ne!”.

Może nawet jej nienawidzę. Jeszcze nie postanowiłam.

Wyglądam na korytarz i widzę, że Theo schodzi na dół. Założył ogromne słuchawki, w sumie dobry pomysł. Zabieram telefon, żeby pisać do Scarlett podczas jedzenia.

– Bez przesady, mamó – odzywa się Theo, a ponieważ ma zakryte uszy, mówi głośniej niż zwykle. Ci ludzie nie mają w ogóle kontroli nad natężeniem dźwięków, które z siebie wydają. – Czy musimy udawać, że tworzymy zgraną rodzinę? Jakby nie wystarczało, że oni tu m i e s z k a j ą.

Spoglądam na tatę i przewracam oczami, by mu pokazać, że wcale się tym nie przejęłam. Uśmiecha się do mnie nieznacznie, kiedy Rachel nie patrzy. Jeśli Theo zamierza być wredny, ja zrobię wręcz przeciwnie. Odegram rolę idealnego dziecka i jeszcze bardziej zawstydzę Rachel, że tak rozpuściła bachora. Będę udawać, że wcale nie jestem zła na tatę: że mnie tu sprowadził, że nawet nie pyta, jak mi idzie. Grę w udawanie opanowałam do perfekcji.

– Wygląda bardzo apetycznie. Co to jest? – pytam, bo potrawa rzeczywiście prezentuje się

smakowicie. Mam już dosyć ramenu i kanapek z masłem orzechowym i dżemem. Potrzebuję warzyw.

– Komosa i gulasz z owoców morza z kapustą chińską – oznajmia Rachel. – Theo, zdejmij, proszę, słuchawki i przestań być nieuprzejmy. Mamy wam coś ekscytującego do przekazania.

– Będziecie mieć dziecko – rzuca Theo i wybucha śmiechem z własnego dowcipu, który wcale nie był śmieszny. O nie. Czy to w ogóle możliwe z biologicznego punktu widzenia? Ile Rachel może mieć lat? Dzięki, Theo, że dodałeś kolejny punkt do mojej listy najbardziej przerażających rzeczy w życiu.

– Bardzo zabawne, ale nie. Bill dostał dzisiaj pracę! – Rachel uśmiecha się szeroko, jakby mój tata dokonał właśnie czegoś niemożliwego: zrobił bezbłędnie potrójne salto do tyłu na naszych oczach.

Rachel nadal ma na sobie swój strój roboczy – białą bluzkę ze związaną luźno kokardą i czarne spodnie z satynowym paskiem z boku. Nie wiem czemu, ale ona wiecznie zakłada rzeczy, które wiszą i powiewają: kokardy, frędzle, naszyjniki, apaszki. Równo przycięte włosy opadają jej prosto na ramiona, a perfekcja tej fryzury ją postarza, mimo umiarkowanie wstrzykniętego botoksu. Za dużo ostrych linii. Jednak muszę oddać jej jedno, chociaż nie jestem w nastroju, żeby jej cokolwiek oddawać: wykazuje się niewiarygodnym entuzjazmem. Pensja taty zapewne jedynie nieznacznie przewyższy wypłatę Glorii, ale i tak odczuwam ulgę. Będę mogła poprosić go o kieszonkowe, żeby jakoś przeżyć, zanim sama znajdę pracę.

– Uczcijmy to! – proponuje Rachel i ku mojemu zdziwieniu nalewa mi i Theo niewielką lampkę wina. Mój tata nic nie mówi, więc i ja się nie odzywam. Udajemy obytych, zeuropeizowanych i tak dalej. – Za nowe początki.

Uderzamy kieliszkiem o kieliszek, upijam łyk wina, a potem zanurzam widelec w gulaszu. Staram się nie nawiązywać kontaktu wzrokowego z Theo, zamiast tego pod stołem esemesuję do Scarlett.

– Jestem taka podekscytowana. Szybko ci to poszło, kochanie! – Rachel uśmiecha się do taty i ściska jego dłoń. On odpowiada uśmiechem. Opuszczam głowę i patrzę na komórkę. Nie jestem przyzwyczajona do widoku tych dwojga razem, gdy się dotykają. Podejrzewam, że nigdy do tego nie przywyknę.

– Gdzie będziesz pracował? – pytam, głównie z nadzieją, że Rachel zabierze rękę. Niestety tego nie robi.

– Tak się składa, że niedaleko waszej szkoły. Docelowo mam prowadzić sprzedaż w aptece Ralph's – mówi tata.

Zastanawiam się, jak się czuje w związku z tym, że Rachel zarabia kilkakrotnie więcej od niego. Kiedy zaprotestowałam przeciwko opłacaniu przez nią szkoły, tata rzucił krótko: „Nie bądź śmieszna. To nie podlega dyskusji”.

Nie żartował. Nic z tego nie podlegało dyskusji: jego ślub, nasza przeprowadzka, Wood Valley. Kiedy żyła mama, panowała demokracja. Teraz mamy dyktaturę.

– Że jak? – pyta Theo i wreszcie zdejmuje słuchawki. – Nie. To n i e m o ż l i w e, żebyś pracował w Ralph's.

Tata podnosi głowę, zdezorientowany wojowniczym nastawieniem chłopaka.

– Owszem. Bulwar Ventura. – Tata stara się nadać swojemu głosowi lekki, konwersacyjny ton. Nie jest przyzwyczajony do walki. Ja zwykle reagowałam bierno-agresywnie. W zasadzie to głównie biernie, warczałam tylko sporadycznie. Wściekam się najczęściej w samotności, w swoim pokoju, niekiedy w rytm muzyki. – Dużo dodatków. Dentysta. Przez pewien czas będę praktykantem, bo najpierw muszę zdać egzaminy i uzyskać uprawnienia do wykonywania zawodu w Kalifornii. Będę się przygotowywał do CPJE^[6], kiedy wy będziecie się uczyć do próbnego SAT-u. Ale wiecie, to nie jest typowa praktyka, od razu dostanę pensję. Będę robił to samo, co robiłem w Chicago, tylko muszę poczekać na certyfikat.

Tata śmieje się nerwowo i plecie, co mu ślina na język przyniesie.

– Dostałeś pracę w supermarkecie obok m o j e j szkoły? – wrzeszczy Theo.

– W aptece. Jestem farmaceutą. Chyba to wiesz. Czy on to wie? – tata zwraca się do Rachel, teraz już kompletnie zdumiony. – Przecież nie siedzę przy kasie w spożywczaku.

– To chyba jakaś kpina. Mamo! Powiedz, że to żart.

– Spasuj, Theo – mówi Rachel i unosi rękę.

„Kim są ci ludzie?” – myślę, i to wcale nie po raz pierwszy. „Spasuj?”

– Jakbym miał mało upokorzeń. Teraz wszyscy moi znajomi zobaczą, że on pracuje w supermarkecie, z tą beznadziejną plastikową plakieta z imieniem. – Theo rzuca widelcem przez cały pokój i gwałtownie wstaje. Zauważam plamę z sosu sojowego na białym krześle i z trudem powstrzymuję odruch rozejrzenia się za jakimś środkiem czyszczącym. A może to zadanie Glorii?

– Bez przesady! Już i tak jest ciężko bez dodatkowego gówna! – Theo wymaszerowuje z salonu, tupiąc i sapiąc jak czteroletnie dziecko. To tak przesadna reakcja, że aż mi się chce śmiać. Nauczył się wpadać w szal na tych swoich zajęciach teatralnych? Nagle dostrzegam minę taty. Ma smutny, pusty wzrok. Jest upokorzony.

– Słownictwo! – mówi Rachel, chociaż Theo już dawno wyszedł, a poza tym ma szesnaście lat.

Kiedy byłam małą, uwielbiałam bawić się w aptekę. Wkładałam fartuch mamy i wykorzystywałam puste fiołki, które tata przynosił do domu, żeby aplikować moim pluszakom płatki Cheerios. Przed odejściem mamy nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogłabym nie być z niego dumna. Potem moje wątpliwości dotyczyły jedynie jego zdolności przetrwania, a nie umiejętności zawodowych. Podoba mi się pomysł, że będzie pracował w Ralph's, tak blisko mojej szkoły. Tęsknię za nim. Ten dom jest za duży, ciężko w nim kogoś odnaleźć.

Pieprzyć Theo i jego kumpli. W Chicago nie mieliśmy opieki dentystycznej w pakiecie.

Tata jest optymistą. Wątpię, żeby zakładał, że będzie aż tak ciężko. A może kiedy tkwiliśmy we dwoje w naszym „zapaśniku”, pomyślał sobie: „Nie ma mowy, żeby Kalifornia była gorsza od tego, co tu mam”?

– Nie mogę zrezygnować z pracy tylko dlatego, że on się wstydzi – tata powiedział to tak, jakby zadawał Rachel pytanie, a ja znów muszę odwrócić wzrok. Tym razem jednak nie po to, żeby oszczędzić widoku sobie. Tym razem chcę oszczędzić go jemu. – Muszę pracować.

Później siadam na zewnątrz na jednym z wielu leżaków Rachel. Wpatruję się we wzgórza, które otaczają dom światłkami. Wyobrażam sobie inne rodziny w innym domach – dojadające kolację albo zmywające naczynia. Jeśli się kłócą, są to z pewnością drobne sprzeczki, bo stare nawyki ścierają się w miejscach, w których już dawno powstały żłobienia. My jesteśmy sobie obcy. Nie tworzymy rodziny.

Dziwnie jest się zastanawiać, jak było tu wcześniej, zanim pojawiłam się ja i tata, zanim zmarł ojciec Theo. Czy siadali razem do posiłków, tak jak my?

Mam ze sobą telefon, ale jestem zbyt zmęczona, żeby pisać do Scarlett. Zbyt zmęczona, żeby sprawdzić, czy K/N mi coś przysłał. Zresztą czy to ważne? On też jest jednym z tych uprzywilejowanych gówniarzy, jak wszyscy w Wood Valley. Sam to w końcu przyznał.

Drzwi wejściowe otwierają się i zamykają za moimi plecami, ale się nie odwracam. Theo opada na leżak obok mnie, po czym wyjmuję bibułkę i torebkę trawki.

– Nie jestem dupkiem – mówi i zaczyna robić skręta z wyjątkową precyzją. Prosty i gruby. Elegancka robota.

– Naprawdę? Odniosłam wrażenie, że jest wręcz przeciwnie – odpowiadam i zaraz tego żałuję. Dlaczego nie mogłam powiedzieć: „A właśnie, że jesteś” albo „Zostaw mnie w spokoju”? Dlaczego czasami odzywam się jak sześćdziesięciolatka? – Twoja mama cię nie zobaczy?

– To stuprocentowo legalne, zaaprobowane, o działaniu leczniczym. Na receptę od psychiatry.

– Poważnie?

– Bez jaj. Na stany lękowe. – Słyszę w jego głosie uśmiech i sama się bezwiednie uśmiecham. „Takie

coś tylko w Kalifornii” – myślę. Theo wyciąga rękę ze skrzynką, ale odmawiam. Mój ojciec miał wystarczająco dużo traumatycznych przeżyć jak na jeden dzień. Nie potrzeba mu jeszcze widoku córki palącej marihuanę z rozkapryszonym pasierbem. Jak na farmaceutę ma zaskakująco konserwatywne podejście do środków leczniczych. – Zresztą pewnie poczułaby ulgę, że to tylko trawka. Chłopak z naszej szkoły w zeszłym roku przedawkował heroinę.

– Straszne – mówię. W mojej szkole też mnóstwo ludzi bawiło się w narkotyki. Wątpię, żeby mieli tu mocniejsze rzeczy, ale na pewno o wiele droższe. – Ciekawe, na co on dostał receptę.

Theo patrzy na mnie z ukosa i dopiero po chwili dociera do niego, że żartuję. Zwykle pozwalam sobie na dowcipy w niewłaściwych momentach. I są mroczniejsze, niż powinny być. Ale nic nie szkodzi, Theo może się tego o mnie dowiedzieć.

– Wiesz, w każdej innej sytuacji moglibyśmy się zaprzyjaźnić. Nie jesteś taka zła. To znaczy Ashby byłaby w siódmym niebie, gdyby mogła zrobić ci makijaż, ale materiał wyjściowy już masz. I wiem, że na swój sposób jesteś okej. Nawet zabawna. – Theo patrzy prosto przed siebie i wygłasza te dwuznaczne komplementy wzgórzom w oddali. – Ale twój ojciec jest okropny.

– A ty jesteś dupkiem. Poważnie.

Theo śmieje się i drży na niewidocznym wietrze. Noce są tu chłodniejsze, ale i tak za ciepłe na chustkę, którą zawiązał sobie wokół szyi. Zaciąga się, mocno i długo. Nigdy nie paliłam trawy, ale rozumiem, na czym polega jej atrakcyjność. Wyczuwam, jak się rozluźnia, siada głębiej na leżaku. Mnie też rozluźniła lampka wina, szkoda, że Rachel nie zaproponowała mi jeszcze jednej. Tego akurat bym nie odmówiła.

– Taaa. Wiem. Ale masz pojęcie, co mnie czeka w szkole z jego powodu? Chryste Panie!

– Wcale mi nie jest Ciebie żal.

– Wiem. Nie powinno.

– Dla mnie to też jest beznadziejne. Wszystko. Każda jedna minuta każdego jednego dnia – mówię i dopiero wtedy zdaję sobie sprawę, ile w tym prawdy. „Myliłeś się, tato: mogło być gorzej. Jest o w i e l e gorzej”. – W Chicago miałam swoje życie. Przyjaciół. Ludzi, którzy mówili mi „cześć” na korytarzu.

– Mój tata zmarł na raka płuc – rzuca Theo bez związku i znowu się zaciąga. – To dlatego palę. Uznałem, że skoro człowiek biega codziennie dwadzieścia kilometrów, a i tak dopada go nowotwór, to ja przynajmniej sobie na niego zasłużę.

– To najbardziej idiotyczna rzecz, jaką w życiu słyszałam.

– Wiem. – Theo gasi skręta i starannie zawija na później to, co mu zostało. A potem wstaje i patrzy mi prosto w oczy. Nie ma w nim śladu wcześniejszej wściekłości.

– A tak na marginesie – przykro mi z powodu twojej mamy.

– Dzięki. A mnie jest przykro z powodu twojego taty.

– Dzięki. Chyba. I jeszcze jedno: czy mogłabyś zacząć jeść to, co jest w kuchni? Gloria ciągle mnie męczy, mówi, że przez ten ramen zrobisz się *guapo*.

– Zrobię się p r z y s t o j n y?

– *Gordo. Gorda*. Czy jak to szło. Będiesz tłuściutkim grubasem. No dobra, dosyć prac społecznych na dzisiaj.

– A jednak duppek – mówię, ale pozwalam, by uśmiech zabrzmiał w moim głosie. Theo też nie jest taki zły. Nie jest fajny, ale i nie najgorszy.

– Prawdopodobnie w dalszym ciągu nie będę z tobą rozmawiał w szkole – dodaje, a ja przez ułamek sekundy zastanawiam się, czy to czasem nie on jest K/N.

– Domyśliłam się – mówię.

Bez słów kiwa mi głową, odwraca się i znika w domu.

◆ Nowa żona taty. Nowa żona taty. Nowa żona taty”. Trzy słowa, które kompletnie do siebie nie pasują.

ROZDZIAŁ 6

Od: Jessie A. Holmes (jesster567@gmail.com)

Do: Ktoś Nikt (ktosnikt@gmail.com)

Temat: Skończyły mi się pomysły na błyskotliwe tytuły

Masz czasem wrażenie, że Twoje życie jest jednym wielkim koszmarem sennym, i nie ustajesz w nadziei, że w końcu się obudzisz, ale nigdy tak się nie dzieje?

.....

Od: Ktoś Nikt (ktosnikt@gmail.com)

Do: Jessie A. Holmes (jesster567@gmail.com)

Temat: Śpiąca Królewna

eeee tak. aż tak źle?

.....

Od: Jessie A. Holmes (jesster567@gmail.com)

Do: Ktoś Nikt (ktosnikt@gmail.com)

Temat: Prędzej zła siostra Kopciuszka

Nie, przepraszam. Mam dzisiaj nastrój do uzalania się nad sobą. Nie powinnam była pisać.

.....

Od: Ktoś Nikt (ktosnikt@gmail.com)

Do: Jessie A. Holmes (jesster567@gmail.com)

Temat: wróżba z ciasteczka

co Ty, nie przepraszaj.

wiesz, co mówią? że poziom zadowolenia ze szkoły średniej jest odwrotnie proporcjonalny do późniejszego sukcesu w życiu.

.....

Od: Jessie A. Holmes (jesster567@gmail.com)

Do: Ktoś Nikt (ktosnikt@gmail.com)

Temat: W łóżku

Naprawdę? W takim razie hurra, bo to oznacza, że zostanę dyrektorem naczelnym całego cholernego świata.

.....

Od: Ktoś Nikt (ktosnikt@gmail.com)

Do: Jessie A. Holmes (jesster567@gmail.com)

Temat: Re: W łóżku

o nie, nie. to ja nim będę.

.....

Jest północ. Leżę w łóżku i nasłuchuję obcych dźwięków dochodzących z zewnątrz. Kalifornia nawet b r z m i inaczej. Podobno wśród wzgórz żyją kojoty, zagrożenie stanowią także pożary lasów i osunięcia ziemi. Los Angeles zawsze tkwi na krawędzi apokalipsy.

Nie mogę tak leżeć i czekać, aż nadejdzie sen albo jutro. W głowie mi wiruje. Herbata! Tego właśnie mi trzeba, czegoś gorącego i uspokajającego. Rumianek smakuje tak samo w Los Angeles jak w Chicago. Odsuwam więc kołdrę i wkładam kapcie zajączki – dostałam je od mamy na trzynaste urodziny, ale teraz wyglądają już dość przerażająco, bo każdemu brakuje po oku – i schodzę cicho na dół, stopień po stopniu, żeby nikogo nie obudzić.

W ciemności kuchnia wydaje się bardzo odległa. Muszę przejść przez cały salon, żeby do niej dotrzeć, a boję się, że po drodze na coś wpadnę. Idę pomału, wyciągam przed siebie ręce i w takiej właśnie pozycji zastygam, jakbym była lunaticzką z bajki animowanej, gdy mój wzrok pada na nich.

Tata i Rachel siedzą blisko siebie na sofie stojącej z boku, oświetla ich pojedyncza lampka do czytania. Na szczęście mnie nie widzą, bo teraz zakrywa mnie kolumna. Jest mi wstyd, że tak ich przyłapałam, a do tego jestem trochę zaskoczona, bo teraz widzę, że nie są dla siebie obcymi ludźmi, którzy w przyływie chwili postanowili razem zamieszkać. Wyglądają jak prawdziwe małżeństwo.

To intymna chwila, ale nie taka jak przy kolacji, kiedy Rachel położyła dłoń na ręce taty, co z perspektywy czasu wydaje mi się gestem skierowanym raczej do Theo i do mnie. Teraz pochylają się, głowa przy głowie, a na ich kolanach leży album, którego nigdy wcześniej nie widziałam. Widocznie należy do Rachel. Czyżby pokazywała tacie zdjęcia s p r z e d? Nieżyjącego męża? Dowody na to, że w tym domu mieszkała kiedyś normalna rodzina? Nie słyszę, co Rachel mówi, ale dostrzegam coś w jej zwieszonych ramionach, w tym, jak tata wyciąga ręce i ujmuje jej twarz, jakby to był niezwykle cenny i kruchy obiekt – coś, co świadczy o tym, że Rachel płacze. On zresztą chyba też.

Serce mi wali, żołądek podchodzi do gardła. Wyobrażam sobie te zdjęcia. Może jedno z nich przedstawia pięcioletniego Theo podnoszonego za ręce przez idących obok rodziców? Ja mam taką właśnie fotografię w moim albumie s p r z e d. Mama po prawej, tata po lewej, a ja w środku, złapana w magicznej chwili, gdy unosiłam się nad ziemią. Śmieję się tak szeroko, że widać, jaka jestem

szczerbata. Czy tata pokazał jej nasze zdjęcia? Podał jej na tacy wszystko – całą naszą historię – ot, tak?

Łzy napływają mi do oczu, ale je powstrzymuję. Nie wiem, dlaczego chce mi się płakać. Nagle wszystko wydaje się bezpowrotnie stracone – tak jak to bywa w środku nocy, kiedy człowiek jest sam. Kiedy przygląda się,

Wycofuję się, idę bezszelestnie, a droga powrotna wydaje się o wiele dłuższa niż zejście na dół. Modłę się, żeby mnie nie zobaczyli, żebym zdołała uciec, zanim się złączą całować. Nie mogłabym na to patrzeć. Gdy w końcu docieram do schodów, zmuszam się, żeby wchodzić pomału, po cichu, po jednym stopniu. Zmuszam się, żeby nie biec tak szybko, jak tylko poniosłyby mnie moje dziwaczne kapcie zajączki.

jak jego własny ojciec pociesza swoją nową żonę. Kiedy jest zrozpaczony, ale jego nie ma kto pocieszyć.

ROZDZIAŁ 7

Dzień piętnasty: lepszy, gorszy, może jednak lepszy. Słońce nadal świeci z bezlitosną wytrwałością. Ludzie z klasy to nadal gogusie, a dziewczyny nadal wyglądają na dojrzałe ode mnie, bardziej pewne siebie. Jak gdyby szesnaście lat oznaczało co innego na zachodzie kraju niż tam, skąd pochodzę.

Upokorzenia zaczynają się wcześniej, już na lekcji. „I bardzo dobrze” – myślę. „Szybciej będę miała je za sobą”. Może jednak jestem nieodrodną córką swojego ojca? Wieczną optymistką?

– Gap to straszna pleba, nie sądzisz? – Gem zwraca się do swojej cudnej bliźniaczki, oczywiście mając na myśli moje dzinsy, chociaż zupełnie nie wiem, co chce powiedzieć. „Pleba” to skrót od „plebejskie”? Że niby moje spodnie są typowe dla przeciętnych ludzi? Oczywiście, że tak. Tak samo zresztą jak majtki z Cosco^[7], które najchętniej bym opuściła, żeby mogła mnie pocałować w dupę.

Wściekłość dodaje mi odwagi, skłania raczej do działania niż do zamknięcia się w skorupie. Nie będę wdawała się z nimi w dyskusję, bo nie czuję się na siłach. Ale zwrócę się do Adrianny, która siedzi obok, bo po co odkładać to, co można zrobić od razu. Ignoruję palącą twarz, nie odwracam się, żeby sprawdzić, czy Batman cokolwiek słyszał, i udaję, że nie zauważyłam, że ktoś mnie obgadywał.

– Podobają mi się twoje okulary – mówię ciut głośniej od szeptu.

Adrianna mruga kilkakrotnie, jakby podejmowała decyzję na mój temat, a potem się uśmiecha.

– Dzięki. Zamawiałam przez Internet, więc miałam trochę obaw. – Wyczuwam zaproszenie w tym głosie, który – tak samo jak mój – jest cichy. Nie tak krzykliwy jak u innych tutaj. Brązowe włosy związała w luźny kok, duże brązowe oczy podkreśliła czarną kredką, usta ma pomalowane intensywnie czerwoną szminką. Całościowy efekt bardzo ładny, lepszy niż każdy element z osobna. – Naprawdę ci się podobają?

– Tak. Warby Parker, prawda? Robią eleganckie oprawki. – Słyszę przed sobą śmiech Gem i Crystal, może dlatego, że użyłam określenia „eleganckie”. I co z tego.

– No. – Adrianna się uśmiecha i przekazuje mi spojrzeniem, żebym je zignorowała. „Suki” – szepcze bezgłośnie.

„Wiem” – odpowiadam w taki sam sposób i się uśmiecham.

Po lekcjach zbieram się na odwagę, by powiedzieć Batmanowi, że musimy się „odpartnerować”, bo ja nie będę ryzykowała złamania regulaminu szkoły tylko dlatego, że on nie potrafi współpracować z innymi. Dzisiaj czuję się waleczna, sił dodało mi nawiązanie kontaktu z Adrianną i olanie blond lalun. A może to, że po raz pierwszy, odkąd przeprowadziłam się do Los Angeles, na śniadanie zjadłam coś innego niż tosty z masłem orzechowym. Tak czy inaczej, będę odporna na magię przystojnego Batmana.

„Nie jest w moim typie” – wmawiam sobie, zanim ruszę w stronę fotela przy Cafejce Cawowej, który zwykle zajmuje.

„Nie w moim typie” – tłumaczę sobie, kiedy dostrzegam go w całej jego czarno-niebieskiej okazałości.

„Nie w moim typie, naprawdę” – dodaję, gdy się okazuje, że muszę czekać w kolejce za grupką dziewczyn w sile pięciu lwic, z których jedna jest ewidentną przywódczynią, a pozostałe to ubrane na jej modłę sługusy. Wszystkie gotowe obedrzeć cię żywcem ze skóry, jeśli z nimi zadrzesz.

– Eth, powiedz, że będziesz w sobotę – mówi przywódczyni, dziewczyna o imieniu Heather, nic a nic nie przejmując się jego lekceważącym wzruszeniem ramion ani tym, że ciągle zerka na książkę. Dzisiaj to nie jest Sartre, tylko *Drakula*, co uważam za niezły wybór i jakże adekwatny do pory roku, zważywszy na to, że zbliża się Halloween.

„Nie w moim typie, nie w moim typie, nie w moim typie”.

– Może – odpowiada. – Zobaczymy. Wiecie, jak jest.

Użył słów, które absolutnie nic nie wyrażały. Imponujące w swojej nicości. Nie jestem pewna, czy potrafiłabym wyrazić tak mało aż w tylu słowach, nawet gdybym się postarała.

– Pewnie, Ethan – mówi inna dziewczyna. Ma na imię Rain albo Storm. A może Sky. W każdym razie coś kojarzącego się meteorologicznie. – To na razie, nie? Do zobaczenia.

– Jasne – mówi chłopak, po czym przestaje udawać zainteresowanie i wraca do książki, chociaż one jeszcze nie odeszły. Widocznie skończyła mu się energia.

– Okej, to pa! – Heather obdarza go najlepszym ze swoich uśmiechów – zęby ma oczywiście idealne, ponieważ LA to kraina porcelanowych licówek. Poprzedniego wieczoru wyguląłam „licówki” i przekonałam się, że jedna sztuka kosztuje co najmniej tysiąc dolarów, a to oznacza, że jej uśmiech jest wart pięć razy więcej niż mój samochód.

– Pa, pa! – Koleżanki Heather żegnają się i odchodzą. Batman wydaje się zadowolony z tego powodu.

– Czym mogę służyć? – pyta, jakbym była następną klientką w kolejce w drive-through. Przypominam sobie nasz projekt na angielski i założenie Batmana, że może mnie zmusić, do czego tylko chce.

– Ta *Ziemia jałowa*... – zaczynam i wsuwam ręce w tylne kieszenie spodni, starając się wyglądać luzacko. – Nie ma sprawy, jeśli nie chcesz, żebyśmy razem to opracowali, ale w takiej sytuacji muszę powiedzieć o tym pani Pollack i poszukać sobie innego partnera. Nie może być tak, że sam wszystko zrobisz.

No i proszę, dałam radę. Nawet nie było tak trudno. Oddycham z ulgą. Czuję się oszołomiona i kręci mi się w głowie, ale mam nadzieję, że tego nie widać. Maską jest mocno przyklejona do mojej twarzy. W sumie szkoda, że nie wręczy mi teraz Happy Meal, żebym mogła odejść.

– Na czym polega problem? Powiedziałem ci, że dostaniesz A – odpowiada i siada głębiej. Zawładnął tym fotelem bardziej niż ja ławką, na której jem drugie śniadanie. Znowu na mnie patrzy, a jego niebieskie oczy wyglądają dzisiaj prawie popielato: jak zimowe niebo w Chicago. Dlaczego on zawsze wydaje się zmęczony? Nawet jego włosy sprawiają takie wrażenie – unoszą się przypadkowo, po czym opadają, jakby ugięły się w poczuciu klęski.

– Nie o to chodzi. Sama potrafię zdobyć A, nie muszę oddawać cudzej pracy – stwierdzam i krzyżuję ręce na piersi. – A zresztą to wbrew kodeksowi honorowemu.

Zerka na mnie

– Kodeks honorowy? – powtarza.

Pieprzyć go. Pewnie jest synem jakiegoś znanego aktora albo reżysera i nie musi się martwić o miejsce w szkole. Ani o studia. Pewnie nawet nigdy wcześniej nie słyszał słowa „stypendium”. Musiałby sprawdzić jego znaczenie w słowniku.

– Jestem tu nowa, tak? Nie chcę stąd wylecieć ani narobić sobie kłopotów. To trzecia klasa, więc wszystko jest ważne. Dlatego mam w nosie, czy uważasz, że to głupie, dziwne czy jakie tam.

– Czy jakie tam – powtarza Batman. Kolejny zagadkowy uśmiech.

Nienawidzę go, poważnie. Kiedy Gem i Crystal się ze mnie nabijają, przynajmniej robią to z powodów, które nie mają większego znaczenia: mojego ubrania, a nie tego, co mówię. W głowie słyszę teraz głos mamy. Tylko przez ułamek sekundy, bo przecież wyparował jak woda, która stała się powietrzem, albo rozpadł się jak cząsteczki, które przerodziły się w pył. Słyszę go przez krótką chwilę, ale za to bardzo wyraźnie: „Człowiek może poczuć się głupcem nie z powodu innych, a tylko z powodu samego siebie”.

– Czy jakie tam – powtarzam i ja, jakby to było zabawne. Jakby nie mógł mi sprawić bólu. Przygryzam wargę, żeby powstrzymać łzy. Skąd się nagle wzięły? „O nie. Nie teraz. Nie ma mowy”. Biorę wdech i znikają. – Naprawdę, poszukam kogoś innego, to żaden problem.

Zmuszam się, żeby spojrzeć mu w oczy. Wzruszam ramionami, jakbym miała to wszystko gdzieś. Jakby do mnie też się ustawiały kolejki fanów. Batman patrzy mi w twarz, potrząsa lekko głową, jak gdyby chciał się obudzić, a potem się uśmiecha. Ale nie jest to grymas, brakuje w nim okrucieństwa czy wredoty. To klasyczny, staroświecki uśmiech.

Nie ma porcelanowych licówek, za to ma szparę między zębami. Jego jedynki są ciut krzywe, przechylone minimalnie na prawo, jakby sądziły, że perfekcja jest przereklamowana. I chyba jednak nie maluje sobie oczu kredką. Po prostu ma takie wyraziste rysy.

– Okej, zróbmy tak – mówi.

– Słucham? – Jestem rozkojarzona, ponieważ pod wpływem uśmiechu jego twarz ulega przeobrażeniu. W jednej chwili z przystojnego, posępnego nastolatka przeradza się w wesołego, nieco zakłopotanego chłopaka. Wyobrażam go sobie jako trzynastolatka, nieśmiałego, wrażliwego, zupełnie innego od osoby, która zajmuje fotel przy Cafejce Cawowej. Podejrzewam, że wolałabym go w tamtej wersji, kiedy czytał komiksy Marvela zamiast Sartre’a i nie musiał zmagać się z dylematami, które napełniają go smutkiem, złością, zmęczeniem czy czymkolwiek, co go dręczy.

Z całą pewnością wolę go w wersji uśmiechniętej.

– Zróbmy razem ten projekt. *Najokrutniejszy miesiąc to kwiecień* i tak dalej. Nie jest to, co prawda, mój ulubiony poemat, ale za to doniosły – mówi, wsuwa zakładkę do *Drakuli* i zamyka książkę. Koniec, decyzja podjęta. Proszę, oto zamówione McNuggetsy i dodatkowy sos musztardowy. Proszędziękujniemazaco.

– Okej – rzucam, ponieważ odczytywanie Ethana mnie spowolniło. Teraz to ja jestem zmęczona. Jego uśmiech wydaje się ujawniać ukrytą zagadkę. Jakim cudem brak perfekcji dodaje mu perfekcyjności? I czy on właśnie użył słowa „doniosły”? Jesteś smutny, zły czy po prostu szesnastoletni?

– Naprawdę mamy tu kodeks honorowy? – pyta.

– Owszem. Całe dziesięć stron.

– No proszę, człowiek codziennie uczy się czegoś nowego. Nie poznaliśmy się chyba oficjalnie, prawda? Jestem Ethan. Ethan Marks.

– Jessie – odpowiadam i ściskamy sobie ręce jak dorośli: żadnego przybijania piątek, fałszywych buziaków ani skinień głową. Ma długie, szczupłe palce. Podobają mi się tak samo jak jego uśmiech. A jeszcze bardziej podoba mi się, że mogę ich dotknąć. – Holmes.

– Miło mi cię wreszcie poznać, Jessie. – Milknie na chwilę. – Holmes.

Dzień piętnasty. Zdecydowanie lepszy.

Nieco później, na wuefie, idę po bieżni razem z Dri – twierdzi, że tak mówią na nią przyjaciele, ponieważ Adrianna „zbyt się kojarzy z programami typu reality show” – i śmiejemy się, licząc, ile razy pan Shackleman próbuje ukradkiem poprawić sobie jajka. To ulubiona zabawa Dri. K/N miał rację: ona jest rzeczywiście zabawna.

– Nie jestem pewna, czy tak go swędzą, czy stara się ukryć wzwód po oglądaniu biegu „Osi Zła” – mówi. Gemma i Crystal zrobiły już trzy okrążenia więcej niż my i nawet się nie spociły, nawet nie dyszą. Wyglądają świetnie, sama się im przyglądam.

Pan Shackleman wydaje się niewiele starszy od nas, tyle że zdążył się już dorobić mięśnia piwnego i niewielkiego łysego placka z tyłu głowy. Ma na sobie krótkie sportowe spodenki i używa plastikowego

gwizdka częściej, niż to konieczne.

– One są bliźniaczkami? – dopytuję się o Gem i Crystal.

– Nie – śmieje się Dri. – Ale przyjaźnią się chyba od zawsze.

– I zawsze były takie, no wiesz, sukowate? – Nienawidzę określenia „suka”. Gdy je stosuję, czuję się jak kiepska feministka, ale czasem nie ma lepszego słowa.

– Nie. Wiesz, jak to jest. Paskudne dziewczyny robią się paskudne w gimnazjum i zostają takie aż do spotkania klasowego zorganizowanego dziesięć lat po skończeniu szkoły, kiedy znów chcą się zaprzyjaźnić. Tak przynajmniej twierdzi moja mama.

– Zabawne, że szkoła średnia jest wszędzie taka sama – mówię i uśmiecham się do Dri. Staram się nie reagować dziwnie na dźwięk słowa „mama”, jakby wcale nie wznieciło płomienia w moim sercu. – Tu jest zupełnie inaczej niż tam, skąd pochodzę, a jednocześnie... w pewnych kwestiach identycznie.

– Studia. Tak blisko, a jeszcze tak daleko – mówi Dri. W niczym nie przypomina Scarlett, która jest odważna, nie boi się niczego i nikogo – wbrew temu, co twierdzi, to ona z nas dwóch jest tą odważniejszą – a jednak przeczuwam, że polubiłaby Dri. Przeprowadziłaby ją tak samo, jak prowadziła mnie przez te wszystkie lata.

– Ktoś znajomy powiedział mi niedawno, że poziom zadowolenia ze szkoły średniej jest odwrotnie proporcjonalny do późniejszego sukcesu w życiu – oznajmiam, sprawdzając, czy to przypadkiem ona nie jest K/N, co byłoby zdecydowanie lepsze, niż gdyby miał się nim okazać Theo. Może była zbyt nieśmiała, żeby wyciągnąć rękę? Przyglądam się badawczo jej twarzy, ale nie widzę żadnej reakcji.

„Nie, to nie ona”.

– Nie wiem. Mam nadzieję. – Sięga do kieszeni i wyciąga inhalator. – Przepraszam. Mam alergię na świat zewnętrzny. Oraz wewnętrzny. A także wszystko inne. Wiem, że przez to wydaję się pozbawiona kręgosłupa, ale uwierz mi, niemożność oddychania wygląda jeszcze gorzej.

Kiedy się lepiej poznamy, powiem jej, że nie ma za co przepraszać. Żadne umniejszanie siebie nie jest potrzebne. A potem śmieję się w duchu, bo chociaż Scar znajduje się ponad trzy tysiące kilometrów ode mnie, też tu jest. Bo coś takiego właśnie by mi powiedziała.

ponownie, widzę na jego twarzy cień uśmiechu. To chyba lepsze niż odmowa, ale i tak niezbyt przyjemne.

ROZDZIAŁ 8

Theo ma na sobie dzinsy tak obcisłe, że wyglądają jak tatuaże na udach, a do tego skórzaną kamizelkę. Jestem prawie pewna, że ubieranie się jest dla niego nakładaniem kostiumów. Dzisiaj odgrywa rolę półgołego i zaskakująco seksownego członka Hells Angels.

– Widzę, że analizujesz moje czworogłowe – stwierdza, otwierając lodówkę. Wyjmuje dwie szklanki z jakimś dziwnym świeżo wyciśniętym sokiem i podaje mi jedną. – Proszę. Dzięki temu nie dostaniesz krzywicy.

Siedzę na kuchennym stołku i czytam. Ten ogromny dom znów mnie oszukał: sądziłam, że jestem sama. Gdybym wiedziała, że Theo jest u siebie, nie wyszłabym z pokoju z maseczką złuszczającą na twarzy. To nie jest moja najlepsza wersja, kostium czy nie kostium.

– Co to ma być, do diabła? – pytam, upijając łyk soku, który jest zielony, mętny i – jak się okazuje – ohydny w smaku. Z trudem powstrzymuję odruch wymiotny.

– Jarmuż, imbir, ogórek i buraki. Chyba trzeba było najpierw dać ci coś z większą zawartością owoców. Zapomniałem, że nie jesteś koneserem soków.

– Koneserem soków? Poważnie? Wiesz co, czasami rozmowa z tobą przypomina mi oglądanie reality show. Jest zabawna tylko dlatego, że nie może być prawdziwa.

– To jest prawdziwe, dziecinko. – Theo znów chwali się swoimi imponującymi mięśniami.

– Nie jest źle. Jak rozumiem, poszedłeś w styl motocyklisty.

– Motocyklisty? Celowałem w rockmana.

– To też.

– Ale zdrowego, muskularnego rockmana, a nie zaćpanego i wychudzonego, prawda?

– Oczywiście, że tak.

Theo sprawia wrażenie, jakby moje słowa go uspokoiły, a ja po raz pierwszy dochodzę do wniosku, że może nie jest aż tak pewny siebie. Upijam kolejny łyk soku, teraz już wiem, czego się spodziewać. W jego ohydztwie jest coś dziwnego. Nie mogę się zdecydować, czy jest wstrętny, czy pyszny – tak samo czuję się w układzie z Theo.

– Idziesz dzisiaj na imprezę do Heather? Będzie niesamowicie. Jej tata pojechał ze swoją nową dziewczyną do Tajlandii i Heather ma do dyspozycji ogromną rezydencję w Hills. Oni mają nieprzyzwoicie dużo pieniędzy.

Moment, K/N też ostatnio użył określenia, że szkoła kosztuje nieprzyzwoicie dużo. Ale to przecież jeszcze nic nie znaczy. Patrzą na Theo i pokazuję na moją maseczkę.

– A jak myślisz?

– O nie. Nie każ mi się nad sobą litować i zabierać się na imprezę do Heather.

– Cóż za cudowne zaproszenie! Jednak dziękuję. Mam lekcje do zrobienia.

– Nie wierzę ci. Jest sobota wieczór.

– Nie mam się w co ubrać.

– W to akurat wierzę. Ale jestem pewien, że dalibyśmy radę coś skombinować.

– Dzięki, doceniam współczucie i w ogóle, ale może następnym razem.

– Twoja strata – stwierdza, po czym zeskakuje ze stołka i próbuje przybić ze mną żółwika. – Nie wypal całej mojej trawy.

Od: Jessie A. Holmes (jesster567@gmail.com)

Do: Ktoś Nikt (ktosnikt@gmail.com)

Temat: Sobotnia noc

Jesteś na imprezie u Heather?

.....

Od: Ktoś Nikt (ktosnikt@gmail.com)

Do: Jessie A. Holmes (jesster567@gmail.com)

Temat: już prawie niedziela rano

może. a Ty?

.....

Od: Jessie A. Holmes (jesster567@gmail.com)

Do: Ktoś Nikt (ktosnikt@gmail.com)

Temat: Niezupełnie. Jeszcze 2 h

Gdybyś tam był, chyba wiedziałbyś, czy jestem, czy mnie nie ma.

.....

Od: Ktoś Nikt (ktosnikt@gmail.com)

Do: Jessie A. Holmes (jesster567@gmail.com)

Temat: dobrze. wygrałaś. sobotnia noc

nie próbuj brać mnie podstępem. imprezy u Heather są OLBRZYMIE.

.....

Od: Jessie A. Holmes (jesster567@gmail.com)

Do: Ktoś Nikt (ktosnikt@gmail.com)

Temat: Łatwo się poddałeś

I to Ty lubisz podstępny.

.....
Od: Ktoś Nikt (ktosnikt@gmail.com)

Do: Jessie A. Holmes (jesster567@gmail.com)

Temat: podoba mi się, że można prowadzić...

czy to nasza pierwsza kłótnia :-)?

.....

Od: Jessie A. Holmes (jesster567@gmail.com)

Do: Ktoś Nikt (ktosnikt@gma

OMG, użyłeś emotikonu?

.....

Od: Ktoś Nikt (ktosnikt@gmail.com)

Do: Jessie A. Holmes (jesster567@gmail.com)

Temat: ...dwie rozmowy naraz

teoretycznie rzecz biorąc, to był emotikon, Ty odpowiedziałś „OMG”, więc chyba jesteśmy kwita. nie chciałbym zarzucać Cię nowinkami technicznymi z początku stulecia, ale może przejdziemy na czat? to odświeżanie poczty co dwie sekundy jest dość denerwujące, chociaż będzie mi brakowało Twoich tematów...

.....

Ja: Gotowe.

Ktoś/Nikt: ooo, od razu lepiej.

Ja: Prawda? Nie chciałbym zmuszać Cię do szalonych futurystycznych rozwiązań, ale zawsze możemy pisać do siebie SMS-y. W ten sposób komunikują się normalni ludzie.

Ktoś/Nikt: i miałbym zrezygnować z anonimowości? dziękuję bardzo. czyli sobotnia noc albo prawie niedzielny poranek. na imprezie czy nie?

Ja: Nie. A Ty?

Ktoś/Nikt: byłem. ale już nie jestem. siedzę w samochodzie i prowadzę z Tobą rozmowę za pomocą kciuka. czy to zabrzmiało nieprzyzwoicie? nie taka była moja intencja. no chyba że Ci się to spodobało.

Ja: Po prostu Cię zignoruję.

Ktoś/Nikt: zrób tak. ta cała anonimowość mnie trochę ogłupia.

Ja: Bo ta cała anonimowość JEST głupia.

Ktoś/Nikt: naprawdę? nie jestem pewien. w każdym bądź razie tak to jest.

Ja: Wyrażenie „w każdym bądź razie” jest niepoprawne.

Ktoś/Nikt: mądrała. dobrze, dobrze. przyznaję się do błędu. błędziku właściwie.

Ja: Jesteś prawdziwym oryginałem, ale w jak najbardziej pozytywnym znaczeniu tego słowa.

Ktoś/Nikt: sytuacja u Ciebie trochę się polepszyła? na początku tygodnia tkwiłaś w szklanym kloszu, zaczynałem się niepokoić.

Ja: Zdecydowanie lepiej. Dzięki za troskę. A u Ciebie? W porządku?

Ktoś/Nikt: jakoś leci. to nie jest najlepszy rok mojego życia.

Ja: Wiem, jak to jest.

Ktoś/Nikt: naprawdę? mam nadzieję, że nie, ale podejrzewam, że mówisz prawdę. masz smutne oczy.

Ja: Poważnie? A kiedy widziałeś moje oczy?

Ktoś/Nikt: nie widziałem. nie tak naprawdę. miałem na myśli Twoje czoło. masz smutne czoło.

Ja: Nie mam pojęcia, co powinnam zrobić z tą informacją. Botoks?

Ktoś/Nikt: dziewczyna z Chicago zmienia się w laskę z LA. nie, nie.

Przerywam pisanie i zaczynam macać swoje czoło. Owszem, mam tendencję do jego marszczenia – od zawsze. Mama mnie ostrzegała, że jeśli będę tak ciągle robić, zostanie mi zmarszczka, taka sama jak u niej. Tyle że ona miała na środku czoła wykrzyknik, który promieniował entuzjazmem, może nawet radością. A nie zmartwieniem.

Czy wiecznie wydaję się smutna? Mam nadzieję, że nie. Nie chcę być smutną dziewczyną, nie jestem kimś takim. Chociaż w sumie to nieprawda. Prawda jest inna: nie chcę być tak postrzegana.

Ktoś/Nikt: jesteś tam jeszcze? powiedziałem coś nie tak? gwoli ścisłości, podoba mi się Twoje czoło takie, jakie jest.

Ja: Zamyśliłam się. Przepraszam.

Ktoś/Nikt: ach, nie rób tego więcej, bo możesz wyrządzić sobie krzywdę.

Ja: Opowiedz mi lepiej o imprezie. #zastępczeuczestnictwowimpresie

Ktoś/Nikt: ble. typowa balanga licealistów. tyle że był tam słynny DJ, o którym nigdy nie słyszałem, a ojciec Heather ma świetny dom. wszyscy byli nieźle wstawieni.

Ja: Ty też?

Ktoś/Nikt: nie, ja prowadzę. nie lubię przeginać. zresztą i tak wiedziałem, że długo tam nie pobędę.

Ja: Po prostu się pokazałeś.

Ktoś/Nikt: nie wiem. to wszystko jest czasem takie idiotyczne... albo nudne.

Ja: Doskonale Cię rozumiem. W Chicago też tak było, chociaż zamiast superdomów i sławnych DJ-ów w grę wchodziły kręgle. Ale i tak...

Ktoś/Nikt: głupie i nudne. chociaż nie. raczej beznadziejne. beznadziejne i nieistotne.

Ja: A jednak niesamowicie ważne dla całej reszty i może nawet mikroskopijnie ważne dla Ciebie, co już samo w sobie jest zawstydzające. Czy to, co piszę, ma sens?

Ktoś/Nikt: absolutnie. tak na marginesie: rozmowa z Tobą jest istotna.

Ja: Naprawdę?

Ktoś/Nikt: naprawdę.

il.com)

Temat: ???

ROZDZIAŁ 9

Zanim zmarła moja mama, często rozmawialiśmy ze Scarlett o „idealnym dniu”. Co musiałyby się wydarzyć – od chwili obudzenia do pójścia spać – żeby ten dzień był lepszy niż wszystkie inne. Nie miałyśmy wygórowanych marzeń, a przynajmniej ja takich nie miałam. Skupiłam się głównie na tym, czego nie powinno w nim być. Pragnęłam dnia, w którym nie uderzyłabym się w duży palec u nogi, nie poplamiałabym bluzki, nie czułabym się nieśmiała, zakłopotana i nieatrakcyjna. Nie spóźniłabym się na autobus, nie zapomniałabym stroju na wuef. A kiedy po obiedzie spójrzałabym w lustro, nie zauważyłabym jedzenia między zębami ani niczego w nosie.

Oczywiście nie chodziło wyłącznie o brak tego czy owego. Z pewnością dorzuciłabym pierwszy pocałunek, chociaż nie byłam w stanie powiedzieć z kim – jakimś bezimiennym, pozbawionym twarzy chłopakiem, dzięki któremu w mojej fantazji czułam się swobodnie, atrakcyjnie i po prostu dobrze. Może wyobrażałam sobie, że rano, przed wyjściem do szkoły, jem naleśniki zrobione przez mamę? Zawsze przyrządzała je w kształcie moich inicjałów, chociaż byłam już za stara na takie rzeczy. Jak się okazuje, na takie rzeczy człowiek nigdy nie jest za stary. A na kolację jej wegetariańskie lasagne. Pycha!

Żadnych szaleństw.

Kto wie? Może to byłby dzień pizzy w stołówce. Nasza szkoła serwowała zaskakująco smaczną pizzę.

Idealny dzień nie musiał obejmować fantastycznej wyprawy na Karaiby, skoków ze spadochronem ani przytulania się do pleców motocyklisty w skórzanej kurtce, chociaż to wszystko, i znacznie więcej, znajdowało się oczywiście na liście Scarlett.

Ja zawsze ceniłam sobie prostotę.

Teraz, po tym w s z y s t k i m, co się wydarzyło, nie jestem w stanie wyobrazić sobie idealnego dnia. Jak miałby wyglądać, skoro nie ma już mamy?

Sięgam pamięcią do tego, co było wcześniej, p r z e d p r z e d p r z e d, i wszystkie dni wydają mi się idealne. Kto by się przejmował stłuczonym palcem albo babolem w nosie. Miałam mamę, i to nie j a k a ś t a m m a m ę, a l e m o j ą w ł a s n ą, którą kochałam w sposób, w jaki nie każdy kocha swoją rodzicielkę. To znaczy zdaję sobie sprawę, że k a ż d y kocha matkę, ponieważ to matka, ale w moim przypadku było inaczej. Kochałam ją, ponieważ była super, interesująca, pełna ciepła, zawsze mnie wysłuchiwała i nadal przyrządzała mi naleśniki w kształcie inicjałów, bo – chociaż ja tego nie rozumiałam – wiedziała, że z pewnych rzeczy nigdy nie wyrosnę. Kochałam mamę, ponieważ przeczytała mi na głos całutkiego *Harry’ego Pottera*, a kiedy skończyła, też miała ochotę przeczytać go ponownie.

Jednego, czego się nauczyłam w ciągu ostatnich dwóch lat, to to, że pamięć jest kapryśna i ulotna. Kiedy czytam *Harry’ego Pottera*, już nie słyszę głosu mamy, ale wyobrażam ją sobie obok mnie. A kiedy i to zawodzi, wyobrażam sobie czyjeś ciało obok mojego ciała, rękę stykającą się z moją ręką, i udaję, że mi to wystarcza.

Kochałam mamę, ponieważ należała do mnie. A ja do niej. I ta wzajemna przynależność już nigdy mnie nie spotka. Idealne dni są dla ludzi, którzy mają niewielkie, realne marzenia.

A może są dla nas wszystkich, tylko już miały miejsce: są idealne wyłącznie dlatego, że zawierają coś, co zostało bezpowrotnie i nieodwołalnie stracone.

ROZDZIAŁ 10

Przykro mi, zatrudniamy jedynie baristów z doświadczeniem w sieci Starbucks – mówi mi facet z kafejki, kiedy pytam o możliwość pracy popołudniami. Wygląda, jakby miał dwadzieścia kilka lat i większość pieniędzy zarobionych dzięki spienianiu mleka wydawał na żele do modelowania włosów. – To poważna praca. Traktujemy ją bardzo poważnie.

– Słucham? – pytam, bo szepcze coś, czego nie rozumiem.

– A nic, przepraszam, powtarzam rolę. – Pokazuje mi schowany pod ladą tekst. – Później mam przesłuchanie. Tak naprawdę jestem aktorem.

Chłopak – jeśli plakietka nie kłamie, ma na imię Guy – uśmiecha się, ale to nieszczerzy uśmiech, sprawia wrażenie, jakby wyświadczał mi przysługę.

– Grałem epizodyczną rolę w nowym serialu *Filthy Meter Maids*^[8].

– Super – stwierdzam, zastanawiając się, czy powinnam dodać, że wygląda znajomo. W tym sęk, że nie wygląda. – Jakim cudem zostałeś doświadczonym baristą w Starbucksie, skoro oni zatrudniają wyłącznie baristów z doświadczeniem w Starbucksie? Jajko i kura, co?

– Hę?

– Pytałam, jak udało ci się dostać tę pracę.

– A tak. Skłamałem.

– Skłamałeś?

– Powiedziałem, że wcześniej pracowałem w ich sieci. Przez wiele lat.

– Uwierzyli ci? – Myślę o tym, że po powrocie do domu zmienię życiorys, dodając adnotację: „Starbucks, Oak Park, 2013–2014”, i jutro znów tu wrócę. A potem wyobrażam sobie swój pierwszy dzień niedoświadczonej doświadczonej pracownicy kawiarni. Jestem pewna, że bym się poparzyła albo została zwyzywana przez sfrustrowanych klientów. Ludzie są wredni, zanim się nie napiją kawy.

– Widocznie jestem dobrym aktorem. – Guy się uśmiecha, a ja mam wrażenie, że mówi jednocześnie trzy rzeczy. Są słowa, które wypowiada na głos, jest tekst, który ćwiczy do roli, oraz to wszystko, czego nie werbalizuje, a co zdradza jego uśmiech: „Ależ nie ma za co”.

Po Starbucksie próbuję swoich sił w GAP-ie, sklepiku z wyciskanymi sokami, piekarni bezglutenowo-wegańskiej oraz w studiu Namaste Yoga. Już prawie tracę nadzieję, kiedy nagle zauważam małą księgarnię „Book Out Below!^[9]”, ulokowaną tuż obok sklepu z designerskimi ciuszkami dla dzieci. Co prawda na oknie nie wisi informacja o poszukiwaniu pracowników, ale i tak postanawiam spróbować.

Wchodzę do środka, od razu uderza mnie zapach książek i czuję się jak u siebie. Tak właśnie pachniał mój dom w Chicago: papierem. Krzyżuję palce w kieszeni na szczęście, odmawiam szybką modlitwę i ruszam pomiędzy regałami ku ladzie.

W normalnych okolicznościach nie spieszyłabym się, przesuwałabym palcami po grzbietach, sprawdzając, czy moją uwagę zwróci coś, co mogłabym później wypożyczyć z biblioteki. Jednak teraz potrzebna mi praca, a nie kolejne lektury. Chociaż nie prowadzę nawet śladowego życia towarzyskiego, i tak co wieczór siedzę do późna, żeby zrobić wszystkie lekcje i przygotować się do próbnych egzaminów. Dzisiaj mój organizm rozpaczliwie domagał się kofeiny, ale nie mogłam sobie pozwolić nawet na kupno głupiej coli w szkolnej kafejce. (K/N miał rację. Trzeba mieć minimum 10 dolarów na karcie kredytowej, ja mam dokładnie 8,76 dolara. Chciałam rano poprosić tatę o pieniądze, ale Rachel

była w kuchni, a nie zniosłabym, gdyby sięgnęła do portfela i dała mi dwudziestkę).

– W czym mogę służyć, kochanie? – pyta mnie sprzedawczyni, a ja na jej widok zdaję sobie sprawę, że odkąd się tu przeprowadziłam, nie widziałam ani jednej twarzy pokrytej zmarszczkami. Do teraz. Kobiety w LA mają napiętą skórę, napompowaną botoksem, przez co wydają się pozbawione wieku, mogą mieć czterdzieści lat, ale równie dobrze siedemdziesiąt. Ta babka ma jednak siwe, krótko podcięte włosy, krzyżujące się linie wokół ust i lnianą tunikę w rodzaju tych, które sprzedają w drogich sklepach hippisowskich. Podejrzewam, że jest w podobnym wieku co Rachel, chociaż sprawia wrażenie, jakby należała do innego gatunku. Rachel jest ostra, twarda, ona ma łagodne rysy.

– Dzień dobry, nie szuka pani może pracownika? – pytam, a w głowie słyszę głos Scarlett: „Obudź w sobie wewnętrzną boginię. Bądź pewna siebie, silna, stanowcza. Konkretna”. Ulubionym słowem mojej przyjaciółki jest właśnie „konkretny”, co w zasadzie mówi wszystko o jej charakterze. Z kolei moim ulubionym słowem jest „gofr”. Przepyszna przekąska, a w wersji angielskiej – *waffle* – także ciekawy czasownik.

Kobieta mierzy mnie wzrokiem, zauważa moje vansy, postrzępioną apaszkę i skórzaną kurtkę motocyklową, a także moje włosy, związane w niedbałą pętlę na czubku głowy. Może powinnam była postarać się o bardziej profesjonalny wygląd, ale nie mam garsonki ani niczego w tym rodzaju. Nawet na pogrzeb mamy musiałam pożyczyć ubranie od Scarlett. Przy okazji zniszczyłam jej ulubiony żakiet.

– A to zależy. Lubisz książki? – pyta kobieta.

Kładę plecak na ladzie i otwieram. Wyciągam sześć książek, które wypożyczyłam w zeszłym tygodniu. Od razu po przeprowadzce zapisałam się do biblioteki, uznałam, że chociaż książki będę miała tu za darmo.

– To są moje bieżące lektury. *Ziemia jałowa* i *Zbrodnia i kara* – do szkoły, ale resztę czytam dla przyjemności.

– Czytasz dla przyjemności książkę o hitlerowskich Niemczech? – pyta, wskazując na *Zagubionych* Daniela Mendelsohna.

– Lubię mieszać gatunki. Wydała mi się interesująca. To o człowieku, który próbuje odkryć, co się stało z jego rodziną.

– Hm. Trzeci tom antyutopii młodzieżowej, co świadczy o tym, że niestraszne ci wielotomowe przygody. Ooo, i stara dobra Gloria Steinem. Podoba mi się twój wybór. Eklektyczny gust.

– Zawsze lubiłam czytać. Mam to w DNA – odpowiadam i wstrzymuję oddech.

– Powiem ci, jak to wygląda – odzywa się kobieta, a ja słyszę jej przeproszający

– Proszę mnie wysłuchać. To nie musi być mnóstwo godzin, chyba że potrzebuje pani kogoś na mnóstwo godzin, wtedy jak najbardziej. Jestem elastyczna. Mogę przychodzić codziennie po lekcjach i w weekendy. Kocham książki, bardzo mi się podoba ta księgarnia, nawet zabawna gra słów w jej nazwie, chociaż nie jestem pewna tego wykrzyknika. Uważam, że tu pasuję. Przyniosłam życiorys, gdyby chciała pani zerknąć.

Wyjmuję moje żalonne CV: opieka nad dziećmi, krótka praca w Claire's, gdzie sprzedawałam spinki do włosów zasmarkanym siedmiolatkom, no i oczywiście wspaniałe dwa lata w Smoothie King. Oprócz tego jest tu lista zajęć pozaszkolnych (prowadzenie kroniki, gazetki szkolnej, kółko fotograficzne, poetyckie, hiszpański), wyniki GPA z poprzedniej szkoły oraz krótka część zatytułowana *Zainteresowania*: Czytanie. Pisanie. Przeżywanie żałoby. (No dobrze, tego ostatniego tam nie ma, chociaż powinno być. Jestem prawdziwą mistrzynią w tej dziedzinie).

Musiałam zmienić czcionkę na Courier rozmiar 16, żeby CV zajęło całą stronę.

– Do jakiej szkoły chodzisz?

– Wood Valley? – Moja odpowiedź brzmi jak pytanie. To przez nerwy. – Jestem w trzeciej klasie? Dopiero co się przeprowadziłam.

– Mój syn też tam chodzi. Do czwartej. Może go znasz? Liam Sandler.

– Przykro mi, ale naprawdę jestem nowa. Jeszcze nikogo nie zdążyłam poznać.

– Podobasz mi się – odpowiada kobieta, a jej uśmiech jest pełnym przeciwieństwem tego, co zaprezentował mi Guy ze Starbucksa. Dodaje mi otuchy, zamiast wyrażać samozadowolenie. – Muszę porozmawiać z Liamem. Ostatnio narzekał, że brakuje mu czasu na próby z zespołem. Jeśli zechce ci oddać swoje godziny, proszę bardzo.

– Bardzo pani dziękuję. Tu jest mój numer, proszę do mnie zadzwonić. Od razu, bez względu na godzinę. – Nie palę się do wyjścia, chociaż wiem, że powinnam już się wynosić. Mój los spoczywa w rękach jakiegoś czwartoklasisty, który chce częściej walić w swoją perkusję. Mam nadzieję, że ich próby będą się odbywać codziennie, i jeszcze w każdy weekend.

Chciałabym przeprowadzić się tutaj z domu Rachel, spać pod regałami, robić sobie gorące kubki, korzystając z wody z dystrybutora, który stoi w kącie. Chciałabym, żeby ta siwowłosa kobieta rozmawiała ze mną o książkach, pomagała mi w lekcjach i zapewniała, że dam sobie radę na egzaminach, chociaż nie mam korków dwa razy w tygodniu tak jak Theo. Chciałabym, by mi powiedziała, że wszystko będzie dobrze.

A jeśli nie, to żeby chociaż dała mi rabat na zakupy.

Pakuję książki i ruszam w stronę wyjścia. Głowę mam spuszczoną. Wyjmuję telefon, żeby napisać do Scarlett.

Ja: Prześlij dobrą energię. Idealna księgarnia = idealna praca. Marzę o tym.

Scarlett: Lepsza niż robienie smoothie z najlepszą kumpelą?

Ja: Gdzie tam. Ale skoro mam być samotna, to otoczę się chociaż fikcyjnymi postaciami.

Scarlett: Tęsknię za Tobą.

Od jej słów robi mi się lżej na duszy i łapię się na tym, że uśmiecham się do komórki. Nie jestem samotna. Wcale nie. Po prostu odizolowana geograficznie.

„Nie trzeba było pisać SMS-a, idąc” – ta myśl przychodzi mi do głowy, kiedy nagle ląduję na podłodze, tuż za progiem, trzymając w dłoniach pulsujące czoło. Widzę gwiazdy. Ale nie celebrytów, których tata mi obiecywał, gdy próbował wzbudzić we mnie entuzjazm w związku z przeprowadzką do Los Angeles, tylko raczej te z bajek animowanych, świadczące o wstrząśnieniu mózgu. Nie wiem, jakim cudem znalazłam się na ziemi. Nie wiem, dlaczego ugięły się podę mną kolana, dlaczego boli mnie, gdy przekręcam głowę, i dlaczego jestem niebezpiecznie bliska płaczu – po raz enty, odkąd przyjechałam do LA.

– Nic ci nie jest? – pyta czyjś głos. Nie patrzę do góry, boję się, że jeśli podniosę głowę, zwymiotuję, a to jedyna rzecz, która pogorszyłaby moją sytuację. Poczucie upokorzenia jeszcze się trzyma ode mnie z daleka i wolę, żeby było tak jak najdłużej. – Nie zauważyłem cię.

– Najwidoczniej – mówię i nagle znajduję się twarzą w twarz z chłopakiem mniej więcej w moim wieku. Ukucnął, żeby ocenić rozmiary odniesionych przeze mnie obrażeń. Ma dłuższe włosy w kolorze brudnego blondu, ciemnobrązowe oczy i ślad pryszcza na brodzie. Zdecydowanie przystojniejsza wersja Adama Kravitz. Jest słodki, roztargniony, zapewne inteligentny i dobry dla matki, a kiedy dorośnie,

wymyśli coś w rodzaju Tumblr. To jeden z tych chłopaków, których chciałoby się całować – zwłaszcza jeśli potrafi być zabawny – a już na pewno nie miałyby się nic przeciwko, by trzymać go za rękę. Mrugam i ponownie zauważam jego kudłatą czuprynę. Wydaje mi się, że skądś go znam.

– Co to było? – pytam.

– To był Earl. – Chłopak macha ręką w stronę czegoś wielkiego, co ma na plecach.

– Earl?

– Moja gitara.

– Nazwałeś gitarę Earl? – dociekam, chociaż to chyba najmniej istotna z bieżących kwestii. Powinam raczej poprosić o woreczek z lodem czy mrożonym groszkiem, albo chociaż o środek przeciwbólowy. Już czuję, jak wyrasta mi guz.

– Taaa. Na pewno nic ci nie jest? Mocno cię uderzyłem.

– Będę żyć.

Chłopak wyciąga rękę i pomaga mi się podnieść. Jak się okazuje, stoję całkiem stabilnie.

– Bardzo cię przepraszam. To absolutnie moja wina. – Chowa komórkę do kieszeni – może on też szedł i pisał SMS-a? – a potem opiera gitarę o jeden z regałów. Na futerale dostrzegam naklejkę z logo naszej szkoły. Już wiem, skąd go znam. Oczywiście. Był świadkiem mojego pierwszego, chociaż nie ostatniego upokorzenia w Wood Valley. To ten chłopak, który miał staż w Google i objechał wzdłuż i wszerz całe Indie. W księgarni wygląda jakoś inaczej. – Przyszły mi do głowy słowa piosenki i chciałem je zapisać, zanim zapomnę.

– Moment, ty jesteś Liam, prawda?

– A to zależy od tego, czy zamierzasz mnie podać do sądu za uszkodzenie cielesne – odpowiada. Teraz, kiedy dodałam dwa do dwóch, widzę w nim podobieństwo do matki. Ten sam szczery uśmiech. Zastanawiam się, jaką muzykę grają. Podejrzewam, że coś w klimacie folkowym i że nie są tacy najgorsi. Ale z całą pewnością p o w i n n i więcej ćwiczyć.

– Nie zamierzam. – Uśmiecham się.

– To co mogę dla ciebie zrobić? Bo jestem twoim dłużnikiem.

W głowie słyszę wyraźnie głos Scarlett: „Bądź silna. Konkretna”. No więc jestem.

– Mam pracę! – oznajmiam po powrocie do rezydencji Rachel. Jestem tak podekscytowana, że po prostu muszę się z kimś podzielić tą wiadomością, nawet jeśli jest to mój zblazowany przyszywany brat, który nigdy nie zniżyłby się do czegoś tak przyziemnego jak praca. Leży u siebie na łóżku i gra na laptopie. – A zanim urządzisz kolejne przedstawienie, wyluzuj. Nie w Ralph’s. To miejsce, do którego ani ty, ani twoi przyjaciele w życiu nawet nie zajrzycie. Więc spokojna głowa.

– Jeszcze nigdy nie widziałem, żebyś była taka ożywiona. To nawet uroczę – odpowiada Theo. – To gdzie nigdy nie zajrzę? Poczekaj, zgadnę.

Odkłada komputer i chwyta się za głowę, jakby usilnie myślał.

– KFC?

– Nie.

– Tunele do ćwiczeń odbijania w baseballu?

– Nie, ale coraz bardziej podoba mi się ta zabawa.

– Wiem. Ta piekarnia z obłędnie pysznymi preclami.

– Nawet nie jesteś blisko.

W drzwiach pojawia się głowa Rachel, a ja czuję dziwny ucisk w żołądku, który zawsze towarzyszy jej obecności. Jestem na tyle inteligentna, by wiedzieć, że to w sumie nie jej wina, a moje uczucia do niej

mają raczej niewiele wspólnego z tym, jaka ona rzeczywiście jest, ale nic na to nie poradzę. Nie chcę jej poznać, nie chcę, żeby ta przypadkowa osoba, którą mój ojciec z niewyjaśnionych przyczyn wybrał sobie na żonę, stanowiła element mojego życia.

– Co się stało? Słyszałam radosne piski! – mówi. Nie może się powstrzymać, patrzy to na Theo, to na mnie, a jej uśmiech jest tak szeroki, że widzę plomby w siódmkach. Niemal słyhać jej myśli: „Może jednak to wszystko w końcu jakoś się ułoży”.

– Nic – mówię, a wtedy wyraźnie smutnieje. Mam wyrzuty sumienia. Nie chciałam tak jej zgasić, ale nie mam w sobie tyle siły, żeby jej to przekazać. Podać na tacy jedyną dobrą rzecz, jaka mi się przytrafiła od czasu przeprowadzki.

– Przepraszam. Już was zostawiam! – mówi, jak zwykle za głośno, i schodzi na dół. Jestem ciekawa, czy powie ojcu, że byłam wobec niej niemiła, a on każe mi się bardziej starać.

Powinnam być miłsza.

– No dobra, poddaję się. Powiedz starszemu bratu – mówi Theo, który albo nie zwrócił uwagi na to, jak się odezwałam do jego mamy, albo go to nie obeszło.

– Blee. Zabrzmiało okropnie.

– Wiem. To gdzie?

– „Book Out Below!” Taka księgarnia.

– Jak adekwatnie. Ale jeśli chcesz wiedzieć, byłem tam. Jestem bardzo odczytany.

– Nie wątpię – odpowiadam, bo to prawda. Ostatnio pobił mnie na teście z fizyki, chociaż doskonale wiem, że poprzedniego dnia w ogóle się nie uczył. Jest inteligentny. Ale wychodzi na to, że wszyscy w naszej szkole – z wyjątkiem Blond-Pitu-Pitu i jej jeszcze głupszej koleżanki – są inteligentni, a przynajmniej dobrze zmotywowani. Tutaj staranie się jest na topie, co uważam za zabawne, bo w Chicago tak nie było. Gdyby skorzystać z relacji równoważności, powinnam być tu na topie, a jednak nie jestem. Z drugiej strony używam swobodnie takich pojęć jak „relacja równoważności”, być może więc istnieją inne, bardziej uzasadnione przyczyny mojego braku popularności.

– A co, do diabła, stało ci się w twarz? – pyta Theo.

ton. Znosi się na odmowę.

Nie. Muszę to przeprowadzić po swoim.

ROZDZIAŁ 11

Ethan: Ty. Ja. Ziemia jałowa. Biblioteka. Piątek, 15.30. Pasuje?

Ja: Jasne.

Ethan: Bombowo.

Jakim cudem coś takiego jak „bombowo”, będące chyba najbardziej idiotycznym określeniem na świecie, w jego wykonaniu brzmi zupełnie OK? Czy mam coś jeszcze napisać, żeby podtrzymać rozmowę? Lepiej wychodzi mi pisanie niż rozmowa twarzą w twarz. Może to okazja, by pokazać moje prawdziwe „ja” – udowodnić, że nie jestem tą dziwną ofiarą losu, w jaką przeradzam się w obecności osób, które mnie stresują. Czy w piątek nadal będę miała siniaka i guza na czole?

Idiotyzm. Jakie to ma znaczenie? Przecież tylko robimy razem projekt na angielski. „Nie podobasz mi się. I on ci się w ogóle nie podoba. Opanuj się, Jessie”.

„Dorośnij”.

Scarlett: Bez Ciebie szkoła jest cholernie beznadziejna. Musiałam dzisiaj siedzieć z Deeną i wysłuchiwać jej opowieści o konkursie gimnastycznym. Jak Twoja głowa?

Ja: Spuchnięta. Sina. Skorzystałam z Twojej sugestii odnośnie do czapki. Pojawiły się na przemian komplementy i szyderstwa.

Scarlett: Gdybym tam była, te dwie laski dostałyby fangę w nos.

Ja: Szkoda brudzić rąk.

Scarlett: Wszystko w porządku? Martwię się.

Ja: Nie martw się. Jest OK. Próbuję zakumplować się z Dri.

Scarlett: Tylko nie lub jej bardziej niż mnie.

Ja: W życiu.

Scarlett: A jak tam pan Holmes?

Ja: Nie mam pojęcia. Spędza czas z macochą. Wolę o tym nie gadać.

Scarlett: Adam Kravitz chce ze mną iść na bal absolwentów.

Ja: CO TAKIEGO?!? Nie spieszyłaś się, żeby mi powiedzieć. I?

Scarlett: Zobaczymy.

Ja: A jak Cię zaprosił?

Scarlett: SMS-em. Ale słodkim. No wiesz, jest nieśmiały.

Ja: Jestem pewna, że teraz lepiej całuje.

Scarlett: Dam Ci znać. Może. Wiesz, że zaprosił mnie tylko dlatego, że Ciebie tu nie ma.

Ja: Nieprawda.

Scarlett: Przez całą imprezę będziemy rozmawiać o tym, jak za Tobą tęsknimy.

Ja: Nie ma mowy. Bawcie się długo i dobrze.

Scarlett: Ty nerdzie.

Ja: Gdybym użyła określenia „bombowo”, brzmiałabym jak jeszcze większy nerd, prawda?

Scarlett: OMG. Dziewczyno, jeśli nie chcesz być prześladowana, NIGDY NIE UŻYWAJ SŁOWA „BOMBOWO”.

Ja: Tak właśnie sądziłam.

• • •

Ktoś/Nikt: ładna czapka.

Ja: Dzięki. Chociaż to dość przerażające. Ty wiesz, co miałam dzisiaj na sobie, a ja nadal nie mam pojęcia, kim jesteś.

Ktoś/Nikt: dzinsy, T-shirt, tenisówki. to samo co wczoraj i co jutro. nic nie straciłaś.

Ja: Nie o to chodzi.

Ktoś/Nikt: co Ci się stało w głowę? c

Ja: Wiesz, że to już drugi raz dzisiaj, kiedy ktoś chce bronić mojego honoru? Człowiek od razu czuje się wyjątkowo. Ale nie. Winowajcą jest futerał na gitarę.

Ktoś/Nikt: AUUU.

Ja: Rzeczywiście, to nie była najszcześniejsza chwila. Zwykle nie jestem aż tak niezdarna. Poczułam się jak bohaterka komedii romantycznej, tyle że nie było w tym nic ani zabawnego, ani romantycznego. Poza tym nienawidzę swojej emfazy.

Ktoś/Nikt: przepraszam za milczenie. sprawdzałem, co znaczy „emfaza”. będziesz mieć teraz o mnie kiepskie zdanie.

Ja: Ha. Nie jestem zafiksowana na słowach. Po prostu je lubię.

Ktoś/Nikt: ja też. kto jeszcze chciał bronić Twojego honoru? jego też mam pobić?

Ja: ☺ Nie. Moja przyjaciółka z Chicago. Scarlett.

Ktoś/Nikt: już ją lubię.

Ja: Czy to zabrzmiało dziwnie, jeśli powiem, że chyba rzeczywiście byś ją polubił?

Ktoś/Nikt: nie.

Ja: Jak minął dzień?

Ktoś/Nikt: ok. różne sprawy na froncie rodzinnym.

Ja: Chcesz o tym pogadać? Czy raczej napisać?

Ktoś/Nikt: niezupełnie. chodzi o mamę. jest... przechodzi trudne chwile.

Ja: Wiem, jak to jest.

Ktoś/Nikt: jak jest przechodzić trudne chwile? czy mieć mamę, która przechodzi?

Ja: Tak się składa, że i jedno, i drugie.

Ja: W zasadzie.

Ja: To skomplikowane.

Ktoś/Nikt: u mnie też. wszystko jest megaskomplikowane.

Ja: Słuchaj, jakie jest Twoje ulubione słowo?

Ktoś/Nikt: dlaczego.

Ja: Po prostu pomyślałam, że chciałabym to o Tobie wiedzieć.

Ktoś/Nikt: nie, moje ulubione słowo to „dlaczego”.

Ja: Dobre słowo. Dlaczego.

Ktoś/Nikt: prawda? słowo i pytanie w jednym. a Twoje?

Ja: Gofr.

Ktoś/Nikt: hm. pyszna rzecz. lubię chodzić do Waffle House. a wiesz, że po angielsku „waffle” znaczy także „mówić lub pisać wymijająco”? właśnie to sprawdziłem.

Ja: Zgadza się.

Ktoś/Nikt: chyba kiedyś powinniśmy pójść razem na gofry.

Ja: Odpowiem wymijająco: tak.

Następnego dnia podczas przerwy obiadowej siadam z Dri i jej przyjaciółką Agnes, która zapewne gra rolę jej własnej Scarlett. Nadal jestem tu zbyt nowa, żeby wiedzieć, jak ich stolik plasuje się w ogólnostołkowej hierarchii. Mam wrażenie, że nie obowiązują tu żadne zasady, które znałam z Chicago. Tam popularnością cieszyły się typy sportowe – ludzie, którzy w sobotnie wieczory siadali na parkingu pod kręgielnią w swoich otwartych samochodach, wypijali skrzynki taniego piwa i rzucali pustymi puszkami w kontener na śmieci – podczas gdy maniacy teatralni z dziwnie umiejscowionymi kolczykami i jednym pasemkiem włosów w idiotycznie pastelowym kolorze byli... po prostu byli

maniakami. Theo i Agnes pozostawaliby poza kwalifikacją. A tu – zupełnie przeciwieństwo. Teatr to zarówno oceniana lekcja, jak i popularne zajęcia pozalekcyjne, w obu przypadkach jest uważany za coś fajnego.

W Chicago nie należałam do żadnej z tych grup. Współtworzyłam inną, która jest potrzebna każdej szkole do właściwego funkcjonowania: pracowite pszczołki. To my uczestniczyliśmy w zajęciach na poziomie zaawansowanym, prowadziliśmy gazetę, kronikę oraz samorząd szkolny. Zero popularności, ale przynajmniej czuliśmy się niezbędni. (W moim poprzednim liceum bardzo ważne było rozróżnienie pomiędzy pszczołkami a typowymi nerdami: nerdzi byli jeszcze mniej poważani niż maniacy teatralni, ale wydawali się zbyt pochłonięci kodowaniem i pielęgnowaniem swoich fantazji programistycznych, żeby się tym przejmować).

Prawda jest taka, że zupełnie nie ma dla mnie znaczenia, gdzie wpasowują się Dri i Agnes, ponieważ wszystko jest lepsze niż samotność na ławce pod budynkiem. Cokolwiek innego będzie awansem społecznym.

– Uważam po prostu, że jeśli ktoś publikuje takie gówna na Instagramie, to powinien się do tego przyznać – mówi Agnes. Nie mam pojęcia, o czym tak dyskutują z Dri, widzę jedynie, że każda zafiksowała się na swoich argumentach. Agnes to drobna dziewczyna z pofarbowanym na rudo bobem, w okularach z plastikowymi oprawkami, podobnymi do tych Dri, i nosem, który wygląda, jakby ktoś go zbyt mocno ścisnął i tak już zostawił. Nie jest śliczna, nawet nie jest ładna, ale za to urocza. Co często ma miejsce, kiedy weźmie się coś w rozmiarze rzeczywistym i robi z tego miniaturę.

Dobrze, przyznam się do czegoś, czego nikomu dotąd nie mówiłam – nawet Scar. Kiedy poznaję nową dziewczynę, w duchu zadaję sobie to typowo babskie, okrutne pytanie: czy ona jest ode mnie ładniejsza? Bardzo często odpowiedź brzmi: TAK, co moim zdaniem sprawia, że samo pytanie staje się od razu mniej obraźliwe. Wiem, że nie jestem brzydka – moje rysy twarzy mieszczą się w jakimś kanonie, nic obrzydliwie dużego, nic za małego – ale i tak prezentuję się inaczej niż tutejsze laski.

Wyobrażam sobie, czy raczej m a m n a d z i e j ę, że kiedyś zostanę odkryta – z a u w a ż o n a – nie jako czyjaś straż przyboczna, nie jako kujon czy mebel w tle, ale ktoś, kogo można p o l u b i ć, a może nawet p o k o c h a ć. Zaakceptowałam już, że szkoła średnia to nie jest moje miejsce. Zainteresowanie książkami nie plasuje się na liście dziesięciu najważniejszych cech, jakich licealiści szukają w dziewczynie. Podejrzewam za to, że duże cycki znajdują się w tym rankingu wysoko.

Jeśli już musicie wiedzieć: miseczka B w sprzyjających okolicznościach.

Agnes ma chyba miseczkę A, ale rekompensuje to swoim urokiem. To znaczy... zanim otworzy usta.

– A ty co o tym sądzisz, Jessie? Mam rację? – Szczerze mówiąc, nie słuchałam. Przyglądałam się ludziom w stołówce, wszystkim tym obcym osobom, zastanawiając się, czy byłabym w stanie przekroczyć granicę intymności i usiąść obok nich, by wpychać sobie obiad do ust. Rozmyślałam, czy to miejsce kiedykolwiek stanie mi się bliskie. A także – nie przeczę – obserwowałam Ethana. Przez okienko. Ethana Marksa, który siedzi samotnie w Cafejce Cawowej, znów z książką w rękę, chociaż nie jestem w stanie dojrzeć tytułu. – Jeśli zamierzasz powiedzieć mi coś w sieci, bądź gotów rzucić mi to w twarz.

– Chyba tak – mówię. Wymijająca odpowiedź. Takie jak ta wielokrotnie ratowały mi tyłek. Podejrzewam, że nie zgadzam się z Agnes, chociażby dlatego, że to dziewczyna, która uwielbia idiotyczne teksty. („Greene to wredna suka. Powiedziała, że moja praca to plagiat – tylko dlatego, że pożyczyłam kilka zdań z czyjegoś bloga. To p a s t i s z, kretynko”. ALBO: „Tylko ci, co nie mają własnego stylu, noszą martensy”. ALBO: „Och, Jessie, od razu ładniej wyglądasz, kiedy nałożysz odrobinę makijażu”).

– Agnes, ludzie bywają nieśmiali. Ona nie powiedziała nic złego. Stwierdziła tylko, że uraziłaś jej uczucia, a to prawda. Niektórym łatwiej pisać, niż mówić coś prosto w twarz – wyjaśnia Dri. Spogląda

na mnie, szukając wsparcia, a ja się zastanawiam, czy moja obecność jest problemem dla ich przyjaźni. Ze Scar zawsze siedziałyśmy w stołówce same. Nie interesowały nas rozmowy z nikim innym. Szczerze mówiąc, nie wiem, jak bym się poczuła, gdyby zaprosiła do nas jakąś dziewczynę. A Dri nie tylko mnie zaprosiła, ale zrobiła to z prawdziwym entuzjazmem.

– Oczywiście nie znam całej historii, ale ja właśnie taka jestem. Zdecydowanie lepiej się czuję, pisząc, niż mówiąc na głos. Jaka szkoda, że nie mogę przeżyć całego życia na papierze. – Zastanawiam się, czy powiedzieć im o Ktosiu/Nikcie. Chciałabym umieć im wyjaśnić, że „rozmowa” z nim jest taka prosta, a słowa płyną z łatwością, jakiej nie znam, gdy wypowiadam się na głos. Mogłyby mi pomóc rozszyfrować, kim on jest. Ale z drugiej strony może wcale nie chcę tego wiedzieć. Być może K/N ma rację: to właśnie ta niewiedza nas do siebie zbliża. Byłoby mi znacznie trudniej pisać do kogoś, z kim musiałabym stanąć twarzą w twarz dzień później. Jestem ciekawa, czy w jego przypadku to działa podobnie. Czy chociaż wie, kim jestem, kontakt jest łatwiejszy, bo nie musi ze mną rozmawiać, patrząc mi w oczy?

Rzecz jasna, Agnes nie ma racji. Słowa pisane nie są wcale mniej odważne od tych wypowiedzianych. I już mam jej to powiedzieć, na głos i z przekonaniem, kiedy nagle słyszę swoje imię dobiegające z przeciwległego końca stołówki.

– Jessie! – Początkowo zakładałam, że ktoś woła jakąś inną Jessie – w końcu nikogo nie znam w tej szkole – ale głos jest natarczywy i chyba jednak znajomy, więc ostatecznie podnoszę głowę. Widzę kudłatą czuprynę i uśmiech.

– Hej, Jessie – mówi Liam, który stoi już przy naszym stoliku, bo właśnie przybiegł, oczywiście z Earlem na ramieniu. Odsuwa grzywkę z oczu, a potem pokazuje na swoje czoło. – Jak rana?

– Już prawie nie ma po niej śladu. Ale jeśli ta gitara przysunie się jeszcze choćby o centymetr, będę musiała wystąpić o sądowy zakaz zbliżania się do mojej osoby – odpowiadam, co nawet w moich uszach niebezpiecznie przypomina flirt. Oblewam się rumieńcem. Nie potrafię flirtować, zawsze czuję się wtedy nachalnie. A zresztą wcale nie chciałabym flirtować z Liamem, w końcu jest prawie moim szefem.

– Ha. Słuchaj, twoje dzisiejsze przyjscie na szkolenie jest aktualne, prawda? Przygotuj się, że zostaniesz aż do zamknięcia.

– Jasne. I jeszcze raz dzięki za pracę. Jestem ci bardzo wdzięczna.

– Nie ma sprawy. Tylko tyle mogłem zrobić po tym, jak cię uszkodziłem. – Uśmiecha się, a później wykonuje ten dziwny gest uderzenia pięścią w ramię, co właściwie boli, po czym odchodzi z Earlem przewieszonym przez plecy.

– Ja nie mogę! – Dri zamyka moją rękę w żelaznym uścisku. – Skąd znasz Liama Sandlera? – Jej brwi niemal stykają się z linią włosów. – Nie no. Liam. Sandler.

– Wyluzuj, przecież to nie Ryan Gosling. – Agnes przewraca oczami. – Nie potrafię zrozumieć, co ty w nim widzisz.

Dri ją ignoruje. Czeka na moją odpowiedź.

– Dostałam pracę w księgarni jego mamy. W zasadzie tylko dlatego, że on uderzył mnie w głowę futerałem od gitary. Żenujące, ale prawdziwe.

– No i? – drąży Dri.

– Ale co?

– Wszystko.

– Wszystko, czyli...

– Co mówił? Co ty powiedziałaś? Mogłabyś mu mnie przedstawić? Słyszałaś o jego zespole?

Po prostu boski. Orgasmville.

– Ble – stwierdzam. – Rozumiem, że nie jest najgorszy, ale bez przesady!

– Nie, to nazwa zespołu. Orgasmville.

– Poważnie?

– Taaa. On jest taki cudowny. M u s i s z zobaczyć go na scenie. Kocham się w nim od zawsze. Ale

nigdy się do mnie nie odezwał. Ani słowa. Dopiero dzisiaj.

– Gwoli ścisłości, dzisiaj też do ciebie nic nie powiedział – informuje ją Agnes.

– Ale odezwał się w pobliżu mnie, a to zdecydowanie więcej niż w ciągu ostatnich dwóch lat. To mnie zadowala. – Dri ściska mnie coraz bardziej. To też boli.

– Eeeee!

– On ma dziewczynę – mówi Agnes, a ja od razu się zastanawiam, dlaczego ona tak lubi robić Dri na złość. Gdyby Pete McManning, chłopak z czwartej klasy, na punkcie którego Scar miała obsesję przez całą klasę pierwszą, kiedykolwiek odezwał się w jej pobliżu, piszczalabym razem z nią, chociaż też nie rozumiałam, co ona w nim widzi. Nie znoszę delikatnych wąsików, nawet jeśli przyświeca im idea hipsterskiego wyglądu.

– No i co z tego. Gem może mnie pocałować.

– On chodzi z Gem? – pytam i uświadamiam sobie, ile jeszcze rzeczy muszę nadrobić. Nic nie wiem o tej szkole. Zamiast kodeksu honorowego powinni mieć tu kronikę wszystkich wydarzeń. Liam i Gem.. Hm. Gdybym się nad tym zastanowiła, pewnie domyśliłabym się, że Liam ma dziewczynę, jednak nigdy nie posądzałabym go o związek z Gem. I nie dlatego, że ona jest seksowna – w końcu to jeden z tych chłopaków, którzy mają śliczne dziewczyny – tylko dlatego, że Gem jest wredna. Uważałam, że stać go na więcej.

– No wiem, wiem – odzywa się Dri. – To jedyna rzecz w nim, która mi się nie podoba.

– Dri ma obsesję na jego punkcie. Dosłownie. Nawet zaczęła się uczyć grać na ukulele, żeby ją zauważył. Oczywiście, to był kompletny fail.

– Przechodziłam wtedy przez fazę totalnego zauroczenia – mówi Dri i znów ściska mnie mocniej. – Ach, jesteś moją najulubieńszą osobą na całym świecie!

Uśmiecham się. Udaję, że nie widzę spojrzenia Agnes.

Ktoś/Nikt: jak mija dzień, panno Holmes?

Ja: Nie najgorzej. A tobie?

Ktoś/Nikt: dobrze. odrabiam zadanie domowe w formie haseł, no wiesz, cokolwiek, byle było choć odrobinę ciekawiej.

Ja: Myślisz, że na studiach będzie lepiej? Tak naprawdę?

Ktoś/Nikt: mam nadzieję. ale z drugiej strony niedawno czytałem o gościu, który stracił jądro podczas otrzęsin w elitarnym klubie studenckim, więc sam nie wiem.

Ja: Poważnie? Co się dzieje z tymi ludźmi!

Ktoś/Nikt: jesteś sobie w stanie wyobrazić, że tak bardzo chcesz być lubiana, że poświęcasz jądro?

Ja: Nie jestem sobie w stanie wyobrazić ani posiadania jądra, ani jego utraty.

Ktoś/Nikt: nie pozwoliłabyś mi użyć emotikonów, ale aż się prosi o coś w stylu „kocham moje jajka”.

Ja: Wiesz, co ja kocham? Nutellę. Spodnie od pizamy. I zajefajne książki. Niekoniecznie w tej kolejności, raczej razem.

Ktoś/Nikt: zajefajne? rok 2012 przysłał SMS-a, domagając się zwrotu swojego słowa. A tak na marginesie: wyjadasz nutellę łyżeczką prosto ze słoika?

Ja: Kiedyś tak. Teraz dzielę kuchnię z Obcymi, więc nie mogę. Chciałam podpisać swój słoik, ale tata powiedział, że to byłoby bezczelne.

Ktoś/Nikt: z Obcymi?

Ja: Z macochą i przyszywanym bratem. Ty też mieszkasz z Obcymi?

Ktoś/Nikt: nie. struktura mojej rodziny pozostaje nietknięta, przynajmniej na mocy prawnej. moi rodzice z trudem na siebie patrzą ostatnio.

Ja: Dlaczego?

Ktoś/Nikt: to skomplikowane.

Ja: Myślisz, że kiedykolwiek wyjdziemy poza etap „to skomplikowane”?

Ktoś/Nikt: absolutnie w to nie wątpię, panno Holmes.
zy powinienem stłuc kogoś na kwaśne jabłko?

ROZDZIAŁ 12

Dri ma zamiar żyć pośrednio przeze mnie. To pierwszy taki przypadek, jak dotąd nikt nie wyraził chęci, by być mną. Nigdy. Kazała mi pisać SMS-y, kiedy tylko Liam powie coś ciekawego. A właściwie to za każdym razem, gdy coś powie. Cokolwiek.

– Chcesz się nauczyć esemesowo, jak obsługiwać kasę fiskalną? – zapytałam bardzo poważnym tonem po ostatniej lekcji, tuż przed tym, jak wsiałam do samochodu, by udać się na moją pierwszą zmianę w księgarni „Book Out Below!”. Nie byłam pewna, jak daleko sięga obsesja Dri, ale jako osoba, która przeżyła w swoim życiu całkiem przyzwoitą liczbę zauroczeń, rozumiem jej głód informacji. Szczegóły pozwalają udawać, że zna się osobę, na punkcie której ma się bzika, nawet jeśli w ogóle się jej nie zna.

– Tę część możesz pominąć. Chyba że zrobi coś uroczego, gdy będzie ci wszystko objaśniał – wtedy koniecznie napisz. – Dri na szczęście zrozumiała, że wcale się z niej nie nabijam.

Jak dotąd Liam nie powiedział nic wartego zapamiętania – w ogóle nic interesującego. Kasa to ten sam model, który mieliśmy w Smoothie King, więc to nie powinien być problem. Wychodzi na to, że moja praca będzie polegała głównie na siedzeniu za ladą i wstawaniu, kiedy dźwięk dzwonka na drzwiach oznajmi wejście nowego klienta. Sądząc po czasie reakcji Liama, domyślałam się, że coś takiego szybko wchodzi w nawyk.

– Jaki rodzaj muzyki gra wasz zespół? – pytam. Celowo nie użyłam nazwy Orgasmville, przede wszystkim dlatego, że chyba nie byłabym w stanie jej wymówić, nie rumieniąc się przy tym okropnie. Ich logo to wielkie pochwopodobne „O” z językiem w środku. Skrzyżowanie Rolling Stonesów z Georgią O’Keeffe. Przesadzili, dają im zero punktów za subtelność.

– Chyba rock. Coś w tym rodzaju. Kojarzysz Lou Reeda? – Kiwam głową, chociaż ledwo o nim słyszałam. Nie należę do osób, które potrafią bawić się w zgadywanki muzyczne i wygrywać z innymi dzięki odniesieniom do nikomu nieznanym zespołów.

– Podobna. Tylko nowoczesna. A może nawet lepsza – dodaje i uśmiecha się, bym wiedziała, że to tylko żart. Nie jest zbyt pewny siebie jak większość chłopaków z czwartej klasy, którzy idąc korytarzem wypełniają sobą całą przestrzeń – to łomotanie w szafki, skomplikowane przywitania i komentarze na temat dziewczyn, które mają pecha, że akurat przechodzą obok. Liam, nie licząc wymachiwania Earlem, jest bardziej stonowany, myślę, że to chłopak, który zapytałby o zgodę, zanimby cię pocałował.

Ja: Przyrównał się do Lou Reeda, ale w uroczy, skromny sposób.

Dri: Jest lepszy.

Ja: Jęk.

Dri: No dobra. Nie lepszy. Seksowniejszy.

– Do kogo piszesz? – pyta Liam, więc szybko chowam telefon. Nie chciałabym zawstydząć Dri, chociaż – szczerze mówiąc – mam przecucie, że on kompletnie jej nie kojarzy.

– Do koleżanki. Dri. Tak naprawdę ma na imię Adrianna, ale wszyscy mówią do niej Dri – wyjaśniam.

Liam wzrusza ramionami. Nie jest zainteresowany. – Fajna. Siedziała ze mną w stołówce, kiedy podszedłeś.

Znów żadnej reakcji. Ciekawe, co by powiedział, gdybym mu oznajmiła, że Dri wie, kiedy ma urodziny, na jakie uczelnie składa papiery i co najchętniej jada na obiad w szkole. Że w jej umyśle łączy ich głęboki, satysfakcjonujący związek. To nic nie szkodzi, że całkowicie jednostronny. Wydaje mi się, że Dri nawet to odpowiada. Istnieją dziewczyny takie jak Gem i Crystal, nieustraszone w kwestii chłopaków, otworów ciała oraz wszelkich wydzielin, oraz takie jak Dri i ja, przerażone na myśl o odrzuceniu, fizjologii i pechowych kątach. Zdajemy sobie sprawę, jak długą drogę musimy jeszcze przejść, zanim będziemy mogły uważać się za kobiety.

Być może mam własną pochwę, zarówno w teorii, jak i w praktyce (jesteśmy po imieniu, moja pochwa i ja – to był pomysł Scar, a nie mój; ja z tym nie miałam nic wspólnego), ale to nie znaczy, że nie przeraża mnie jej apetyt. Przez chwilę wyobrażam sobie niemal puste CV mojej pochwy. Szesnaście lat: nieczynna. Zainteresowania: pikantne powieści romantyczne oraz gromadzenie informacji na temat Ethana. Ethana Marksa.

Co dziwne, nie mam problemu z wyobrażaniem sobie seksu z jakimś chłopakiem (powiedzmy, że z Ethanem Marksem), ale to mniej więcej tak jak wyobrażanie sobie przemówienia wygłaszanego po odebraniu statuetki Oscara. Innymi słowy, doskonale odgrywam to w głowie – z wdziękiem, zwinnością i odpowiednią dozą skromności – a jednak to przemowa, która nie tylko nigdy nie zostanie wygłoszona, ale wręcz nie powinna. Czy kiedyś będę w stanie przespać się z chłopakiem, nie czując ogromnego wstydu i strachu, bez zastanawiania się, co to wszystko tak naprawdę znaczy? Zakładam, że tak. Teraz sama myśl o takim obnażeniu po prostu nie mieści mi się w głowie. Jeśli mam być szczerą, ta perspektywa budzi moje przerażenie.

– Jesteś z Chicago, dobrze pamiętam? – pyta Liam, a ja się zastanawiam, skąd to wie. Nie chodzimy razem na żadne zajęcia, w końcu on jest klasę wyżej. Czy mama mu powiedziała? Czy może on to Ktoś/Nikt?

– Tak, dopiero co się przeprowadziłam.

– I jak ci się tu podoba? – pyta. Zbiera włosy w kucyka, po czym je puszcza. Powtarza czynność raz, drugi, trzeci, wszystkie ruchy za każdym razem są identyczne. Czuję się, jakbym oglądała klip na Vine.

– Okej. Nadal się przystosowuję.

– Mówisz?

– Taaa. – Czy to już jest ekscytująca rozmowa, z której powinnam zdać relację Dri? Szkoda, że nie mam nic ciekawego do powiedzenia Liamowi. Strach przed palnięciem czegoś głupiego często sprawia, że nic nie mówię. Ale Liam też chyba nie ma zbyt wiele do powiedzenia. – No wiesz, dopiero poznaję ludzi.

– Muszę cię poznać z moją dziewczyną. Gem. Jest cholernie fajna. I też chodzi do trzeciej klasy.

– Ach, Gem. Chyba mamy razem kilka lekcji – odpowiadam. Jestem pewna, że odgrywam niedbałe: „Wydaje mi się,

– Nie przejmuj się, będzie lepiej. Bycie nowym zawsze jest trudne – mówi Liam. – Weźmy na przykład mój zespół. Oni grają od gimnazjum, a ja dołączyłem dopiero w zeszłym roku. Na początku było dziwnie ze względu na cały ten kosmos, a teraz są dla mnie jak bracia. Powinnaś przyjść kiedyś posłuchać, jak gramy.

– Pewnie. Z chęcią – odpowiadam, i to szczerze, chociażby dlatego, że będę mogła zabrać Dri i tym samym umocnić naszą przyjaźń.

Ja: Mówi, że był nowy w zespole, ale teraz są jak jego bracia.

Dri: Taaa. Zespół przeżywał dramat swego czasu. Ale teraz jest w porządku.

Nie jestem pewna, jak to możliwe. Szkolny zespół rockowy miałby mieć na swoim koncie smutną historię? Później dowiem się od Dri wszystkich szczegółów. Mam wrażenie, że dzieciaki z Wood Valley mają na tyle dużo forsy, że nie imają się ich żadne prawdziwe tragedie, ale to oczywiście bzdura. Nie wszystko można kupić. Wracam myślami do mojej mamy, łysej i dosłownie gnijącej od środka, zbyt słabej, żeby choć ścisnąć moją rękę, a wtedy zalewa mnie fala mdłości. Łatwiej mi pamiętać ją chorą, być może dlatego, że to najświeższe wspomnienia, a może po prostu najbardziej bolesne. Mrugam i na szczęście wizja znika.

– Za parę tygodni będziemy grać koncert. Nic wielkiego, takie tam granie na imprezie. Powinnaś przyjść – mówi Liam, a ja czuję dreszcz podekscytowania. Może w końcu będę miała co robić w sobotni wieczór. Fajnie byłoby gdzieś się wybrać. – W domu u Gem.

No tak. Czyli nieaktualne.

Ja: Zaprosił mnie na imprezę za parę tygodni, na której będą grać. Już miałam powiedzieć, że przyjdziemy, ale...

Dri: MUSIMY IŚĆ!

Ja: Impreza jest u Gem.

Dri: No to co? W towarzystwie Liama Gem to zupełnie inna dziewczyna. Zwłaszcza jeśli zobaczy, że on z Tobą rozmawia.

Ja: Nie.

Dri: Kogo obchodzi, co ona mówi na temat Twoich dzinsów? To Oville. Spodobają Ci się.

Ja: Jeśli kiedykolwiek powiem o nich Oville, zastrzel mnie.

Dri: Marudzenie nie ma nic wspólnego z urokiem osobistym, wiesz?

Ja: Zdaję sobie z tego sprawę.

Dri: To dobrze. W takim razie jesteśmy umówione. Przygotuj buty do tańca, bo idziemy na ten koncert.

– Czy gracie muzykę do tańca? – pytam Liama nic z tego, ni z owego.

– Hę?

– A nic.

że wiem, która to twoja dziewczyna”. W rzeczywistości myślę: „Twoja dziewczyna jest wstrętna”.

ROZDZIAŁ 13

Ethan, Ethan Marks jest już w bibliotece, kiedy wchodzę. Oczywiście ma na sobie koszulkę z Batmanem i wygląda przez okno, najwyraźniej czymś urzeczony. Ja jednak widzę jedynie typowe bezchmurne niebo, zupełną pustkę. Prawą dłonią masuje sobie szczękę, jakby bolała go od całego tego mówienia, przed którym tak się wzbrania. Sama chętnie dotknęłabym jego szorstkiego policzka, wyczuła pod palcami miejsce, w którym spotykają się dwie kości.

Naprawdę tak pomyślałam? Poważnie? Cofam to. Rzecz jasna, jest seksowny. Ale poza tym jest też niemiły, a kochanie się w chłopaku, na którego leci każda dziewczyna w szkole, wydaje mi się zupełną stratą czasu. I tak nie mam szans.

Dostałmy to A z angielskiego i miejmy to z głowy. Mam mnóstwo roboty: pracę, szkołę, egzaminy próbne. Po raz pierwszy od czasu przeprowadzki zaczynam mieć wszystko pod kontrolą. Mam pracę. Ze względu na pieniądze. Mam Dri, która szybko staje się moją prawdziwą przyjaciółką, no i jeszcze K/N, z którym piszę na czacie przez cały dzień. Zwykle „gadamy” o głupotach, ale fajnie jest mieć go pod ręką.

– Hej – mówię i siadam, podwijając nogi pod siebie. Niedbała, zrelaksowana, jak gdybym nie czuła się ani trochę zakłopotana. Jak się okazuje, wcale nie jestem kiepską aktorką. Niemal sama sobie wierzę. Jednak kiedy opuszczam wzrok i dostrzegam pojedynczy brązowy włoszek wyrastający na kostce, wytrąca mnie to kompletnie z równowagi i z trudem powstrzymuję się, by szybko nie naciągnąć nogawki. „Wyluzuj, Jessie. On wcale nie patrzy na twoje kostki. Jeśli będziesz wykonywała nerwowe ruchy, wydasz mu się zdenerwowana”.

– Hej, Jessie. – Uśmiech wrócił, jego twarz otwiera się na ułamek sekundy, a potem znowu się zasklepia. – Gotowa?

– Tak – odpowiadam i zastanawiam się, czy kiedykolwiek wyjdę poza monosylaby w rozmowie z tym chłopakiem. Scarlett, kiedy jest zdenerwowana, dostaje słowotoku. Adrenalina dodaje jej błyskotliwości. Ja jednak mam wrażenie, że mój umysł zostaje przytłoczony, zupełnie jakbym wyszła poza siebie.

Ethan pachnie lawendą i miodem. Świeżo, w przeciwieństwie do zapachu dezodorantów, których używają nagminnie wszyscy chłopcy w Chicago – tej okropnej mieszanki chemicznych aromatów, które unoszą się w powietrzu jeszcze długo po tym, jak oni odejdą. Czy to proszek do prania, czy woda kolońska? Czy Ethan co wieczór pierze swoją koszulkę? Prawdopodobnie ma własną Głorię, która to robi za niego. A może ma Batmana na każdy dzień tygodnia? Tak, zdaję sobie sprawę, że zaczynam brzmieć jak Dri i jej obsesja. Zbieram szczegóły, żeby później móc nad nimi rozmyślać.

O nie. Muszę koniecznie przestać. I to natychmiast. Mam ograniczoną liczbę komórek mózgowych, lepiej, żebym wykorzystała je do przygotowania się do egzaminów próbnych.

– Czytujesz poezję? – pyta mnie Ethan, chociaż właściwie nie do końca mnie. Zadaje to pytanie oknu. Znowu patrzy gdzieś w przestworza. Jest nieobecny duchem. Nie tak jak często bywam ja, kiedy wychodzę z siebie, by zajrzeć sobie do środka. On jest zupełnie poza sobą. Poznają to spojrzenie. Niby jest, ale go nie ma. Kiedyś też tego doświadczałam: byłam obecna, widzialna, a jednak później, gdy wracałam do tych czasów wspomnieniami, okazywało się, że ktoś ukradł mi całe długie dni. Byłam ciałem pozbawionym duszy. Jak moja mama: zlokalizowana fizycznie, pochowana w ziemi, a jednak nieistniejąca. Nieobecna w każdym istotnym wymiarze.

– Czasem – mówię. Znowu niemal monosylaba. Na szczęście on nie słucha. – To znaczy... tak. Lubię

poezję. Przeczytałam nawet kiedyś *Ziemię jałową*, ale tak naprawdę jej nie zrozumiałam. To jak mieszanka różnych głosów.

– O właśnie. Poczytałem trochę w Internecie i najwyraźniej wszystko to aluzja do czegoś. Zupełnie jakby została napisana szyfrem – odpowiada, po czym na mnie spogląda. Wraca mu świadomość. Czy jest naćpany? Trawa? Kokaina? Ecstasy? Czy z tego wynika jego nieobecność? Ethan rozciera sobie twarz, a wtedy zaczynam rozumieć, że to tylko zwykłe zmęczenie. Ten chłopak jest wykończony. Dlaczego źle sypia? Co się dzieje, kiedy kładzie się do łóżka i zamyka oczy?

„Przestań, Jessie”.

Zmuszam się do skupienia uwagi na tym, co tu i teraz.

– No dobrze. Zacznijmy od pierwszego wersu: *Najokrutniejszy miesiąc to kwiecień. Wywodzi. Co to w ogóle znaczy? Wiem, że to poetyckie i nawet ładne, tylko dlaczego akurat kwiecień? Dlaczego miałyby być okrutniejszy od innych miesiący?* – pytam.

– Nie wiem. Ale w sumie nienawidzę kwietnia – odpowiada Ethan, po czym milknie. Patrzy na mnie przez zmrużone oczy, niemalże zły. Nie chciał wcale tego powiedzieć, widocznie mu się wymknęło. Ale co miał na myśli? Nic z tego nie rozumiem. Dlaczego nienawidzi akurat kwietnia? W Chicago nie cierpiałam stycznia, ponieważ było wtedy cholernie zimno, ale wiem, że Ethanowi nie chodziło o pogodę. Szybko zmienia temat. – Lubisz spacerować? Może omówimy to, spacerując?

Nie czeka na moją odpowiedź, zabiera książki i laptopa, więc wychodzę za nim na zewnątrz.

– Myślałam, że w Los Angeles ludzie nie spacerują – mówię, słysząc, jak zamykają się za mną drzwi szkoły. Ten dźwięk przynosi mi zawsze ulgę, ot, minął kolejny dzień, a ja go jakoś przeżyłam. Ethan zakłada okulary przeciwsłoneczne, ray-bany, i jest jeszcze trudniejszy do odczytania, ponieważ teraz nie widzę jego oczu.

– Lepiej mi się myśli podczas chodzenia. To mnie orzeźwia. Chcesz wiedzieć, co jeszcze znalazłem w Google?

Kiwam głową, co jest idiotyzmem, bo on wcale na mnie nie patrzy.

– Jasne – mówię.

– Eliot pierwotnie wcale tak nie zaczął swojego poematu. To Ezra Pound kazał mu obciąć czterdzieści trzy wersy czy jakoś tak. Ten cały kwiecień miał się pojawić później. A w tamtych czasach „obciąć” było pewnie dosłowne, za pomocą nożyczek i tak dalej.

Zamykam na chwilę oczy i staram się zwizualizować sobie tę scenę, chociaż nie mam pojęcia, jak wyglądał Eliot. Widzę go jako staruszka o siwej głowie, z monoklem, ciężkimi nożycami i klejem.

– Nie wyobrażam sobie pisania bez komputera – przyznaję.

– Ja też. Powiedz mi coś, czego o tobie nie wiem. – Przechyliła głowę na bok i tym razem na mnie patrzy. Jak dobrze, że ma okulary przeciwsłoneczne, zawsze to dodatkowa warstwa ochronna. Jego spojrzenie jest zbyt intensywne. Oczywiście to jeden z czynników sprawiających, że dziewczyny podchodzą tłumnie do tamtego fotela: te króciutkie chwile nawiązanego połączenia, rozdzielane niezwykle oszczędnie, niczym drobne podarki. Może celowo jest tak skąpy. Gdyby dał za dużo, nigdy nie zostawiłyby go w spokoju.

– No nie wiem – odpowiadam. – Nie mam specjalnie o czym mówić.

– W to akurat nie uwierzę.

– Okej, mam wiele do powiedzenia, ale nic, o czym chciałbyś słuchać. – „Najokrutniejszy miesiąc to grudzień” – myślę. „Urodziny nieżyjącej mamy i cała ta sztuczna radość świąteczna. I kwiecień także. To miesiąc końca. A poza tym podoba mi się twoja koszulka Batmana i twoje przerażające oczy i chciałabym wiedzieć, dlaczego nie możesz spać. Kiedy zamykam wieczorem powieki, widzę ostatnie chwile, niemożliwe pożegnania.

Ale przestałam śnić. A ty masz sny? Brakuje mi tego”.

– A co ty powiesz mi o sobie? – pytam.

– Z nieżywej ziemi łodygi bzu, miesza/ Pamięć i pożądanie, podnieca/ Gnuśne korzenie sypiąc ciepły deszcz./ Zima nas otulała i kryła/ Ziemię śniegiem łaskawym, karmiła/ Małeńkie życie strawą suchych kłaczy.

– Nauczyłeś się na pamięć *Ziemi jałowej*? Poważnie?

– Większości. Kiedy nie mogę zasnąć, czytam poezję. I lubię się jej uczyć.

– Naprawdę?

– Teraz mnie zawstydziłaś. Nie patrz tak na mnie – mówi, ale to ja się czerwienię, nie on. Patrzyłam na niego z podziwem. Facet czyta wiersze. Dla przyjemności.

Prawie mdleję.

– Wiem, że to dziwne. – Uśmiecha się, więc i ja się uśmiecham.

– Nie, skąd. Super. – Z trudem powstrzymuję się przed dotknięciem jego ramienia. „Kim on jest?” Zamieniam się w Dri. Pragnę poznać jak najwięcej szczegółów. – Suche kłacza?

– No właśnie. Co to do licha są te suche kłacza?

Wieczorem leżę na sofie, opierając stopy o podłokietnik. Rozmawiam z K/N na czacie.

Ktoś/Nikt: co taka jesteś dzisiaj cicha? JAK MINAŁ DZIEŃ? DAWAJ!

Ja: No proszę. A więc jednak masz klawisz Shift. Dzień = nie najgorzej. A u Ciebie?

Ktoś/Nikt: całkiem dobrze.

Ja: Powiedz mi trzy rzeczy, których o tobie nie wiem. To znaczy nie licząc imienia i tak dalej.

Najwidoczniej popołudnie spędzone z Ethanem dodało mi odwagi. Zuchwałości. Kiedy się żegnaliśmy na parkingu przy moim samochodzie, Ethan wsunął ręce do kieszeni dzinsów, zakołysał się na piętach i powiedział: „Do następnego razu”. Te trzy słowa razem brzmiały naprawdę dobrze. Jedno za drugim. Tak poetycko.

Ktoś/Nikt: okej. 1. przyrządzam cudowniasty grillowany ser.

Ja: cudowniasty?

Ktoś/Nikt: taaa, jest tak smaczny, że usprawiedliwia użycie słowa „cudowniasty”. 2. w gimnazjum przeszedłem przez fazę uwielbienia dla Justina Timberlake’a i nazywałem go JT. „co słyhać, brachu, w radiu właśnie leci JT”. wiem, okropność. to nie był mój najlepszy rok.

Ja: Przyznam się do czegoś: nadal przechodzę przez fazę uwielbienia dla Justina Timberlake’a. A numer 3?

Ktoś/Nikt: sam nie wiem, chyba zachowam to dla siebie.

Ja: O nie. Nie możesz wszystkiego ukrywać.

Ktoś/Nikt: w takim razie powiedz mi trzy rzeczy o sobie, a wtedy kto wie...

Ja: 1. Mam taką dziwną teorię na temat wszechświata, w którą w zasadzie nie wierzę, ale lubię o niej myśleć. Że jesteśmy mali i nic nieznaczący, coś jak mrówki, wobec większego i bardziej złożonego gatunku. I to w sumie wyjaśnia wszystkie te przypadkowe katastrofy, które mają miejsce: huragany, nowotwory itd. OMG, nie mogę uwierzyć, że Ci to powiedziałam. Jeszcze nigdy nikomu nie mówiłam, nawet Scarlett. #zawstydenie

Ktoś/Nikt: trochę dziwna teoria, ale całkiem możliwe, że genialna. #podziw

Ja: Wiem, wiem...

Ktoś/Nikt: wygooglaj sobie paradoks Fermiego. spodoba Ci się. a 2?

Ja: 2. Mam problemy z zapamiętaniem tabliczki mnożenia. Znam rachunek różniczkowy i tak dalej, ale podstawy? Dziękuję bardzo.

Ja: Sprawdziłam właśnie Fermiego. Skąd znasz takie rzeczy?

Ktoś/Nikt: nie wiem. po prostu znam. czas na 3.

Ja: Ty napisałeś mi tylko dwie rzeczy.

Ktoś/Nikt: 3. lubię Cię.

Ja: 3. Ja też Cię lubię.

Cholera, znów to zrobiłam. Wysłałam coś bez zastanowienia. Kogo właściwie lubię? Kim jest ta osoba? Nie skłamałam, lubię to, co pisze. Przez cały dzień czekam na naszą rozmowę. Na przeczytanie tego, co ma do powiedzenia. Ale żeby tak wyjść przed szereg i rzucić „lubię cię”, nie wiedząc, do kogo się pisze, przy tak oczywistym zaburzeniu równowagi sił – on wie, kim jestem, pewnie nawet wie, gdzie mieszkam – to czysta głupota. Proszenie się o porażkę. Czy mogę cofnąć słowa? Jak to się robi? Czy powinnam dać sobie spokój i przez chwilę napawać się tym, że jakiś chłopak – owszem, zdaję sobie sprawę, ile mojej nadziei w tym, że to rzeczywiście chłopak z Wood Valley, a nie kiepski żart albo jakaś perwersja, ewentualnie gliniarz, który próbuje schwytać pedofilów w sieci – mnie naprawdę lubi. M n i e. Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek usłyszałam od chłopaka te słowa: „lubię cię”, nie licząc może momentu w gimnazjum, kiedy to Leo Springer puścił do mnie kartkę z propozycją „Umówmy się!!!”, a potem był moim chłopakiem przez mniej więcej dwadzieścia dwie godziny, ponieważ wybaczyłam mu przesadne użycie znaków przestankowych, ale nie nadmierne pocenie się. Później miałam wyrzuty sumienia, bo jak się okazało, cierpiał na poważną chorobę gruczołów. Pieprzyć to. Postanawiam się tym jednak ponapawać.

Nie. To zbyt dziwaczne. Nie napawam się, tylko stresuję.

Ja: To zbyt dziwaczne. Przecież nawet nie wiem, KIM TY JESTEŚ. Cofnijmy to.

Ktoś/Nikt: cofnąć od słów „lubię cię”? dobrze, chociaż nawet nie wiem, co to ma oznaczać.

Ktoś/Nikt: w moim rozumieniu „lubię cię” znaczy, że uważam, że jesteś fajna. wyluzuj, dziewczyno, przecież Ci się nie oświadczam.

Ja: Cicho. Po prostu... Zapomnijmy.

Ktoś/Nikt: po prostu co?

Ja: Nieważne. Naprawdę, zmienimy temat.

Ktoś/Nikt: powiedz mi.

Ja: Po prostu to dziwne, że Ty wiesz, kim jestem, a ja niczego o Tobie nie wiem. To niesprawiedliwe.

Ktoś/Nikt: życie jest niesprawiedliwe.

Ja: Taaa. No nic, muszę już iść.

Odkładam na chwilę komórkę. Jestem zła. Przybita. A więc on mnie wcale nie lubi, tylko twierdzi, że jestem fajna. Owszem, nie zakładałam, że uważa mnie za ósmy cud świata, ale... dobrze było poczuć się lubianą, cokolwiek to miało oznaczać.

Ktoś/Nikt: moment, zaczekaj. wróc. przepraszam.

Ja: ?

Ktoś/Nikt: po prostu lubię z Tobą rozmawiać na czacie. mówiłem prawdę, lubię Cię. w realu w Twojej obecności robię się zdenerwowany, prawdziwa rozmowa byłaby zupełnie inna. a to nam wychodzi, prawda?

Ja: Tak, ale...

Ktoś/Nikt: powiem Ci dodatkowe trzy rzeczy: 1. bardziej niż ludzi lubię muzykę, książki i gry komputerowe. przy ludziach czuję się niezręcznie. 2. kiedy byłem mały, spałem z kocykiem, który nazywałem... uwaga!... Kocykiem. no dobra, nadal to robię. 3. rok temu byłem kimś zupełnie innym.

Ja: Dlaczego? Jaki byłeś?

Ktoś/Nikt: szczęśliwy. a przynajmniej szczęśliwszy. prostszy. trochę normalniejszy, jeśli to w ogóle możliwe.

Ja: A potem...

Dłuższe milczenie z jego strony. Czekam cierpliwie.

Ktoś/Nikt: zmarła moja siostra. nagle. długa historia. a teraz sama wiesz, jak jest.

Ja: Wiem.

Ktoś/Nikt: Twoja mama zmarła, prawda? wolno mi o to zapytać?

Ja: Skąd...

Ktoś/Nikt: Theo. to znaczy on mi nie powiedział, ale dowiedziałem się od kogoś, że jesteś jego przyszywaną siostrą, więc się domyśliłem. nie masz mi za złe, że Cię o to zapytałem? sam już nie wiem, o czym mogę rozmawiać z ludźmi, a o czym nie powinienem.

Ja: Jest OK. W sensie że pytasz. Bo reszta nie jest OK. Jest... nie wiem...

Ktoś/Nikt: no właśnie.

Ja: Właśnie.

Ktoś/Nikt: kiedy?

Ja: 765 dni, pięć godzin i dwadzieścia dwie minuty temu. A u Ciebie?

Ktoś/Nikt: 196 dni, jedna godzina, trzy minuty.

Ja: Też liczysz?

Ktoś/Nikt: też liczę.

Myślę o jego siostrze. Nie wiem dlaczego, ale wyobrażam sobie dwunastoletnią dziewczynkę z kucykami, ciężko chorą. Oczywiście to jedynie wytwór mojej wyobraźni. Mam mnóstwo pytań: ile miała lat? na co zmarła? Z drugiej strony jej już nie ma i tylko to się liczy. Te wszystkie „jak” i „dlaczego” to nieistotne szczegóły.

Później. Nie teraz. Może zapytam o to później.

Ktoś/Nikt: wczoraj widziałem tęczę, ale mój wkurzający telefon rozładował się po rozmowie z Tobą i mam wrażenie, że w ogóle jej nie było, bo nie zrobiłem zdjęcia. powiedz mi, proszę, że Ty też ją widziałaś.

Ktoś/Nikt: czasami czuję się tak, jakbym tracił zmysły. chcę wiedzieć na pewno, że ta tęcza naprawdę była. znasz to uczucie?

Zastanawiam się. Wczoraj, kiedy jechałam do pracy, padało przez jakieś trzydzieści sekund – pierwszy deszcz, jaki tu spadł, odkąd się przeprowadziłam – a potem chmury się przesunęły i... Tak, K/N ma rację. Na niebie zakwitł fragment tęczy, tak tęczowy w swojej tęczowości, że wyglądał jak z bajki. Wstyd się przyznać, ale przez moment sądziłam, że to może wiadomość od mamy albo wręcz że to ona. Nie potrafię tego wyjaśnić. Zrobiłam zdjęcie, ale nie wrzuciłam na Instagram. Nie chciałam sprawiać wrażenia, że staram się być wolnym duchem, bo przecież nim nie jestem. W ogóle. Czy powinnam wysłać fotkę do K/N?

Ja: Ja też ją widziałam.

Znajduję zdjęcie w komórce. Nie ma potrzeby stosowania żadnego filtra, ponieważ – w przeciwieństwie do całej reszty – ono akurat jest idealne. Wysyłam.

• • •

Masz wiadomość od Liama Sandlera

Liam: Mogłabyś przyjść do pracy jutro po szkole? Mamy próbę.

Ja: Jasne.

Liam: Ratujesz mi życie :-)

• • •

Ja: Zdajesz sobie sprawę, ile codziennie stosowanych wyrażen dotyczy śmierci? Przed chwilą ktoś powiedział, że uratowałam mu życie.

Ktoś/Nikt: taaa. od czasu... no wiesz... widzę je wszędzie. mama mnie zabije. umieram z głodu. ale jestem skonany. a wiesz, co jest najgorsze? kiedy tylko ktoś coś takiego powie, natychmiast spogląda na mnie przepraszająco. jakbym miał się poczuć urażony albo dostać jakiegoś ataku. to czyje życie uratowałaś?

Ja: Po prostu zgodziłam się na dodatkowy dyżur w pracy.

Ktoś/Nikt: to miłe z Twojej strony.

Ja: Nie ma w tym żadnej dobroci mojego serca. Zrobię wszystko dla zastrzyku gotówki.

Ktoś/Nikt: hmm... wszystko?

• • •

Masz wiadomość od Ethana Marksa

Ethan: Sprawdziłem. Według słownika kłaczce to „podziemny pęd przytwierdzający roślinę do podłoża, z którego odgałęzień wyrastają nowe rośliny”.

Wiadomość na czacie od Ethana. We wtorek o dwudziestej. A to oznacza, że o mnie myślał, bo nie można napisać do kogoś, nie myśląc o tej osobie, prawda? A może rozmyślał o *Ziemi jałowej*, co nie jest do końca myśleniem o mnie, ale trochę się łączy. Ten poemat stoi w jednym szeregu ze mną. To idiotyczne rozumowanie, którego dopuszcza się idiotycznie zakochana dziewczyna.

Czyli nie ja.

Ja: Hm. To nawet ma sens. Karmią nowe życie, będące częścią poematu.

Ethan: Ale dlaczego są suche?

Ja: Nie mam pojęcia.

Ethan: Podoba mi się słowo „kłacze”. To niezły epitet.

Ja: ??? Poproszę o przykład.

Ethan: Gem i Crystal? Kompletne kłacza.

Wiem, że Ethan słyszał, jak Gem była wobec mnie chamska za pierwszym razem – ba, to on był przyczyną tej całej katastrofy pod tytułem „Na co się tak gapisz?”, przez co mnie znienawidziła – ale nie zdawałam sobie sprawy, że słyszy wszystko, co ona mruczy pod nosem na angielskim. Cudownie. Bycie wyszydzanym dzień w dzień to jedno, ale kiedy superchłopak jest tego świadkiem, to już zupełnie inna para kaloszy.

Dzisiaj jej celem padły naklejki, które zdobią tył mojego laptopa. Scarlett je dla mnie przygotowała w zeszłym roku na urodziny, są naprawdę boskie. To tatuaże, które bym sobie zrobiła, gdybym należała do osób odważnych na tyle, żeby zrobić sobie tatuaże, a do których zdecydowanie nie należę. Jestem za to dziewczyną, która spędziła długie godziny, debatując nad tymiż hipotetycznymi tatuażami, mimo panicznego strachu przed igłami oraz wieloletnimi zobowiązaniami. I stąd wzięły się te bezbolesne, tymczasowe naklejki: dwa koreańskie znaki, które – jak zapewniała mnie Scarlett – znaczą „najlepszy przyjaciel”, zapisany gotycką czcionką wers z Szekspira: *A nade wszystko, zostań wierny sobie*^[10], i wreszcie wąż, który nie znajdował się na mojej liście, a którego dorzuciła Scarlett, żebym wydawała się większą twardzielką, przynajmniej teoretycznie. Błyskotliwa uwaga Gem: „Mogę się założyć, że te znaczki to *ofiara* po japońsku”.

Ja: Absolutne suche kłacza. I dzięki.

Ethan: Za co?

Ja: Nie wiem. Za bronienie mnie.

Ethan: Nie broniłem Cię.

Ja: Okej.

Ethan: Po prostu uważam, że nie jesteś dziewczyną, która potrzebuje obrony.

• • •

Dri polubiła zdjęcie przedstawiające ją i Ciebie na Instagramie.

Klikam. Siedzimy przy stole w stołówce, Agnes nie zmieściła się w kadrze. Czy została wycięta? Nie pamiętam. Być może. Chyba. Tak mi się wydaje. Nie powinno mnie to cieszyć, a jednak.

• • •

Scarlett: Nie żebyś mnie o to pytała, ale sukienka na bal została nabyta drogą kupna.
FLUORESCENCYJNA ŻÓŁĆ.

Ja: Będziesz się wyróżniać w tłumie.

Scarlett: Do tego niepotrzebna mi sukienka.

Ja: A jak tam Adam? Zestresowany?

Scarlett: Chyba. Poważne problemy z pryszczami. Żadne drobne, ledwo widoczne, ale wielkie, wypełnione czymś białym. Z trudem się powstrzymuję, żeby ich nie wyciskać.

Ja: Okropieństwo.

Scarlett: Jaka szkoda, że tego nie można zaliczyć do naszych wymaganych prac społecznych.

Dobrze, przyznam się. Zrobiłam zrzut ekranu. Cztery rozmowy jednocześnie. Cztery różne osoby, które mają mi coś do powiedzenia. Owszem, jedna w sprawie pracy, jedna w kwestii projektu szkolnego, a jedna to Scarlett, co się nie liczy, a ostatnia to ktoś, kogo w zasadzie nie znam, ale... i tak zamierzam je wszystkie wliczyć. To dowód na to, że być może zaczynam mieć znów coś, co przypomina życie.

– Gdy siadam przed kartką papieru, czuję się... zbyt powolna. Mój umysł działa szybciej niż dłonie.

ROZDZIAŁ 14

Ktoś/Nikt: trzy rzeczy na rozpoczęcie nowego dnia: 1. boję się latać. nienawidzę każdej sekundy spędzonej w samolocie. nie jestem do tego stworzony.

Ja: Nie powiem, żebym uwielbiała latanie, za to kocham lotniska. Świetna okazja do obserwowania ludzi.

Ktoś/Nikt: najlepsze powitania i pożegnania.

Ja: No właśnie.

Ktoś/Nikt: 2. w ostatniej klasie gimnazjum i pierwszej liceum byłem wegetarianinem, ale przestałem nim być ze względu na bekon.

Ja: Mmm. Bekon.

Ktoś/Nikt: 3. za dużo czasu spędzam na grach komputerowych. a Ty?

Ja: Nie jestem wielką fanką gier.

Ktoś/Nikt: Ty = trzy rzeczy.

Ja: Aha. 1. Generalnie nie przepadam za warzywami, ale szczególne miejsce w moim sercu zajmuje brukselka.

Ktoś/Nikt: mmm. z bekonem.

Ja: 2. Jestem nocnym markiem. Poranki są okropne. Dlaczego lekcje muszą się zaczynać tak cholernie wcześnie? DLACZEGO?

Ktoś/Nikt: w takim razie czuję się zaszczycony, że rozmawiasz ze mną przed 8 rano.

Ja: Trzy filiżanki kawy. Gloria robi naprawdę mocną. Opowiadałam Ci o Glorii?

Ktoś/Nikt: ?

Ja: To gospodyni domowa u mojej nowej, przyszywanej rodziny. Początkowo byłam do niej sceptycznie nastawiona. Dziwnie mieć kogoś, kto wszystko za ciebie robi. Nie mów nikomu, ale teraz to uwielbiam.

Ktoś/Nikt: niezależność jest przereklamowana. tak samo jak wpisywanie prania na listę szczególnych umiejętności.

Ja: 3. Jestem leworęczna, ale kiedy miałam dwanaście lat, postanowiłam, że jednak będę praworęczna, i tak się wyszkoliłam, że sprawnie posługuję się obiema rękami. Teraz jednak uważam, że leworęczność jest oryginalniejsza, więc już nigdy nie odzyskam tamtych trzech miesięcy mojego życia.

Ktoś/Nikt: ja natomiast we wszystkim jestem prawo-. WE WSZYSTKIM.

Ja: Czy to była próba dowcipnej aluzji?

Ktoś/Nikt: użycie słowa „próba” świadczy o tym, że jednak mi się nie udało.

Ja: #katastrofaaluzji

Ktoś/Nikt: przed chwilą powtórzyłem słowo „aluzja” kilkakrotnie w myślach i przez to straciło cały swój sens. aluzja. aluzja. aluzja. aluzja.

Ja: To słowo już nigdy nie będzie dla mnie takie samo. Totalne fiasko.

Ktoś/Nikt: fiaskoluzja.

Ja: Jesteś wariatem.

Ktoś/Nikt: a tak, tak. dobrze, że od razu to odkryłaś.

ROZDZIAŁ 15

Przecież to tylko seks. Nie rozumiem, dlaczego wszyscy robią z tego wielkie halo – mówi Agnes i obraca się na plecy na łóżku Dri. Jej głowa zwisa z krawędzi, a grzywka opada do tyłu. Agnes ma bardzo szerokie czoło. Jak się okazuje, ta grzywka nie jest wcale hipstersko-urocza, ale ma pełnić funkcję strategiczną. Jest piątkowy wieczór, zamiast siedzieć w domu z *Harrym Potterem*, jestem tutaj, wyjadam chipsy ziemniaczane z megapaczki, przeglądam kronikę szkoły Wood Valley i rozmawiam z Dri i Agnes, jakby to było coś, co normalnie robię w każdy weekend. I wcale nie czuję się dziwnie. Gdy zaczynam się stresować na myśl, że Agnes wolałaby mnie tu nie widzieć, przypominam sobie, że to Dri mnie zaprosiła i nawet dodała: „Chodź, chodź, ofiaro”, kiedy wspomniałam, że zostanę w domu, żeby się uczyć. Uznałam, że zinterpretuję tę „ofiara” jako wyraz sympatii.

– A od kiedy to jesteś ekspertką? – pyta Dri i rzuca w nią poduszką. – Mam w nosie to, co mówisz. Technicznie rzecz biorąc, nadal jesteś dziewicą.

– Nieprawda! Utraciłam dziewictwo, technicznie rzecz biorąc! – oznajmia Agnes z udawanym oburzeniem. Brzmią jak starzy małżonkowie podczas setnej kłótni o to samo, więc zupełnie im nie zależy na wyniku. Sama kłótnia jest tu przyjemnością.

– Technicznie rzecz biorąc? Co to niby znaczy? – pytam i spoglądam na Agnes. – Powiedz, proszę, że nie należysz do tych dziwaków, którzy liczą, eee... no wiesz... seks oralny.

– Oczywiście, że nie. W grę wchodziła drobna penetracja – odpowiada i zaczyna chichotać. – Ale się liczy. Zdecydowanie się liczy.

Ja też wybucham śmiechem, chociaż nie do końca rozumiem, o co w tym wszystkim chodzi.

– A o co tak właściwie biega?

– Agnes doznała półpenetracji. Wszedł w nią półczłonek.

– Półczłonek – powtarza Agnes. – Zabawne. – Chwilę później wszystkie śmiejemy się tak, że aż lecą nam łzy.

– Nadal nie mam pojęcia, co to oznacza. Musisz opowiedzieć mi całą historię – mówię.

– W porządku. Już mówię, co stało – się, rzecz jasna. Ale do rzeczy. W zeszłe lato byłam na obozie teatralnym – tak, wiem, straszny banał, ale przynajmniej się to nie zdarzyło na balu maturalnym. W każdym razie całowałam się z takim jednym Stillsem koło mojego łóżka, na podłodze, i pomyślałam: „No dobra, zróbmy to”. Miałam już po dziurki w nosie tego całego dziewictwa, więc skombinowaliśmy gumkę, bo bezpieczeństwo przede wszystkim, a potem zaczęliśmy, no wiesz, uprawiać seks. Penetracja i te sprawy, ale w pewnym momencie on kompletnie stchórzył. Miał wielką ochotę, jednak stwierdził – cytuję – „Mój brachol J.C. chce poczekać z tym do ślubu”.

– Nie wierzę! Naprawdę powiedział „mój brachol J.C.”?

– Niestety. Upokorzenie na każdym możliwym poziomie. W taki właśnie sposób straciłam dziewictwo. Liczy się, prawda? – Agnes kieruje to pytanie do mnie, a ja dochodzę do wniosku, że być może zbyt pochopnie ją osądziłam. Jest zabawna, bardzo szczerza i ma do siebie dystans. Teraz już wiem, dlaczego przyjaźni się z Dri.

– Głosuję na tak – odpowiadam, ponieważ posunęła się o wiele dalej niż ja, jeśli chodzi o obecność penisa w ciele.

– Ale Dri też ma rację – dodaje. – To była półpenetracja półczłonkiem. A jak jest z tobą? – pyta zupełnie niedbale, jakby wykazywała zainteresowanie moim ulubionym przedmiotem w szkole czy czymś

równie błahym.

– Jeszcze nic. To znaczy nie czekam na małżeństwo ani nic z tych rzeczy, po prostu nie pojawiła się jeszcze prawdziwa okazja – wyjaśniam, co jest zgodne z prawdą. Nie mówię jednego: nie miałabym nic przeciwko, żeby stało się to z kimś, kto by mi się podobał, a ja podobałabym się jemu. Zakładam, że dziewictwo stracę dopiero na studiach, bo tak to zwykle bywa w przypadku dziewczyn mojego pokroju.

– Ja też nie – odzywa się Dri. – A wracając do mojej pierwotnej myśli, nie mówię, że to coś wielkiego i nie wiadomo jakiego, ale kurczę – takie nic to też nie jest.

– Moja siostra studiuje na Uniwersytecie Kalifornijskim i jest tam niezłą zdzirą. Twierdzi, że sypianie z przypadkowymi facetami to jej sposób na zaakceptowanie własnej seksualności. – Agnes siada, odwraca się do mnie i do Dri, a jej grzywka wraca na miejsce. – Ma nawet konto na Evernote i zapisuje tam wszystkich, z którymi poszła do łóżka.

– Trzeba przyznać, że jej zaangażowanie budzi podziw – zauważa Dri. – Pieprzy się w imię feminizmu. Znów się śmiejemy, a ja myślę o Scar i o tym, jak dobrze by się tu czuła. Wracam do przeglądania kroniki. Szukam K/N, ale i nie szukam.

– Słuchajcie, mogę was o coś zapytać?

– Pewnie – odpowiadają jednocześnie. Ja i Scarlett też tak robiłyśmy. Nazywałyśmy to chwilami, w których nasze umysły zlewają się w jeden.

– Znaie w naszej klasie kogoś, komu umarła siostra? – pytam. Wiem, że nie powinnam rozpracowywać K/N, bo to może na zawsze zrujnować najlepszą rzecz, jaka mi się kiedykolwiek przytrafiła, jednak nie mogę się powstrzymać. Mam tylko ten jeden trop, chciałabym go wykorzystać.

– Chyba nie – mówi Dri. – A czemu?

– Jest taki chłopak... – zaczynam i przerywam, bo nie wiem, jak to wszystko opowiedzieć, żeby nie zabrzmiało dziwacznie. K/N, ja i nasze rozmowy wbrew rozsądkowi, mimo jego anonimowości. To, że czuję, jakby on mnie naprawdę znał, chociaż w realu nigdy się nie poznaliśmy.

– Tyle fantastycznych historii zaczyna się od słów: „Jest taki chłopak...” – śmieje się Agnes.

– Przymknij się – strofuje ją Dri. – Daj się dziewczynie wysławić.

Więc się wysławiam. Czuję się bezpiecznie, i wcale nie pomimo kpin Agnes, tylko może właśnie dzięki nim. Te dwie laski są na najlepszej drodze do zostania moimi prawdziwymi przyjaciółkami. Nie wspominam o szczegółach: o naszej nowej zabawie w „trzy rzeczy” ani o tym, jak zasugerował, żebym zagadnęła Dri. To należy tylko do nas. Ale przyznaję, że go lubię, cokolwiek to oznacza w sytuacji, kiedy zna się kogoś wyłącznie z komunikatora.

– Widzę, że zdecydowanie chciałabyś, żeby doszło z nim do półpenetracji – mówi Agnes.

– Każda dziewczyna ma jakieś marzenia – stwierdzam.

Kiedy późni

– Chyba nie przysłuchujesz się, jak... no wiesz... robią coś brzydkiego. Proszę, błagam, powiedz, że nie o to chodzi.

– Blee. Ohyda. Cicho bądź, kłóć się – odpowiada i przyciąga mnie do siebie, pod same drzwi, żebym i ja posłuchała. Jak się okazuje, zupełnie niepotrzebnie, ponieważ niebawem krzyki są tak głośne, że zapewne sąsiedzi powyłączali wszystkie reality show, które właśnie oglądali, żeby posłuchać tej sprzeczki. – Być może ze sobą zrywają, a wtedy ta wielka narodowa tragedia dobiegnie wreszcie końca.

– Wielka narodowa tragedia? Poważnie? – pytam.

– O co chodzi, Rachel, do diabła? To tylko pieprzona kolacja! – mówi mój tata, a wtedy już wiem,

że sprawa jest poważna. On bardzo rzadko przeklina, a jeśli już, to wybiera przekleństwa stosowane jedynie przez dziesięcioletnie dziewczynki, kobiety z Południa oraz Dri, typu: „Zamknij drzwi, słonko, i spadaj”. – Muszę się uczyć do egzaminu.

– To ważna kolacja biznesowa! Czy to nierozsądne z mojej strony, że oczekuję obecności swojego męża? Nie zapominaj, że jesteśmy małżeństwem. To dla mnie naprawdę ważne – mówi Rachel. Jaka szkoda, że nie widzę nic przez zamknięte drzwi. Stoją czy siedzą? Czy Rachel jest typem, który ciska przedmiotami, rozbija w złości bibeloty za tysiąc dolarów, które zaśmiecają dom? Z drugiej strony, komu potrzebna biała porcelanowa żyrafa mierząca ponad półtora metra? – A zresztą, zapomnij. Może lepiej, jeśli faktycznie nie pójdziesz.

– Co to ma niby znaczyć?

– Nic. To zupełnie nic nie znaczy. – Ach, więc raczej typ bierno-agresywny. Mówi różne rzeczy, wcale ich nie mówiąc. Agnes by ją zniecierpliwiała. – Oboje wiemy, że nie chodzi o naukę. Sam mówiłeś, że nawet we śnie zdałbyś ten egzamin.

– Okej, przyznaję. Potrzebowałem wieczoru dla siebie. Jednego wieczoru, podczas którego nie będę oceniany przez wszystkich twoich znajomych. Myślisz, że nie widzę, jak na mnie patrzą? Jak ty na mnie patrzysz w ich obecności? Pozwoliłem się nawet zabrać na zakupy, żeby się stosownie ubrać, ale bez przesady! Dość tego – mówi tata, a moje policzki oblewają się rumieńcem. Oczywiście, że czuję się w Wood Valley jak ryba wyjęta z wody, jednak zupełnie nie przyszło mi do głowy, że mój ojciec też będzie miał problemy z adaptacją w Los Angeles. Sądziłam, że całe to przystosowywanie się do otoczenia ustaje wraz z zakończeniem nauki w szkole średniej.

– Nikt cię nie ocenia – mówi Rachel, a jej głos znów brzmi kojąco. – Wszyscy cię lubią.

– Nic na to nie poradzę, że nie mam ochoty oglądać niezależnego bengalskiego kina o trędowatym, który gra na harfie za pomocą stóp. A do tego ostatnio miałaś czelność zmienić moje zamówienie w restauracji, jakbym był dzieckiem! Chciałem napić się piwa do steku, a nie caberneta w wyśrubowanej cenie. Przykro mi, jeśli to uraziło twoją wielkopańską wrażliwość, jednak takie rzeczy nie mają dla mnie żadnego znaczenia.

– Próbowałam tylko oszczędzić ci wstydu – mówi Rachel i jej głos zaczyna drżeć. Znosi się na płacz, ale wcale mi jej nie żal. – W takim lokalu nie zamawia się piwa. Po prostu się nie zamawia. Starłam się dać ci znak, że...

– Nie potrzebuję znaków. Jestem dorosłym człowiekiem, a to, że wolę burgery i piwo niż organiczną słodkowodną i wykwinną jak cholera rybę, nie robi ze mnie troglodyty. Dobrze wiedziałaś, za kogo wychodzisz. Nigdy nie udawałem, że jestem inny. Zresztą sądziłem, że tutaj inność jest w modzie. Czy nie dlatego kupiłaś mi te idiotyczne tenisówki? Zachowujesz się, jakbyś tresowała pieska.

– Prosty gust to jedno, ale absolutny antyintelektualizm to zupełnie inna sprawa. Korona by ci z głowy nie spadła, gdybyś czasem przeczytał jakąś książkę – mówi Rachel. Najwyraźniej się myliłam. Nie zamierza płakać. Zbiera siły, zaczyna kopać.

– Naprawdę? Teraz obrażasz moją inteligencję? Nigdy nie widziałem, żebyś ty czytała jakąkolwiek książkę. Na twoim stoliku nocnym leży tylko „Vogue”. Tak się składa, że jedyną czytającą osobą w tym domu jest Jessie. I jedyną rozsądną osobą z całej naszej czwórki.

– Jessie ma być jedyną rozsądną osobą? Pobudka, Bill! Ta dziewczyna nie ma przyjaciół. Żadnych, rozumiesz? Cieszyłam się, że wysyłam ją do Wood Valley, ale czy ty się o nią nie martwisz? Nastolatki powinny się dobrze bawić!

Ach, wychodzi na to, że to ja skończę zalana łzami. Oczywiście, ostatnio wszystko tak właśnie się kończy. Mam ochotę wrzasnąć przez zamknięte drzwi: „A właśnie że mam przyjaciół! Robię, co mogę. I nie potrzeba mi pomocy!”. To nie moja wina, że zmarła mama. Wszystko, co naprawdę ważne, musiałam zaczynać od zera. Tata wybrał sobie Rachel, a – co jeszcze mniej wytłumaczalne – ona wybrała sobie jego, ale mnie o zdanie nikt nie pytał. Żadnego z nich nie mogłam sobie wybrać. Owszem, mój ojciec to

nieznany farmaceuta z Chicago, ale kurde, przecież jest inteligentny. Nawet błyskotliwy. No i co z tego, że lubi filmy przyrodnicze i sensacyjne? Mama uwielbiała poezję, i chociaż on nigdy nie podzielał jej pasji, jakoś się dogadywali. Pozwalała mu być sobą.

Moje życie to kanapka z gównem, coś w rodzaju wegetariańskiego burgera ze spermą, przed którym ostrzegał mnie K/N. Nie mam już siły, oczy mi zachodzą łzami, osuwam się po ścianie na podłogę. Theo na mnie spogląda.

– Ona gada bzdury, kiedy jest zła. Nie zwracaj na nią uwagi – szepcze. – Po prostu lubi stawiać na swoim.

– I kto to się wypowiada na temat rodzicielstwa! – Słyszę głos taty. – Moja córka jest świetna, więc lepiej się ugryź w język. Przyglądałaś się ostatnio swojemu synowi? Sposób, w jaki Theo się nosi... – Dzięki Bogu mój ojciec gryzie się w język. „Błagam, tylko tego nie mów” – myślę.

– No? – pyta Rachel. – Mój syn jest gejem. Więc co, do cholery?

Rachel ewidentnie go prowokuje, jakby miała ochotę na kłótnię. Przychodzi mi do głowy, że już chyba wolałabym słuchać, jak uprawiają seks. Ta sprzeczka jest bardziej intymna, osobista. Jeszcze gorsza niż jej łyzy w środku nocy. Nie chcę być świadkiem tego, co robią dorośli. To takie popieprzone.

Nagle zaczynam rozmyślać, czy tak się właśnie dzieje, kiedy ludzie poznają się przez Internet. Związek bez kontekstu. Zdecydowanie łatwiej zrobić dobre pierwsze wrażenie, ponieważ można nim manipulować. Tyle że oni poznali się w internetowej grupie w s p a r c i a p o s t r a c i e, a nie na stronie, na którą zaglądamy ci, którzy szukają partnera. Ciężko mi sobie wyobrazić, że ktoś taki jak Rachel ucieka ze swoją żalobą do sieci. Ona jest zawsze taka opanowana i niezależna, zupełne przeciwieństwo osoby potrzebującej pomocy.

I chociaż nie jestem jej fanką, zaczynam rozumieć, co ojciec w niej zobaczył. Bo mimo że los dał jej kartę wdowy, to jednak w ostatecznym rozrachunku w życiu jej się poszczęściło. Odniosła sukces zawodowy, jest względnie atrakcyjna i bogata. Tylko dlaczego wybrała akurat jego? Chyba nie jest brzydki, jak na faceta w średnim wieku, a do tego jest dobry. Mama mawiała, że jest największą szczęściarą wśród wszystkich kobiet na świecie, bo go znalazła i zbudowała sobie życie na tak solidnym fundamencie. Podejrzewam jednak, że takich jak on jest w Los Angeles na pęczki, a do tego mają mniej problemów i więcej pieniędzy. Dlaczego więc musiała wyjść za m o j e g o tatę?

Gdy moi rodzice się kłócili, zamykałam się w pokoju i zakładałam słuchawki. Nie przysłuchiwałam się awanturom, wiedziałam, że będą trwały długo – co najmniej dwa albo trzy dni – a oboje będą wysługiwali się mną, by ze sobą rozmawiać. Ot, taki minus bycia jedynaczką. „Jessie, powiedz swojemu ojcu, żeby jutro odebrał cię ze szkoły”. „Jessie, powiedz swojej matce, że skończyło się mleko”. Kłótnie nie zdarzały się często, ale jeśli już miały miejsce, były wybuchowe i nieprzyjemne.

„Wszystko kiedyś minie, Jessie. Pamiętaj o tym. To, co dzisiaj wydaje się takie ogromne i przytłaczające, wkrótce stanie się nieistotne” – powiedziała kiedyś mama tuż po wielkiej kłótni z tatą. Nie wiem już, o co im poszło – może o pieniądze – pamiętam tylko, że skończyło się ni z tego, ni z owego, równo cztery dni później, kiedy oboje spojrzeli na siebie i zaczęli się śmiać. Często wracam do tego zdarzenia – nie tylko do początków awantury, ale i tego, co mówiła mama. Jestem prawie pewna, że nie miała racji. Nie wszystko mija.

– Uściślijmy jedno. – Głos mojego ojca staje się niski, chrapliwy. Jest bardzo spokojny, za bardzo, co oznacza, że musi być naprawdę wściekły. – Nie jestem ignorantem ani homofobem, więc przestań mnie tak traktować.

– Bill!

– Zapomnij. Idę się przejść. Potrzebuję świeżego powietrza i odpoczynku od ciebie – mówi tata, a wtedy my z Theo szybko się podrywamy. Owszem, ojciec musiał zdawać sobie sprawę z tego, że krzyczą, ale lepiej, żeby nie wiedział o naszych miejscach w pierwszym rzędzie widowni.

– Bardzo dobrze. Idź sobie! – wrzeszczy Rachel. – I nie wracaj!

Jestem w pokoju Theo. Wcześniej byłam tu tylko raz, gdy opowiadałam mu o nowej pracy, więc wykorzystuję okazję i się rozglądam. Ściany są puste, na biurku nie ma ani jednego zdjęcia. Nic ciekawego. Najwyraźniej jest minimalistą, jak jego matka.

– Myślisz, że się rozwiodą? – pyta Theo, a ja czuję zaskoczenie, bo na samą myśl ogarnia mnie strach. I nie dlatego, że wolałabym tu zostać, po prostu nie mam do czego wracać. Nie mamy już domu. Życia w Chicago. A gdybyśmy mieli zostać w Los Angeles i przenieść się do jakiejś smutnej klitki, taty nie stać by było na opłacenie mi nauki w Wood Valley. Musiałabym znów zaczynać od nowa w innej szkole. Pożegnać się z głupim zauroczeniem Ethanem, z przyjaźnią z Dri i Agnes, z czymkolwiek, co mnie łączy z Ktosiem/Niktem. Czy kiedy Rachel powiedziała tacie, żeby nie wracał, miała na myśli to, że i ja powinnam opuścić jej dom? Czy właśnie nas wyrzuciła?

– Nie wiem – odpowiadam.

– To by ułatwiło sytuację – mówi Theo.

– Może tobie. Ja nie mam dokąd pójść.

– To nie mój problem.

– Nie. To nie twój problem – odpowiadam i wstaję, żeby wyjść. Mam serdecznie dosyć tych ludzi.

– Przepraszam. Czy twój tata chciał mnie nazwać... Nieważne.

– Nie zrobiłby tego. Nie jest taki.

– Nie ma znaczenia. Chcesz się zaciągnąć? – Sięga po swoje bibuły.

– Nie, dzięki. I mówię prawdę. Nie użyłby wobec ciebie żadnego paskudnego określenia.

– Nie jestem tego pewien.

– Znam swojego ojca. Nazwałby cię ostentacyjnym. Bo, prawdę powiedziawszy, taki właśnie jesteś – stwierdzam i zaczynam się zastanawiać, czy przesadziłam. Patrzę mu prosto w oczy, by wiedział, że to jedynie szczerłość, a nie zniewaga.

– Już chyba w przedszkolu wiedziałem, że jestem gejem, więc postanowiłem, że to zaakceptuję. Dam innym to, czego oczekują – mówi, grzebiąc w szufladach. – Nikt nie powinien być pozbawiony kontaktu z moją wspaniałą boskością.

– Ale z nas szczęściarze – mówię i się uśmiecham. Powoli zaczynam doceniać Theo. Podchodzi do życia z maniackim entuzjazmem, co stanowi przeciwagę dla typowej nastoletniej powściągliwości panującej w Wood Valley. Do tego ma w sobie ukrytą dobroć i jest całkiem autentyczny w tej swojej przesadności.

– Do kogo tak ciągle piszesz? – pyta, a mnie po raz kolejny przychodzi do głowy, że może to on jest K/N. Może chciał mi pomóc, nie angażując się pozornie w naszą dziwną sytuację rodzinną. Być może źle wszystko zinterpretowałam: może flirt ze strony K/N to po prostu entuzjazm Theo. Mam nadzieję, że nie.

– Nie twój interes – rzucam, ale nie robi to na nim żadnego wrażenia.

– Skoro nie palisz, może wolisz zająć stres? Mam tu gdzieś zachomikowaną godivę na czarną godzinę – mówi i w końcu znajduje to, czego szukał: gigantyczny baton czekoladowy.

– Jestem za – odpowiadam.

– To jak, myślisz, że twój tata podpisał intercyzę? – pyta Theo, a ja znów zaczynam go nienawidzić.

ej wracam do domu Rachel, Theo kręci się pod drzwiami sypialni naszych rodziców, ewidentnie podsłuchuje.

ROZDZIAŁ 16

Ktoś/Nikt: trzy rzeczy: 1. dzisiaj rano zjadłem gofry na twoją cześć. 2. kiedy skończę szkołę, zamierzam rozchwiać przemysł piwowarski. tylko woda, kawa, herbata, sok, cola i parę innych. **JESTEŚMY NA TO ZA DOBRZY.** 3. kiedyś ciągle śniła mi się moja siostra, budziłem się roztrzęsiony i to było okropne. ale teraz w ogóle mi się nie śni i to jest jeszcze gorsze.

Ja: 1. Mnie już też nie śni się mama, ale niekiedy zupełnie zapominam, że jej nie ma. Myślę sobie: „Spodoba jej się ta historia. Opowiem jej, gdy wrócę do domu”. A potem przypominam sobie o wszystkim. To jest najgorsze. 2. Nie jadłam rano gofrów, tylko jakąś organiczną granolę z ziarniaków pszenicy, cokolwiek to jest. 3. Nigdy nie użyłam słowa „rozchwiać” w odniesieniu do jakiegokolwiek przemysłu. Co to w ogóle oznacza? Jesteś pewien, że masz szesnaście lat?

Ktoś/Nikt: tak się składa, że 17. mam pomysł za miliard dolarów: sok z ziarniaków pszenicy!

Ja: Co za typowy gość z Wood Valley! Pomysł za MILION dolarów już Ci nie wystarcza?

Po szkole od razu idę do pracy. Nie unikam domu, skądże. Ale co, jeśli wszystkie moje rzeczy zostały spakowane w torby – Gloria zrobiłaby to bardzo starannie i z należyтым szacunkiem, składając moje staniki i zamykając szczelnie opakowania szamponu – a cały ten eksperyment z Rachel dobiegł właśnie końca? Pstryk, i nie ma? Co ze mną będzie?

Tylko ja jedna jadłam śniadanie przy stole. Theo wpadł po sok, uniósł brwi i wzruszył ramionami. Najwidoczniej też nic nie wiedział. Chwilę później pojawiła się Rachel i zaczęła tę swoją szopkę, którą zawsze odstawia, kiedy się spieszy – mówi na głos, nie zwracając się do żadnej konkretnej osoby, być może tylko do siebie; tańczący derwisz, pełen nerwowej energii i pytań retorycznych.

– Kawa! Gdzie jest kawa? – rzuciła, chociaż kawa znajdowała się w tym samym miejscu co zwykle: w kawiarence, przygotowana przez Glorię albo automatyczny timer. Nie jestem pewna, jednak stawiam na Glorię, która jest świetna w robieniu różnych rzeczy tak, żeby człowiek ich nie widział, a także w robieniu rzeczy, z których człowiek nie zdaje sobie sprawy, że trzeba je było zrobić. Jeśli zostaniemy zmuszeni do wyprowadzki, nie będę ukrywała: to Glorii będzie mi najbardziej brakowało. Mówi do mnie „Yessie”, przez „j” na początku, składa moją piżamę i wsuwa pod poduszkę oraz nalega, żebym żuła czekoladowe cukierki z wapniem. – I kluczyki? Gdzie jesteście, kluczyki? W torebce. Cholera jasna, gdzie jest moja torebka?

Mój tata – podobnie jak wszystko, co należy do Rachel – także zaginął w akcji. Przez ułamek sekundy ogarnęła mnie panika, że może zostawił mnie i ruszył z powrotem do Chicago. Kiedy spotyka cię w życiu to, co najgorsze, zaczynasz sądzić, że równie dobrze mogą ci się przydarzyć wszystkie inne złe rzeczy, które wcześniej uważałeś za niemożliwe. Ale nie, nie ma mowy, żeby mnie porzucił. Co prawda nigdy bym go nie podejrzewała, że skłamię z tym zjazdem farmaceutów, po czym wróci żonaty, zamiast ze stosem próbek dla swoich przyjaciół w średnim wieku, jak przystało na normalną osobę... Jednak mimo ostatnich kilku miesięcy zawsze był dobrym ojcem.

– Okulary przeciwsłoneczne? – zapytała Rachel, a ja zrozumiałam, że musi być wstrząśnięta kłótnią,

bo zaczęła macać puste białe blaty, jakby okulary miały się na nich pojawić jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Okulary przeciwsłoneczne nigdy wcześniej nie stanowiły części jej porannego monologu.

– Masz je na głowie – powiedziałam, a ona podskoczyła i spojrzała na mnie, jakby mój głos zupełnie ją zaskoczył, jak gdyby dopiero zauważyła, że tu siedzę. Przez chwilę wydawała się smutna, a może rozczarowana. Potem zsunęła okulary na nos i tym samym zasłoniła sobie prawie całą twarz. Już nic z niej nie mogłam wyczytać.

Gdy pojawiając się w pracy, Liam siedzi na biurku, gra na gitarze i śpiewa widowni składającej się z zera osób. Wychodzi na to, że miałam rację: przez księgarnię nie przewalają się tłumy. Czasem wpada jakiś stały klient albo taki jeden facet, który przegląda książki w dziale poradników, ale nigdy niczego nie kupuje, i to byłoby na tyle.

– *Imagine*? Widzę, że grasz klasykę. – Jestem zaskoczona jego głosem, delikatnym, żarliwym, niemal słodkim. A poza tym z gitarą wygląda zupełnie inaczej. Zauroczenie Dri nabiera wreszcie sensu.

– Przepraszam, nie słyszałam, jak wchodzisz. – Liam ściąga Earla z ramienia i chowa w futerale wyłożonym fioletowym materiałem. To gest pełen wdzięku, podejrzewam, że wykonywał go już z tysiąc razy.

– Nie musisz przerywać z mojego powodu. – Zastanawiam się, czy udałoby mi się wyjąć ukradkiem telefon i nagrać go dla Dri, jednak dochodzę do wniosku, że byłoby to zbyt napastliwe, więc rezygnuję. – Jesteś dobry. Naprawdę.

– Dzięki. Chciałbym iść w przyszłym roku na studia do Berklee College of Music, ale mamie nie podoba się perspektywa mojego wyjazdu aż tak daleko.

– Nieźle – odpowiadam. – To w Bostonie, prawda?

– Taaa. Ale prawdę powiedziawszy, najbardziej chciałbym w ogóle zrezygnować ze studiów i zająć się poważnie pracą z zespołem. Tylko że mama by tego nie przeżyła. Ciągłe jej powtarzam, że tak właśnie zrobili goście z Maroon 5 – wiesz, że chodzili do szkoły w Brentwood? – a ona pyta: „Maroon co?”.

Śmieję się, bo nie wiem, co powiedzieć.

– To co, przyjdiesz? – pyta Liam, ratując mnie od zawstydzającej pustki w głowie.

– Nie rozumiem.

– Na koncert. Na imprezie u Gem.

– Jeszcze raz, kiedy to jest? – Oczywiście dobrze wiem. Dri i Agnes przekonały mnie, że powinniśmy wszystkie iść, i nawet wybrały już dla mnie strój. Twierdzą, że Gem i Crystal będą tak naprute, że pewnie nie zauważą mojej obecności.

– W następną sobotę – mówi Liam. – Wiem, to żaden wielki koncert w klubie, ale i tak będzie f

Klepie w blat biurka – to zaproszenie, żebym usiadła obok niego. Wskakuję na mebel i siadam po turecku, opieram się plecami o ścianę. Przyglądam się zza jego głowy książkom w dziale dziecięcym. Patrzę na jaskrawe okładki ustawione przodem do kupujących. One się niczego nie wstydzą, nie to co ja.

– Ty dzisiaj też pracujesz? – pytam. Mam nadzieję, że nie. Praca z Liamem jest dla mnie kłopotliwa, nie potrafię prowadzić rozmowy przez trzy godziny z rzędu. Ile razy może mi opowiadać o jedzeniu podczas stażu w Google, nawet jeśli było rzeczywiście pyszne. To znaczy nie rozmawiamy non stop – dzięki Bogu za mojego iPhone’a, którego wyciągam zawsze, gdy zaczyna się robić niezręcznie – ale i tak jest dziwnie. Poza tym skoro poznałam już tajniki pracy, nie rozumiem, dlaczego mamy oboje siedzieć w księgarni. I tak nie ma tu nic do roboty.

– Jeśli nie masz nic przeciwko? Potrzebna mi kasa, więc...

– Okej. Rozumiem, że mam sobie iść? – upewniam się z rozpaczą w sercu. Codziennie po szkole Dri i Agnes chodzą do Coffee Bean. Wiem, że to brzmi żałośnie, ale muszę mieć za co kupować Ice Blended.

No i druga sprawa: nie uśmiecha mi się powrót do domu.

Czy jeśli wyprowadzimy się z tatą, nadal będę korespondowała z Ktosiem/Niktem? Czy w końcu mi powie, kim jest?

– Niekoniecznie. Możemy pracować razem, mojej mamie to nie przeszkadza. – Jestem ciekawa, czy jest mu mnie żal, czy patrzy na mnie z góry tak jak jego dziewczyna, i tylko dlatego pozwala mi zostać. Zauważyłam w naszej szkole tych, którzy dostają stypendium. Łatwo ich poznać po ubraniach i po tym, że trzymają się razem w swoich niedesignerskich grupkach. Nikt nie zwraca na nich większej uwagi. Któregoś dnia jedna z dziewczyn włożyła koszulkę z napisem GAP. Gem nawet nie mrugnęła. Jak widać, tylko mnie obrała sobie za cel.

– Na pewno? – pytam. Kurde, nawet w moich uszach zabrzmiało to błagalnie.

– Na pewno. – Liam chwytą za gitarę i znowu zaczyna grać.

Dri: O MATKO. Gra ci serenadę? NAPRAWDĘ? Jadę do was.

Ja: To chyba oryginalny kawałek Oville?

Dri: OMG. Słuchaj, gdybym przyjechała, to byłoby zbyt oczywiste, nie? Jasne, że tak. Wiem! Zadzwoń do mnie i się nie rozłączaj.

Ja: Poważnie?

Dri: Nie. To podchodzi pod stalking, nawet w moich oczach. AAAAAAAAAA!

Ja: Miałaś rację. Jest naprawdę dobry.

Dri: Nie przeżyję tego.

Ja: Jeśli to Cię jakoś pocieszy, wiesz, że wolałabym, żebyś siedziała tu zamiast mnie. Mam matkę do odrobienia. Gdyby tylko ktoś mi za nią płacił...

Dri: Przyznaj, jest seksowny.

Ja: Nie w moim typie, ale...

Dri: Ale?

Ja: Powiedzmy, że teraz rozumiem Twoją obsesję.

Liam zaczyna grać nową piosenkę, której nigdy wcześniej nie słyszałam. Tekst idzie tak: *The girl that no one knows, the one that secretly glows, all right, the girl that no one knows is mine, all mine, all mine*^[11]... Trzeba przyznać, że wpada w ucho.

Scarlett: Czy po balu powinnam uprawiać seks z Adamem Kravitzem?

Ja: CO TAKIEGO?!?!?

Scarlett: Pomyślałam sobie, że może fajnie byłoby stracić dziewictwo z kimś, kto nie jest onieśmielający. No wiesz, zrobić to i mieć już za sobą.

Ja: Tego właśnie chcesz? Żeby tylko mieć to za sobą?

Scarlett: Może?

Ja: Nie twierdzę, że seks to coś nie wiadomo jak wielkiego, ale z drugiej strony to też nie jest takie nic.

Dociera do mnie, że zacytowałam właśnie Dri, ale uważam, że miała rację. To wcale nie jest byle co. Nie będę się bawić w nadopiekuńczego rodzica, ale są rozmaite choroby, no i ciąża. Dobrze, wiem, że Scarlett użyłaby prezerwatywy – oglądałyśmy w końcu *Nastoletnie ciężce*, a to najlepsza antykoncepcja na świecie – ale Adam Kravitz? Mój odwieczny sąsiad? Jedyne chłopak, który wykazał jakiegokolwiek zainteresowanie moją osobą, o ile zainteresowaniem można nazwać próbę całowania się w pewną sobotnią noc w kręgielni, i do tego po pijaku.

Jednak to nie dlatego mam obiekcje. Scarlett ma prawo do półpenetracji, albo i całkowitej penetracji, z Adamem Kravitzem. Po prostu uważam, że niepotrzebnie udaje nonszalancję w całym tym temacie. Myślę, że mimo ostrego języka przypomina bardziej mnie i Dri niż siostrę Agnes. Co innego rozmawiać o seksie (że nie wspomnę o braku zakłopotania podczas tychże rozmów), a co innego to r o b i ć. Jeśli pomyśleć o tym bez emocji, seks to bardzo prosta rzecz – części ciała jednej osoby dotykają części ciała drugiej osoby, nic więcej – a jednak rzeczywistość okazuje się bardziej skomplikowana. Na równi ekscytująca i przerażająca. Nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego tak jest, wiem tylko, że ja tak czuję.

Scarlett: Nie panikuj. Rzuciłam tylko hasło.

Ja: Nie panikuję. Jeśli chcesz to zrobić, rób. Ale powinnaś mieć pewność, bo te same argumenty można wykorzystać przeciwko seksowi. Jak już się stanie, to się nie odstanie. Wiem, że nie muszę Ci wspominać o zabezpieczeniach.

Scarlett: Adam ma coraz zdrowszą cerę. Chyba stosuje accutane.

Ja: Ooo, chciałabym to zobaczyć. Przyślij mi zdjęcia!

Scarlett: Tęsknię za Tobą, J.

Ja: Ja za Tobą też, S. Nawet nie wiesz, co tu się dzieje.

Scarlett: ?

Ja: Tata i pani na włościach poważnie się pozarli. Miałam stracha.

Scarlett: I co?

Ja: Nie wiem. Jak na młodą parę, nie wydają się zbyt szczęśliwi.

Scarlett: Moi rodzice są 18 lat po ślubie i się CIĄGLE KŁÓCĄ. Czasami mam wrażenie, że się nienawidzą, ale oni twierdzą, że jest wręcz przeciwnie.

Ja: Twoi rodzice lubią się kłócić. To ich strefa bezpieczeństwa.

Scarlett: Pewnie jednak nie zrobię tego z Adamem.

Ja: ?

Scarlett: Ale z drugiej strony – kto wie?

Po drodze są takie korki, że do domu docieram dopiero po dwudziestej. Gloria zostawiła mi na blacie kolację: pieczone udko kurczaka, fasolka szparagowa z migdałami i mikroskopijna porcja purée z ziemniaków, wszystko przykryte szklaną kopułą. Sztućce leżą na serwetce z materiału. W Chicago korzystaliśmy zwykle z papierowych ręczników. Mama gotowała całkiem dobrze – może miała tylko przesadną skłonność do eksperymentowania w kuchni – a ja tęsknię za jej obfitymi gulaszami, w których wszystkie składniki tworzyły idealną kombinację. Pod domem stoi samochód taty, ale Rachel jeszcze nie wróciła. Z góry nie dobiegają żadne dźwięki, nie słychać nawet rytmicznych basów, które zwykle rozbrzmiewają z pokoju Theo. Jem kurczaka samotnie, a potem wycieram usta i już mam wejść na piętro, kiedy zauważam postać na tarasie.

Tata.

Otwieram szklane drzwi i wychodzę na zewnątrz. Od razu otulam się rękoma, bo uderza we mnie ostry, zimny wiatr, bardziej odpowiedni dla Chicago niż dla LA.

– Cześć – mówię, a tata patrzy na mnie tak samo, jak rano Rachel. Jakby moje istnienie było całkowitym zaskoczeniem. „Przecież tu jestem!” – mam ochotę krzyknąć. „Dlaczego wszyscy tak łatwo o mnie zapominają?”

– Cześć, skarbie. Nie słyszałem, jak wchodzisz. Usiądź ze mną.

Opadam na stojący obok leżak. Chciałabym zapytać o naszą sytuację – „Zostaliśmy stąd wyrzuceni?” – ale nie mam odwagi.

– Co tu robisz? – pytam.

– A, tak sobie rozmyślam.

– Auć – mówię, a wtedy tata się uśmiecha.

– Uświadomiłem sobie, że jestem teraz – wreszcie, ostatecznie i oficjalnie – w każdym absolutnie wymiarze prawdziwie dorosłym człowiekiem. Tyle że czasem zapominam o tym i wydaje mi się, że nadal mam dwadzieścia dwa lata. Rozumiesz, o czym mówię? – pyta. Niby jak miałabym to rozumieć? Przecież to niemożliwe. Dwadzieścia dwa lata to dla mnie podeszły wiek. Mam nadzieję, że zdaje sobie z tego sprawę.

– Jeśli to ci pomoże ogarnąć sytuację, to wiedz, że ja nie mam żadnych wątpliwości co do twojego wieku. W moich oczach jesteś od bardzo, bardzo dawna dorosłym człowiekiem.

– No tak. Ty już jesteś prawie dorosła, a przecież ja jestem twoim o j c e m. Ale, cholera, nie wiem. Nie wiem, czy nadaję się do dorosłego życia. – Głos taty nagle zaczyna drżeć. Po śmierci mamy nigdy nie widziałam, żeby płakał, ani razu, ale w ciągu pierwszych kilku miesięcy miał nieustannie przekrwione oczy, jak gdyby właśnie skończył szlochać w ustronnym miejscu.

Milczę, ponieważ nie wiem, co powiedzieć. Nie ma tu mamy, żeby nam pomogła.

Ja też nie nadaję się do tego życia.

– Żałuję, że kiedy byłem mały, nikt mi nie powiedział: „To są dobre czasy. Jesteś młody i wszystko jest proste. Ale kiedyś życie strzeli ci prosto w twarz albo w dupę, zależy jaką metaforę wolisz – mama z pewnością podesunęłaby nam jakąś stosowną – więc baw się dobrze, póki możesz”. Gdy zacząłem

pracę, miewałem koszmary. Śniło mi się, że wydałem pacjentom niewłaściwe leki. Że pani Jallorari sprzedałem valium, a nie jej lek nasercowy. Albo że dzieciakowi Zackowitze'ów przepisałem niewłaściwe dawkowanie litu. Jednak to, co między twoją mamą i mną... to akurat zawsze było łatwe.

Wyczuwam, że zaczynają mu się trząść ramiona, więc wbijam wzrok przed siebie. Jeśli zamierza się rozplakać, jeśli wybierze a k u r a t t e n moment, żeby się rozkleić, po tym wszystkim, po samodzielnym podjęciu wszystkich decyzji – o sprzedaży domu, ponownym małżeństwie, przeprowadzce – bez dopuszczenia mnie do głosu, bez jakiegokolwiek mojego udziału – nie będę na niego patrzeć. Jest mi przykro, ale nie jestem w stanie mu tego dać.

– Pewna mądra osoba w naszej rodzinie mawiała zwykle, że to, co cię nie zabije, wzmocni cię – mówię, bo na tyle mnie stać. Na pusty frazes.

Nie potrafię wypowiedzieć słowa „mama”.

– Wiem, to niesprawiedliwe, że t y masz pocieszać m n i e – odzywa się. Wpatruje się we wzgórza i sąsiednie domy, dopiero po chwili przenosi wzrok na mnie. – Zdaję sobie sprawę, że to ty jesteś tu dzieckiem.

– A jestem? – pytam. – Nie zauważyłam.

Zwija dłonie w pięści i wbija je sobie w oczy, raz, drugi, trzeci, a potem opuszcza je, jakby postanowił, że dość uzalania się nad sobą.

– Jesteś taka jak mama. Dojrzała dusza. Kiedy byłaś malutka i jeszcze leżałaś w łóżeczku, popatrzyłaś na mnie nagle, a ja pomyślałem wtedy: „Jezu, ten dzieciak przejrzał mnie na wylot”.

Spoglądam na niego. To nieprawda. Nie przejrzałam go na wylot. Jest bardziej skomplikowany, niż byłby skłonny przypuszczać.

I widziałam, jak zamawia caberneta do steku. I to nie raz. Bez problemu.

– Tato? – Na końcu języka mam pytanie: „Wyjeżdżamy stąd?”. Ignoruję je jednak. – A nic, nieważne.

– Czyli uważasz, że czterdzieści cztery lata to starość? – Twarz mu się rozpromienia. Otrząsnął się już z tego, co nim przed chwilą zawładnęło.

– Zgrzybiała – odpowiadam.

– W takim razie muszę poprosić Glorię, żeby dodała pieluchomajtki do listy zakupów. – To głupi żart, ale śmieję się, bo mogę. Tyle mogę mu od siebie dać.

ajnie. Obiecuję.

– Świetnie. Postaram się przyjść w takim razie.

ROZDZIAŁ 17

Ktoś/Nikt: trzy rzeczy: 1. zanim zacznę czytać książkę, zerkam na zakończenie. to samo robię z końcową sceną w filmie. 2. moja mama ma całą aptekę w szafce łazienkowej. xanax. vicodin. percocet. same dobre rzeczy. i ona je zażywa. ciągle. to chyba problem. 3. masz piękne dłonie.

Ja: Może nie po kolei, ale... 1. Mam dłonie mojej mamy. Grała na pianinie, ja zrezygnowałam po dwóch lekcjach, chociaż powinnam była wytrwać. Czasami słucham jej ulubionych kawałków i udaję przed sobą, że to ona gra. O Boże, nie wierzę, że Ci to powiedziałam. 2. Kiedy zacznę czytać książkę, muszę ją skończyć, ale nigdy, przenigdy, nie zaglądam na koniec. Nienawidzę znać zakończenia. 3. Co powiesz na taką ironię losu? Mój tata jest farmaceutą. Poważnie. Znam te leki. Przykro mi z powodu Twojej mamy.

– Cześć, suche kłacze – mówi Ethan, kiedy spotykamy się w bibliotece. Ta sama koszulka co zwykle, ten sam fotel w Cafejce Cawowej, a teraz ten sam stolik co ostatnio. Ten chłopak lubi rutynę.

– Poważnie? Tak będziesz mnie teraz nazywał? – pytam, ale się uśmiecham. Podoba mi się ta poufałość. To, że w ogóle wymyślił dla mnie przydomek. – Ostatnio twierdziłeś, że to niezły epitet.

– Zmieniłem zdanie – odpowiada i zaczyna się pakować. Najwidoczniej znów się przejdziemy. To mnie cieszy, zdecydowanie łatwiej mi się z nim rozmawia, kiedy nie muszę patrzeć mu w oczy. Dzisiaj wygląda inaczej, jest pobudzony. – A może Kłaczydło? Kłaczka? Nie?

– Wypałeś się chyba dzisiaj, co? – pytam.

Spogląda na mnie przestraszony.

– Słucham? – Przechesuje palcami włosy, nadając im wygląd idealnie potarganych. Chciałabym mu je zwichrzyć, tak jak zrobiła to Gem. Mają taki ciemny kolor, wyglądają, jakby krwawiły.

– Nie wiem. Po prostu zwykle wydajesz się zmęczony. Dzisiaj jesteś bardziej pobudzony.

– To aż tak rzuca się w oczy? – Trąca mnie ramieniem.

– Szczerze? Jesteś jak doktor Jekyll i pan Hyde. – Uśmiecham się szeroko, by wiedział, że żartuję.

– Sześć godzin bez przerwy – oświadcza z dumą, jakby właśnie zdobył jakąś nagrodę. – Mam problemy ze snem. *Czytam nocami, w zimie jadę na południe.*

– Słucham?

– Sorry. To cytat z *Ziemi jałowej*. Rzeczywiście nocą sporo czytam, ale zimą nigdzie się nie ruszam – tylko czasem nad Tahoe, żeby pojeździć na snowboardzie. Czytałaś to?

– *Ziemię jałową?* – Dlaczego nie mogę dotrzymać mu kroku? Jestem przecież inteligentna, a do tego sypiam co najmniej siedem i pół godziny na dobę. I czy mógłby znów dotknąć mojego ramienia?

– *Niezwykły przypadek doktora Jekylla i pana Hyde'a.*

– Nie.

– Powinnaś przeczytać. Całkiem ciekawa rzecz. O gościu z rozdwojeniem jaźni.

– Jestem pewna, że znalazłeś z nim wiele wspólnego.

– Bardzo śmieszne.

– A co powiesz na Kłaczusia? – pytam. Ta rozmowa przychodzi mi łatwiej, niż powinna.

– A więc niech będzie Kłaczus, Jessie – mówi i milknie na moment, a ja czekam na dalszy ciąg. –

Holmes – dopowiada.

Później zaglądamy do Starbucksa, ale nie tego z szalonym barmanem. Ethan kupuje mi latte waniliowe i macha ręką, kiedy chcę mu oddać pieniądze. Czy to znaczy, że jesteśmy na randce? Czy po prostu wszyscy już wiedzą, że jestem upośledzona finansowo, przynajmniej według standardów panujących w Wood Valley? Z drugiej strony – to tylko kawa, a Ethan wydaje się szarmanckim typem. Zna cytaty z poezji, przytrzymuje drzwi, a podczas naszej rozmowy ani razu nie wyjął komórki. Bądźmy jednak realistami: zapewne ma dziewczynę, kogoś o doświadczeniu seksualnym godnym paryżanki, otwartą, ciekawą i swobodną. Powinnam zapytać o to Dri, ale się wstydzę. To takie banalne, że podoba mi się akurat Ethan.

– Rozumiem, że w sobotę nie idziesz na imprezę do Gem – stwierdza i dmucha w swoją kawę. Nie jestem pewna, czy powinnam się obrazić, że z góry to założył: nie zbliżę się w sobotni wieczór do najbardziej lubianej dziewczyny wśród trzecio- i czwartoklasistów. I dlaczego w każdej rozmowie musi padać temat tych kretyńskich pseudobliźniaczek? To wprowadza mnie w zakłopotanie.

– Tak się składa, że chyba idę. – Wzruszam ramionami i próbuję oddać jak najlepiej nastawienie typu „pieprzyć je”. No i co z tego, że nie podoba im się mój laptop, moje dzinsy i w ogóle cała ja. Nie zmuszą mnie do tego, żebym siedziała w domu.

– Naprawdę? Super.

– Mój kolega gra ze swoim zespołem, więc... – Może trochę przeszarżowałam, nazywając Liama „kolegą”, ale nie chcę, by Ethan widział we mnie tylko ofiarę Gem. Grubą, żalostną laskę.

– Chodzi ci o Oville?

– Taaa.

– Kogo tam znasz? – Jego głos staje się niemal napastliwy, jakby oburzało go, że ktoś taki jak ja może znać członka zespołu. O co mu chodzi?

– Niejakiego Liama. Dlaczego pytasz?

– Ja też należę do Oville. – Oczywiście, że tak. Bo dlaczego by nie? Cholera jasna. Pewnie kumpluje się z Liamem, a teraz Liam dowie się, że się na niego powołuję, jakbyśmy byli przyjaciółmi. Dzięki Bogu, że nie wymówiłam nazwy „Oville”. Na samą myśl ogarnia mnie przerażenie.

– Poważnie? Ciągle zapominam, że ta szkoła jest taka mała. Wszyscy znają wszystkich i wszystko, tylko ja nie.

– Nie ma nic ciekawego w tym, że się wszystkich zna.

– Na czym grasz? – pytam.

– Na gitarze elektrycznej. I trochę śpiewam, ale to Liam jest naszym frontmanem.

– Jest dobry, więc myślę, że cały zespół też jest świetny.

– Słyszałaś go? – Znów ten sam ton. Tak trudno mu uwierzyć, że mogę znać kogoś takiego jak Liam?

– Taaa. Ale tylko jak ćwiczył.

– Liam gra okej

– A ty? – pytam, żeby złagodzić nastrój, bo atmosfera nagle zgęstniała. Z tym facetem to ciągle dwa kroki do przodu, jeden do tyłu.

– Nie jestem taki najgorszy – odpowiada, a na jego twarzy znowu zakwita ten uśmiech. Taki jasny i piękny – człowiek ma wrażenie, jakby wpatrywał się prosto w słońce.



Oto co znajduję w kuchni pod kopulastą przykrywką: miso z dorsza, fikuśną sałatkę z niedojrzałych strąków soi i kandyzowanych orzechów włoskich oraz kleisty ryż kokosowy. Gloria zna się na kuchni

japońskiej? Jaka szkoda, że nie lubię robić zdjęć jedzenia, bo to, co przygotowała, zasługuje na fotkę na Instagramie. W domu panuje ciemność, ale Theo siedzi w kuchni i sączy czerwone wino, jakby miał czterdzieści lat i ciężki dzień w pracy za sobą. A przecież jeszcze trzy lata temu nosił aparat na zębach – widziałam zdjęcia.

– Rezultat? Nie rozmawiają ze sobą. Nadal są małżeństwem – mówi i bez pytania nalewa mi wino. Upijam łyk i oddycham przez nos, jak uczyła mnie Scarlett. Niezłe.

– Gdzie są? – pytam.

– Skąd mam wiedzieć? Na terapii małżeńskiej? Kolacji biznesowej? Moja mama nigdy tak często nie wychodziła.

– Mój tata też nie.

– Oboje to idioci.

– Przestań.

– Kiedy to prawda. Sądzi, że uda im się wprowadzić komendę „Wklej zastępstwo” i zapomnieć o tym, że osoba, którą kochali, niedawno zmarła. To nawet ja jestem emocjonalnie dojrzały.

Upijam kolejny łyk wina. Theo ma rację.

– Co teraz będzie? – pytam. Po dwóch łykach czuję mrowienie w rękach – to znak, że alkohol rozpoczął wędrówkę po moim organizmie.

– Nie mam pojęcia. Ale niepotrzebny mi cały ten gówniany rozwój sytuacji. Jakby trzecia klasa nie była wystarczająco stresująca!

– A czym ty się martwisz? Z każdego przedmiotu masz superoceny, przychodzą do ciebie korepetytorzy – zwróciłeś uwagę na liczbę mnogą? – a ja jestem pewna, że twoja mama ma znajomego znajomego w każdej komisji rekrutacyjnej. Twoje życie to bajka.

– Twój opis pasuje właściwie do każdego ucznia naszej szkoły. Jak myślisz, ile osób z Wood Valley dostaje się na Harvard? Powiem ci: pięć.

– Na Harvard? Poważnie?

– A co?

– Nic. Po prostu nigdy w życiu nie brałam Harvardu pod uwagę. I nie sądzę, żeby ktokolwiek z mojej poprzedniej szkoły w całej jej historii dostał się na Harvard. Nawet najlepsi. – Nie wspominam, że w Chicago miałam pierwszą albo drugą średnią w klasie, ale wystarczyło, że przeniosłam się do Wood Valley, a od razu spadłam w rankingu. Najwidoczniej u nas był gorszy poziom. Kolejne gówno wynikające z przeprowadzki.

– Dziękuję ci bardzo za tę życiową lekcję – mówi Theo i przez chwilę wydaje się zły, jakby zaraz miał dostać tego swojego ataku wściekłości, ale jego złość szybko mija i jedynie wzdycha ciężko.

– Chciałam tylko powiedzieć, że niedostanie się na Harvard to nie koniec świata – wyjaśniam, jakbym się na tym znała. – I tak przyjmą cię na jakąś dobrą uczelnię.

Dochodzę do wniosku, że lubię wino. Czuję się po nim łagodna, bardziej nieobliczalna, słowa łatwiej płyną z moich ust. Łatwiej mi być mną.

– Mój tata studiował na Harvardzie. – Theo zagrywa kartą zmarłego ojca, jakby to miało budzić czyjeś współczucie. Wybucham śmiechem, nic na to nie poradzę. To zabawne.

– Co? Dlaczego się śmiejesz?

– Bo twój tata studiował na Harvardzie.

– I co w tym zabawnego?

– To twój cholerny spadek!

Theo patrzy na mnie przez chwilę, po czym sam zaczyna się śmiać.

– Masz rację. I jego ojciec też tam studiował. Moje życie to bajka. No wiesz, nie licząc tego, że straciłem ojca i jestem gejem. Reszta to marzenie. Wygrałaś.

– Mam pomysł: powinieneś założyć kanał na YouTube, w którym będziesz jęczał do kamery: Buuu, umarł mi tata. Buuu, jestem gejem.

Theo się uśmiecha.

– Już założyłem. Wyślę ci link. – Stuka kieliszkiem w mój. – Wiesz co? Możesz przychodzić na moje korki.

– Naprawdę?

– Nie ekscytuj się tak. Tylko w poniedziałki. W czwartki nie. To w czwartki dzieje się cała magia.

– mówi Ethan. Upija łyk kawy, potem drugi. Zamyśla się. Łagodnieje. – Nie, masz rację. Jest dobry.

ROZDZIAŁ 18

Ja: Trzy rzeczy: 1. Nie chcę ci niczego obrzydzać, ale mam superdługie palce u stóp. Wyglądają dziwnie. 2. Kiedy się nad sobą użalam, piszę kiepskie wiersze. 3. Nie cierpię kreskówek, nawet tych ze strony Adult Swim.

Ktoś/Nikt: 1. moim ulubionym dniem tygodnia jest środa. lubię ją za jej środkowość. 2. mogę się założyć o sto dolarów, że masz śliczne palce u stóp. 3. w gimnazjum przeszedłem przez fazę malowania paznokci na czarno. poważnie. sądziłem, że to TAKIE CZADOWE.

Ja: Idziesz dzisiaj na imprezę?

Ktoś/Nikt: nie rób tego.

Ja: Czego?

Ktoś/Nikt: nie próbuj odgadywać, kim jestem. proszę. nie rób tego.

Ja: Nie rozumiem dlaczego.

Ktoś/Nikt: po prostu mi zaufaj, dobrze?

• • •

Ja: BAW SIĘ DOBRZE NA BALU! Wyglądasz bosko.

Scarlett: Dziękuję. Sama muszę przyznać, że to jedno z moich lepszych selfie.

Ja: Nie rób niczego, czego ja bym nie zrobiła. Albo nie, cofam to. BAW SIĘ SUPER.

Scarlett: Mam zamiar...

Scarlett: Zauważyłaś elipsę? To celowy zabieg.

Ja: Zauważyłam elipsę.

Scarlett: To dobrze. Tylko się upewniam.

Agnes nakłada mi makijaż przy użyciu co najmniej piętnastu różnych pędzelków, a potem odsuwa mi włosy z twarzy i podaje lusterko.

– Voilà! – mówi, jakby właśnie skończyła charakteryzację prezenterów przed programem porannym. Podnoszę wzrok i uśmiecham się do swojego odbicia.

– Łał – mówi Dri i klaszcze z ekscytacji. – Wyglądasz re-we-la-cyj-nie.

– Dziękuję, moja dhoga – odpowiadam. Ustawiamy się do wspólnego selfie, skoro każda z nas wygląda tak zajebiście, i w końcu wszystkie akceptujemy trzecią fotkę, więc Agnes wrzuca ją

na Instagram i otagowuje.

Dri zgodziła się być naszym kierowcą, ponieważ alkohol nasila u niej objawy zespołu jelita drażliwego. Dowiaduję się tym samym, że Dri cierpi na szereg schorzeń, które nazywa chorobami kujonów: zespół jelita drażliwego, astmę, zespół cieśni nadgarstka, krótkowzroczność. Ładujemy się do samochodu jej mamy i włączamy muzykę. Czuję się jak typowa nastolatka jadąca na typową imprezę w typowy sobotni wieczór. Być może chociaż na chwilę zdjęłam z ramion swój tajemny plecak z żałobą i zostawiłam go w domu.

Gem mieszka w rezydencji. Na wzgórzu. Za okazałą bramą. Ukrytą za żywopłotem o trzymetrowej wysokości. Musimy obejść cały dom, żeby dotrzeć do ogrodu, w którym ludzie siedzą na tapicerowanych sofach rozstawionych wokół basenu bez widocznej krawędzi. Murowany kącik do grilla został przerobiony na wyszukany bar, na trawniku rozstawiono prawdziwą scenę z profesjonalnym sprzętem muzycznym. Stwierdzam, że Gem i Crystal nawet nie zauważą mojej obecności, i od razu czuję ulgę.

– Napijemy się czegoś? – pyta Agnes i nie czekając na odpowiedź, chwyta mnie za nadgarstek, a ja łapię Dri i idziemy do baru. Pełno w nim butelek, zapewne wykradzionych z zapasów rodziców uczestników imprezy.

– Przedstawisz mnie Liamowi, co? – upewnia się Dri.

– Jasne. To znaczy... nie znam go aż tak dobrze, ale jak już się pojawi...

Chwilę później, trzymając w rękach przygotowane przez Agnes drinki, czerwone i całkiem mocne, zaczynamy krążyć dookoła. Jak dobrze, że pozwoliłam dziewczynom wybrać sobie strój. Mam krótką czarną sukienkę z ubiegłorocznego balu i sandały, a do tego biżuterię od Dri.

Czyjeś dłonie zasłaniają mi oczy, z trudem powstrzymuję krzyk.

– Zgadnij: kto to?

– Hej – odpowiadam, wydostaję się spod przytrzymujących mnie rąk, obracam się i staję twarzą w twarz z... Liamem. Czyżbym miała nadzieję, że to Ethan? Może trochę. Liam całuje mnie w policzek, co jest dziwne, ponieważ w sklepie tak się nie witamy.

– Haj – dorzucam.

„Hej-haj. Tylko na tyle cię stać, Jessie?”

– Hej – odpowiada Liam. Mówi chrapliwie, powoli. Upił się, ale nie wiem, jak bardzo. Nie chwieje się, jednak opiera ręce na moich ramionach. Ma palce, które określałyśmy ze Scarlett mianem penisowatych. Dri powiedziałyby, że są męskie.

– Bardzo się cieszę się, że przyszałaś. Za chwilę wchodzimy.

– Super – odpowiadam i zauważam stojącą obok Dri. – Liam, poznałeś moją koleżankę, Dri? Jest świetna. Macie po prostu identyczny gust muzyczny.

– Hello – mówi i uchyla rąbek niewidzialnego kapelusza. Taaa, musi być bardzo wstawiony. Nie należy do gości, którzy wykonują takie gesty. Dri zamiera, ponieważ właśnie odezwał się do niej Liam Sandler, i chociaż jestem pewna, że fantazjowała o tej chwili niezliczone razy, to zupełnie inna sprawa, kiedy m

– Cześć – mówi Dri. – Oville to... To znaczy jesteście naprawdę – i mam na myśli n a p r a w d ę – dobrzy.

– Naszym celem jest sprawianie przyjemności innym – odpowiada, nieco arogancko. Może jednak nie różni się od innych chłopaków z czwartych klas.

Ktoś gwizdże w oddali.

– To sygnał dla mnie, moje panie. To na razie, Jessie!

Liam rusza w stronę sceny, a kiedy znikają z pola słyszenia, Dri chwyta mnie za rękę.

– To naprawdę miało miejsce? O Boże, Boże, Boże.

– On jest pijany.

– Co ty nie powiesz! – rzuca Agnes i spogląda na mnie wymownie ponad głową Dri, chociaż nie jestem pewna, co chce mi przekazać.

– Chodźmy bliżej sceny. – Dri prowadzi, trzymamy się za ręce i przeciskamy przez tłum, żeby znaleźć lepsze miejsce.

– Co? – pytam szeptem Agnes.

– Nic – mówi, ale to jedno z tych „nic”, które c o ś znaczą.

Przebijamy się na przód, a wtedy przed sobą widzimy scenę, a na niej cały zespół. To oznacza, że widzimy też Ethana, i aż mnie ściska w żołądku. Przez klatkę piersiową ma przewieszoną niebieską gitarę elektryczną, jego włosy wydają się w większym nieładzie niż zwykle – przypomina prawdziwą gwiazdę rocka, mimo logo Batmana na środku koszulki. Sprawia wrażenie, jakby był stworzony do grania i do słuchania pisków takich żalosnych dziewczyn jak ja. Nasz wzrok spotyka się na sekundę, drugą, trzecią. Odwracam głowę, bo – cholera jasna – nagle przestało mi być zimno.

Mam ochotę się obejrzeć. Niczego bardziej nie pragnę, jak się obejrzeć i sprawić, żeby i on na mnie popatrzył, ale wiem, że ma teraz ważniejsze sprawy na głowie: grę na gitarze i wymianę gorących spojrzeń z innymi dziewczynami. Nie mogę mu tego odbierać.

– Boscy są, nie? – pyta Dri, chociaż nawet nie zaczęli grać.

– Wyglądają na prawdziwy zespół – odpowiadam, co jest meganiedopowiedzeniem. – Wcale nie wyglądają jak prawdziwy zespół, ale jak bogowie rocka. – To znaczy... nie jak ekipa licealistów.

– No wiem. Myśleliśmy, że w zeszłym roku zespół się rozwiąże po tym, jak zmarł Xander, ale Liam do nich dołączył, zajął jego miejsce i... – Dri przerywa, bo rozbrzmiewają pierwsze takty, a ja tracę okazję wypytania ją o szczegóły. Kim był Xander? To ten chłopak, o którym mówił Theo, co przedawkował heroinę? A może zupełnie źle oceniałam Liama i Ethana? Może prowadzą życie celebrytów, igły w żyłę i skąpo ubrane laski robiące im loda po powrocie z występów? Czy to dlatego Ethan wydaje się wiecznie wykończony? Bo za dużo imprezuje?

Zaczynają od szybkiego kawałka, ludzie znają słowa i tańczą, wyrzucając ręce w górę. Liam wyśpiewuje, co mu leży na sercu: *We tried, I cried, you hide, and then we do it all over. Do it all over. We tried, I cried, you hide, and then we do it all over*^[12].

Może to i proste słowa, ale zanim się zorientuję, też tańczę, prawdziwie urzeczona. Może to przez alkohol – n a p e w n o przez alkohol – ale wbijam wzrok w Ethana. Nieważne, czy to zauważy i pomyśli, że jestem szaloną wielbicielką. W końcu stoi na scenie i prosi się o to, by na niego patrzeć. Przez ułamek sekundy wyczuwam na sobie jego spojrzenie – mogę przysiąc, aż dreszcz przechodzi mi po plecach – ale potem znów spogląda na tłum, a ja myślę, że tylko mi się wydawało.

– Nazywamy się Oville i zaraz do was wracamy – oznajmia Liam, po czym zeskakuje ze sceny przy wtórze ogłuszających braw i pisków. Odwracam się do Dri i chwytam ją za ramiona.

– Miałaś absolutną rację – stwierdzam. – Po prostu boscy!

– A nie mówiłam?

– Ty też? – Agnes przewraca oczami, nie przerywając tańca.

– Ale nie w kwestii Liama – odpowiadam. – Tylko...

– Co nie w kwestii Liama? – Słyszę głos samego zainteresowanego, który znowu pojawia się obok mnie, błyszczący od potu i wyraźnie zadowolony. Jak dobrze, że nie dokończyłam zdania. Jeszcze mi trzeba, by Ethan dowiedział się od Liama, że mam na jego punkcie idiotycznego hopla.

– Nic. Byliście świetni. Poważnie – odpowiadam i trącam Dri, żeby włączyła się do rozmowy. Zanim ta jednak zdoła powiedzieć choćby słowo, podbiega Gem, rzuca się Liamowi w ramiona i obejmuje go w pasie. Całuje go tak, że wszystkie widzimy jej język.

– Łał. A to za co? – Liam powoli odsuwa Gem od siebie. Już nie wydaje się pijany. Może spalił wszystko podczas występu.

– Misiaczku, byliście po prostu zajebisti – mówi Gem i chwyta go pod rękę, jakbyśmy potrzebowały kolejnego dowodu na to, że jest jego dziewczyną. „Rozumiemy. Bzyka się z tobą”.

– Dzięki. Słuchaj, znasz Jessie? Pamiętasz, opowiadałem ci o niej. Pracuje w „Book Out Below!”.

Gem odwraca się do mnie z uśmiechem tak szczerym, że moją pierwszą myślą – nie licząc obrzydzenia – jest: ona kiedyś będzie sławna. Ta dziewczyna potrafi grać. Oczywiście Liam lubi Gem, bo nigdy nie poznał jej prawdziwej wersji. Jestem ciekawa, co by powiedział, gdyby zdawał sobie sprawę, że ona codziennie ze mnie szydzi.

– Jesteś nowa, prawda? Czy nie chodzimy razem na angielski? – pyta. Czysta niewinność. Wzruszam ramionami, nie jestem w stanie zmusić się do odpowiedzi. Agnes wpycha mi do ręki kolejnego drinka i chociaż wcale tego nie potrzebuję, pochłaniam go jednym haustem.

– Liam, podobał mi się ten nowy riff, który dodałeś do kawałka *Before I Go*. Świetnie pasuje – mówi Dri, a ja jestem tak wdzięczna za to, że włączyła się nagle do rozmowy, że aż mam ochotę się rozpłakać.

– Tak myślisz? Ethan uważa, że jest zbyt efekciarski – mówi Liam.

– Nie, skąd. Tam potrzebna była pauza. Za dużo napięcia.

– Dokładnie to samo powiedziałem.

– Dzióbku, musimy iść. Crystal na nas czeka – mówi Gem i ciągnie Liama, jakby ten był podekscytowanym psiakiem wachającym coś obrzydliwego.

– Zaraz do was dołączę.

– No chodź. Chciałabym, żebyś mi zrobił tego swojego wyjątkowego drinka z wódki i red bulla. – Gem mówi to takim tonem, jakby właśnie wystosowywała zaproszenie, by ją polizał, a nie nalał alkoholu. Jak ona to robi? Te wypowiedzi podszyte aluzjami. Czy jestem w stanie się czegoś takiego nauczyć, czy to wrodzony talent, bonus w jej już i tak przepełnionym genetycznym skarbcu?

– Faktycznie, robię zajebiste koktajle. Pogadamy później, okej? – Liam uśmiecha się do nas tak szeroko, że Dri może tym samym wykreślić ze swojej listy życzeń „Zobaczyć uśmiech Liama Sandlera skierowany do mojej osoby”.

Ktoś/Nikt: wyglądasz ślicznie.

Ja: Jesteś tu? Gdzie?

Nie biorę tego komplementu do serca, ponieważ tak łatwo skłamać. Może Agnes ma rację: pisanie różni się jednak od wypowiedzianych na głos słów. Mama powtarzała mi, że jestem śliczna, ale zawsze wyczuwałam, że mówi z pozycji osoby, którą zdradziło własne ciało, może także w ramach przekazu społecznego, by podbudować moją pewność siebie. Z kolei mama Scarlett zawsze twierdziła, że jej córka wyglądałaby obłądnie, gdyby tylko zgubiła jakieś pięć kilogramów. To było okrutne, ale

jednocześnie bardzo konkretne – jakby uważała, że Scarlett zasługuje na szczerą ocenę.

Rozglądam się. Wysoki przystojniak w okularach i szarej koszulce stoi w rogu i gapi się w swoją komórkę. Potrzeba chwili, żebym go przypisała do odpowiedniego miejsca na osi czasu. To pierwsza osoba, którą zobaczyłam w szkole Wood Valley: gość od Kilimandżaro. Ten sam, który w wakacje zdobywał szczyty i budował szkołę w Tanzanii. Wątpię, żeby to on był Ktosiem/Niktem. Wyobrażam sobie bowiem K/N jako domatora i nie podejrzewam o spędzanie wakacji na górskich wędrówkach – ale warto przyjrzeć się temu bliżej.

– Kto to? – pytam Dri, pokazując na niego palcem.

– Caleb. W zeszłym roku Agnes była z nim na szkolnym balu. Ale tylko jako koleżanka. Jest spoko. Czemu pytasz?

– Próbuję rozgryźć, kim jest Ktoś/Nikt – mówię. Dri wskazuje na jedno z krzeseł, żeby lepiej widzieć całą imprezę. Ściągam ją na ziemię. Wolę, żeby K/N – kimkolwiek jest – nie zobaczył, jak Dri próbuje go wyłowić w tłumie. O Dri można powiedzieć wiele cudownych rzeczy, jednak subtelność z pewnością do nich nie należy.

– Powiedziałaabym, że trzy czwarte facetów obecnych na imprezie w tej chwili do kogoś pisze na komórce – zdaje mi relację. – Ale w sumie to mógłby być Caleb. Jest trochę dziwny.

– Ktoś/Nikt nie jest wcale dziwny – protestuję.

– Jasne – odpowiada. – Codzienne anonimowe maile i czat wcale nie mają w sobie nic dziwnego.

Ktoś/Nikt: sprytne podejście. doskonale potrafię ukrywać się na pierwszym planie. jestem mistrzem kamuflażu.

Ja: Świetnie. Dobrze się bawisz?

Ktoś/Nikt: trochę się nudzę, dlatego do Ciebie piszę.

Ja: Mógłbyś ze mną porozmawiać. No wiesz, TWARZĄ W TWARZ.

Ktoś/Nikt: kiedyś. nie dzisiaj.

Ja: W Chicago nie było takich imprez. Z prawdziwymi zespołami.

Ktoś/Nikt: podobał Ci się Oville?

Ja: Są boscy.

Ktoś/Nikt: ech. kiedyś byli lepsi.

Ja: Chyba się trochę upiłam.

Ktoś/Nikt: ja też.

Ja: W takim razie się spotkajmy. No dalej, co może się stać? Przecież nawet nie musisz ze mną rozmawiać...

Ktoś/Nikt: co chcesz przez to powiedzieć?

Ja: Nie wiem. Ostrzegałam, że jestem pijana.

Ktoś/Nikt: stara dobra wymówka.

Ja: To nie wymówka. Wyjaśnienie.

Ktoś/Nikt: uwielbiam to, jak precyzyjnie dobierasz słowa.

Ja: Nie rozumiem. O co w tym chodzi?

Ktoś/Nikt: ?

Ja: W tych unikach. Wstydzisz się, że ktoś Cię może ze mną zobaczyć? Boisz się, że Cię nie polubię? Nie łapię tego.

Ktoś/Nikt: żadne z wymienionych. po prostu podoba mi się tak, jak jest, to całe pisanie. jestem zbyt pijany, żeby to wyjaśnić.

Ja: Stara dobra wymówka.

Ktoś/Nikt: przysięgam, że się spotkamy twarzą w twarz. wkrótce.

Ja: Ciągłe to powtarzasz.

Ktoś/Nikt: wiesz, co sobie czasami myślę?

Ja: Co?

Ktoś/Nikt: kojarzysz ten kosmyk, który zawsze wpada Ci do oka? – taka nie do końca grzywka? chciałbym móc wsunąć Ci ten kosmyk za ucho. chciałbym móc to zrobić. chcę się z tobą spotkać, kiedy będę się czuł na tyle swobodnie, żeby to zrobić.

Ja: Dziwny jesteś.

Ktoś/Nikt: nie Ty pierwsza mi to mówisz.

Ja: A będę pierwsza, jeśli powiem, że mi się to w Tobie podoba?

Zerkam ponownie na Caleba i próbuję wyobrazić sobie słowa Ktosia/Nikta wychodzące z jego ust, staram się zobaczyć, jak wykonuje romantyczny gest upchnięcia mi włosów za uchem, co wymaga pewnej zażyłości. Nie, to zupełnie nie działa. Zamiast tego widzę Caleba jako prezesa organizacji studenckiej, gościa, który nie przestrzega ślubowania, bo ma ochotę na piwo. Uważam, że Ktoś/Nikt raczej nie jest chłopakiem z Kilimandżaro. Kim w takim razie jest?

– Upiłam się – oznajmiam Dri i Agnes.

– Już nam to mówiłaś – zauważa Dri. – Chyba z milion razy.

– Sorry. Najwidoczniej jestem typem pijanej osoby, która lubi informować innych o swoim stanie.

– Urocze – komentuje Agnes na swój typowo sarkastyczny sposób. – Ja też jestem lekko wstawiona, ale się tak nie chwieję.

– Wcale się nie chwieję – odpowiadam i opuszczam wzrok. A może jednak?

Wszystko wydaje się tkwić na swoim miejscu, nie licząc mojego umysłu, który wiruje pod czaszką. Wcześniej zdarzało mi się upijać, zwykle tylko w towarzystwie Scarlett. Jak rozumiem, moja tolerancja

alkoholowa kończy się na dwóch specjalnych drinkach Agnes.

– Obie się kołyszecie – mówi Dri i zarzuca nam ręce na ramiona, za co jestem jej wdzięczna, bo to pomaga mi utrzymać równowagę.

– Myślicie, że można się podkochać w dwóch osobach jednocześnie? – zadaję jedno z tych zawstydzających pytań, których w życiu nie zadałabym na trzeźwo. Może jednak powinnam rzucić alkohol?

– Pewnie, że tak. Mnie się zwykle podoba około pięciu facetów naraz – mówi Agnes. – Lubię różnorodność. I zwiększam swoje szanse.

– To kto ci się podoba? Nie licząc Ktosia/Nikta, rzecz jasna. Kto jeszcze? Tylko błagam, nie mów, że Liam!

Już mam powiedzieć to na głos, wymówić imię „Ethan”, i wreszcie wszystko z siebie wyrzucić. W końcu dobrze wiem, że Dri nie oszczędziłaby żadnych szczegółów: opowiedziałaby mi historię jego życia, to, jaki był w pierwszej klasie gimnazjum, czy ma dziewczynę i czy jest wart zachodu. Może nawet znalazłaby sposób, żeby podejść i pogadać. Do tej pory nasz kontakt tutaj ograniczał się do „cześć” rzuconego, gdy mijał mnie po koncercie. Nie było to niegrzeczne ani nieprzyjazne, nie stanowiło też zaproszenia do pogawędki. Ot, typowe dla niego introwertyczne przywitanie, które serwuje wszystkim. Śądziłam, że ten etap powoli będziemy mieli za sobą. Najwidoczniej się myliłam.

Kiedy słowo „Ethan” – tak na marginesie, ślicznie brzmi, prawda? – już ma wyjść z moich ust, na horyzoncie pojawia się Gem i zmierza prosto do mnie.

– Trzymaj się z dala od mojego chłopaka, ty zdiro! – mówi, stając ze mną twarzą w twarz, czy raczej głową w twarz – uświadamiam sobie, że wcześniej nigdy nie miałam okazji stosować tego określenia.

– Eeee... – zaczynam. Żałuję, że wypięłam te dwa drinki, bo mam problemy ze zrozumieniem, o co chodzi. Dlaczego Gem na mnie wrzeszczy? Już się przyzwyczaiłam do jej bierno-agresywnych komentarzy rzuconych pod nosem, mogę przynajmniej udawać, że nie słyszałam. Ale nie da się tego zrobić, kiedy krzyczy mi prosto w nos. No i ta „zdzira”. Naprawdę? – Co?

Mam ochotę zetrzeć z twarzy jej oddech, ohydny mieszanek cebuli i alkoholu. Chciałabym znaleźć się daleko stąd, najlepiej w łóżku. Kalifornia jest taka męcząca.

– Trzymaj. Się. Z. Dala. Od. Liama – cedzi, a potem zarzuca włosy na plecy, niczym bohaterka filmu o wrednej dziewczynie, i odmaszerowuje. Cofam moje słowa. Wcale nie jest dobrą aktorką. Gra zbyt przesadnie.

Rozglądam się, żeby sprawdzić, czy ktoś jeszcze był świadkiem tego, co się wydarzyło, ale jesteśmy tylko ja, Dri i Agnes. Nasze małe kółko w przepastnym ogrodzie.

– Ja pierdzielę, to naprawdę miało miejsce? – pyta Agnes i zaczyna się śmiać.

– Nie ma w tym nic zabawnego – odpowiadam, chociaż wolałabym, żeby było. – Co, do diabła?

– Gem dostaje na głowę, odkąd jej ojciec został aresztowany w zeszłym roku. Wszystkie rynsztokowe gazety o tym pisały – wyjaśnia Agnes. – No wiesz, wcześniej też nie była miła, ale po tym stała się wybitnie wredną suką. Podobno jej ojcu grozi więzienie.

– Za co? – pytam, chociaż wcale mnie to nie obchodzi. Nienawidzę jej. I żadna żałosna historia pseudohollywoodzka nie zmieni mojego nastawienia. Nie wzbudzi mojego współczucia.

– Zadawał się z prostytutką – wyjaśnia Dri. – I w grę wchodzi jeszcze jakieś oszustwa podatkowe.

– Poważnie? – pytam.

– Podobno – mówi Agnes.

– Powiedz mi tylko jedno – odzywa się Dri, a ja słyszę błaganie w jej głosie. – Czy wcześniej miałas zamiar powiedzieć „Liam”?

– Nie no, co ty – mówię, ale nie wiem, czy mi wierzy.

Ja: Jestem UPITA.

Scarlett: Ja też.

Ja: Jak jest?

Scarlett: ZAJEBIŚCIE.

Ja: U mnie też.

Mimo pijackiego upojenia dobrze wiem, że nie napisałam prawdy. Ręce mi się trzęsą, zęby mi grzechoczą. Chcę wracać do domu. Nie, d o m u już nie ma. Obniżam wymagania. Chcę znaleźć się w łóżku.

Do końca imprezy tylko raz jeszcze widzę Ethana. Mijam go, idąc do wyjścia. Leży samotnie na jednym z leżaków. Jestem pewna, że śpi. „To dobrze” – myślę. „Sen jest mu potrzebny”. Muszę wykorzystać całą siłę woli, by się powstrzymać i nie odsunąć mu włosów z czoła.

arzenie spotyka się z rzeczywistością. Agnes trąca koleżankę łokciem, by wyrwać ją z zamroczenia.

ROZDZIAŁ 19

Ja: Trzy rzeczy: 1. Boli mnie głowa. 2. Cały pokój się kręci. 3. Już nigdy więcej nie będę piła.

Ktoś/Nikt: 1. zamierzam zmarnować większość dnia, grając na xboxie, z przerwą na pizzę, najchętniej z bakłazanem, za który zwykle dostaję opieprz. nic na to nie poradzę, nie lubię pepperoni i nigdy nie polubię. 2. dzisiaj wstałem wcześniej i przez cały ranek słuchałem Flume'a. 3. moja mama nadal śpi, jakby to ona była w tym domu nastolatkiem.

Ja: Jesteś Amerykaninem, prawda?

Ktoś/Nikt: taaa, dlaczego pytasz?

Ja: PEPPERONI! Nie lubić pepperoni to jak nie cierpieć szarlotki.

Ktoś/Nikt: czy ta analogia pojawi się na egzaminach próbnych?

Ja: Czyżbyś więc chodził do trzeciej klasy?

Ktoś/Nikt: wyluzuj, Nancy Drew^[13].

Ja: Dzisiaj odrabiam lekcje. Matma załazi mi za skórę.

Ktoś/Nikt: ale jaka piękna to skóra.

Ja: Przestań.

Ktoś/Nikt: czy to było traktowanie Cię przedmiotowo? sorry.

Ja: Wspominałam już, że jesteś dziwny?

Ktoś/Nikt: chyba sobie coś takiego przypominam.

Ja: Później idę do pracy. Ty też gdzieś pracujesz?

Ktoś/Nikt: nie. rodzice mi nie pozwalają. wolą dawać kieszonkowe, żebym skupiał się na nauce.

Ja: Jakie to woodvalleyowskie z ich strony. Cieszę się, że wspierają Twój nałóg gry na konsoli.

Ktoś/Nikt: wiem, że wydajemy Ci się idiotyczni, i całkiem się z Tobą zgadzam. gdzie pracujesz?

Ja: Nie jestem pewna, czy chcę Ci powiedzieć.

Ktoś/Nikt: ?

Ja: To podchodzi pod stalking.

Ktoś/Nikt: wczoraj błagałaś, żebyśmy się spotkali, a dzisiaj uważasz, że wyjawienie mi, gdzie pracujesz, podpada pod stalking?

Ja: Wcale nie błagałam.

Ktoś/Nikt: przepraszam. niewłaściwe słowo. prosiłaś.

Ja: Chyba tak.

Ktoś/Nikt: powiesz mi?

Ja: Może.

Ktoś/Nikt: ok, pozwól mi zgadnąć. 1. lubisz tę pracę? 2. wracasz do domu brudna?

Ja: 1. Tak się składa, że nawet bardzo. 2. NIE!

Ktoś/Nikt: kawiarnia?

Ja: Nie.

Ktoś/Nikt: Gap.

Ja: Wyśmiewasz się ze mnie?

Ktoś/Nikt: nie! skąd takie podejrzenie?

Ja: Nieważne.

Ktoś/Nikt: już wiem. wypadło mi na chwilę z głowy, że jesteś moim księżkowym. Barnes and Noble. zgadłem??? pewnie, że zgadłem.

Ja: Byłeś blisko. „Book Out Below!” Przy Ventura. Powinieneś kiedyś wpaść.

Ktoś/Nikt: jaka kapryśna natura. teraz chciałabyś, żebym przyszedł?

Ja: Może tak. A może nie.

• • •

Ja: A więc...

Scarlett: Skoro już musisz wiedzieć...

Ja: MUSZĘ. MUSZĘ!

Scarlett: Moja błona dziewicza pozostaje w nienaruszonym stanie.

Ja: Mogłaś mi to przedstawić w mniej obrazowy sposób.

Scarlett: Wiem, ale to już nie byłoby takie zabawne.

Ja: Mam kaca.

Scarlett: Ja też. I całą twarz podrapaną od brody Adama. Chyba musiał sporo ćwiczyć po tym, jak Cię cmoknął.

Ja: Dlaczego tak sądzisz?

Scarlett: Kobieto, TEN CHŁOPAK NAPRAWDĘ POTRAFI CAŁOWAĆ.

Wychodzę z pokoju. Tata jest na dole. Ma na sobie fartuch z napisem: „Jędza w kuchni”, który, jak sędzę, należy do Rachel, ale równie dobrze może być własnością Theo. W tle rozbrzmiewa muzyka, coś w stylu country, sentymentalna oda do pickupów i krótkich dżinsowych spodenek. Scarlett nazywa coś takiego MBL: Muzyką Białych Ludzi.

– Naleśniki, skarbie? – pyta tata z denerwującą poranną świeżością. Zupełnie nie pasuje do kuchni i nigdy nie smażył naleśników. To zadanie należało do mamy. Syrop klonowy i mąka na nieskazitelnie czystych marmurowych blatach. Czuję się tu jak u siebie w domu, na tyle swobodnie, żeby przejmować kontrolę nad kuchenką i serwować naleśniki? I w dodatku boso? Ja osobiście czuję się tu niezręcznie, nawet gdy korzystam z mikrofalówki. Nie chcę zostawiać śladów z miejsca zbrodni ani innych dowodów mojej egzystencji.

– Eee... – Czy uda mi się zjeść śniadanie i go nie zwymiotować? Nie mam jednak wyboru, jeszcze nigdy nie wzgardziłam węglowodanami, a wolałabym nie wzbudzać podejrzliwości taty. – Pewnie – mówię. Nie dodaję jednak: „Co się dzieje? Czy zostajemy? Jesteś nagle szczęśliwy czy to tylko gra pozorów?” – Przygotowałeś śniadanie? Chyba pierwszy raz w życiu.

– Gloria ma dzień wolny.

– Aha.

– Słuchaj, musimy porozmawiać – rzuca, a ja czuję, jak treść żołądka podchodzi mi do gardła. Najwidoczniej ta scena w kuchni to pożegnanie. Tata rozstaje się z Rachel i wyjeżdżamy z Los Angeles. Rozwiązują to, czego w ogóle nie powinni byli zawiązywać. Taki właśnie ma być cel tej szopki z naleśnikami: podlizać mi się przed zaserwowaniem tych niusów. Kładę głowę na zimnym blacie. Mam to w dupie. Kogo obchodzi, czy mój ojciec dowie się, że piłam? On jest winny czegoś znacznie gorszego. Ma szczęście, że nigdy nie znalazłam w sobie siły na prawdziwy nastoletni bunt. Powinnam dostać nagrodę za najlojalniejsze zachowanie roku. Złotą statuetkę za heroizm. Albo przynajmniej tabliczkę, którą mogłabym przywiesić na ścianie.

To śniadanie to najwidoczniej jego łabędzi śpiew przed wyjazdem. Nawet rozumiem to, że chciał wykorzystać swoją ostatnią szansę na użycie kitchenAida, wypasionych garów i organicznie wyciskanego oleju kokosowego. Powinnam popędzić teraz na górę i umyć ręce tym delikatnym mydełkiem z monogramem, do którego nadal przyklejona jest cena. Dowiedzieć się tym samym, co oznacza sto dolarów w świecie mydła.

– Proszę, zjedz. Ułoży ci się w żołądku. – Tata stawia przede mną talerz z idealnymi krążkami. Pachną zaskakująco, nie jak naleśniki, ale jak ich wyobrażenie. Pachnąca świeczkami zapachowymi wersja naleśników. – Powiedz mi tylko, że wczoraj nie usiadłaś za kierownicą.

– Oczywiście, że nie. Dri prowadziła.

– Dri?

– Mam znajomych. Nie bądź taki zdziwiony. Sądziłeś, że już nigdy nie zamienię z nikim słowa? – Nie wiem, dlaczego jestem nieprzyjemna, ale nic na to nie poradzę. Chociaż raz słowa wyprzedzają myśli, a nie odwrotnie.

– Nie, tylko... Cieszę się, wiem, że nie było ci łatwo.

Wybucham śmiechem. Chociaż właściwie to nie tyle śmiech, ile wredny rehot. Owszem, nie było. Już od dawna nic nie jest łatwe. Nawet wczorajszy wieczór, pierwsza od przyjazdu do LA próba dobrej zabawy, skończył się tym, że socjopatyczna blondynka nazwała mnie zdzirą.

– Pewnie na to zasłużyłem – mówi tata.

– I co teraz? Wyjeżdżamy?

– Co? Nie. Skąd ci to przyszło do głowy? – Jego zaskoczenie wydaje się autentyczne. Czyżby nie wiedział, że całe Los Angeles słyszało jego kłótnię z Rachel? Że właściwie przyznał, iż ta historia to wielki błąd? Nie wiem, czy zdaje sobie sprawę, że cały ostatni tydzień przygotowywałam się psychicznie na kolejną przeprowadzkę.

– Pokłóciłeś się z nią.

– Jess, to była tylko sprzeczka, a nie koniec świata.

– Ale ona powiedziała...

– Niekiedy zapominam, że jesteś tylko nastol

– Kto jak kto, ale ty nie powinieneś traktować mnie z góry – mówię. W moim głosie pojawia się ostry ton. Oczywiście to nieuczciwe z mojej strony: oskarżam go o to, że traktuje mnie protekcjonalnie, a sama zachowuję się jak typowa nastolatka. Jeden wielki foch.

Ale pieprzyć to. Naprawdę.

Pieprzyć. Ojca.

Wzdycha, jakbym to ja była niemożliwa, jakbym to ja postępowała nielogicznie.

– Przecież ona powiedziała: „Idź i nie wracaj”. Sama słyszałam.

– Przestań mówić „ona”. Ma na imię Rachel. A poza tym ludzie w nerwach plotą różne głupstwa.

– Ludzie robią też różne głupstwa, kiedy są w żałobie. Na przykład biorą ślub, przenoszą się na drugi koniec świata i mają w dupie własne dziecko.

– Przestań.

– Co mam przestać? – Teraz już krzyczę. Nie wiem, w którym momencie straciłam panowanie nad sobą. W każdym razie zawładnął mną konkretny, namacalny gniew. Niekontrolowany i gorący. Pierwotny.

– Chcesz wyjechać? To właśnie próbujesz mi przekazać? – pyta ojciec.

Myślę o K/N, o Dri, Agnes i Ethanie z jego niebieską gitarą elektryczną i lekceważącym „cześć”. Nie, nie chcę wyjeżdżać, ale nie chcę też, żeby było tak jak teraz. Żeby czuć się jak intruz w cudzym domu. Jeśli dzisiaj będę rzygać, co jest bardzo prawdopodobne, nie chcę martwić się o to, że zabrudzę łazienkę Rachel. Nie chcę, żeby ciągle wisiała mi nad głową groźba eksmisji.

Nie, tak naprawdę to wszystko nie ma znaczenia. Czego w rzeczywistości pragnę? Pragnę zdzielić ojca w twarz. Chcę, żeby moja pięść zderzyła się z jego nosem, chcę usłyszeć chrzęst i chrupot, zobaczyć krew. Kopnąć go z całej siły, przyglądać się, jak się zgina wpool, jak wykrzykuje słowo „przepraszam”.

To zupełnie nowe uczucie. Ten gniew. Zawsze potrafiłam obejść ból, nigdy nie musiałam się w nim zanurzać.

Ojciec wcale teraz nie wygląda na delikatnego – nie tak jak wtedy, nie tak jak w ciągu ostatnich paru lat. Dlaczego więc to ja musiałam obchodzić się z nim jak z jajkiem?

– Nic nie próbuję ci przekazać. Zapomnij. O czym chciałeś rozmawiać? – pytam. Palce zwijają mi się w pięści. Chyba jestem w stanie zaufać sobie na tyle, by założyć, że nie wymierzę mu ciosu, prawda?

– Chciałem tylko się dowiedzieć, co u ciebie. Jak w szkole. Sprawdzić. Wiem, że ostatnio byłem zajęty, a tamtego wieczoru nawet z tobą nie pogadałem. Mam wyrzuty sumienia.

– Zajęty? Na palcach jednej ręki mogę policzyć rozmowy, które odbyliśmy, odkąd się tu przeprowadziliśmy. – Moja wściekłość jest czysta, czerwona i niczym niezmacona, jak wczorajsze drinki. Czy on w ogóle ma pojęcie, jak wygląda moje życie? Zabawne, że się zainteresował akurat teraz, kiedy zaczynam wreszcie stawać na nogi.

Za mało. Za późno.

– Ja... O matko. Nie wiedziałem...

– Czego nie wiedziałeś, tato? Że przeprowadzka jest dla mnie trudna? Mówisz poważnie?

– Może...

– Może co? Może porozmawiajmy o tym innym razem? Świetny pomysł. – Odsuwam talerz,

powstrzymując chęć ciśnięcia nim w twarz mojego ojca, i wymaszerowuję z kuchni.

– Jakieś kłopoty w rajku? – pyta Theo, ponieważ oczywiście schodzi na dół, kiedy ja wbiegam na górę, pokonując po dwa stopnie naraz. Aż się trzęsę ze złości, wszystko we mnie wibruje. W ustach czuję gorycz, żółć. Wyobrażam sobie, jak zmieniam cel i moja pięść ląduje na twarzy Theo. Masakruje mu tę jego piękną buźkę.

– Pierdol się – odpowiadam. Wzrusza ramionami, nic sobie z tego nie robiąc.

– Z furią ci do twarzy – mówi.

Po południu siedzę w księgarni, sączę herbatę ziołową i gram w *Candy Crush* na komórce. Jak dotąd tylko dwaj klienci plus idiota, który zrobił zdjęcie książki, żeby kupić ją w sieci. Kiedy popołudnie powoli przechodzi w wieczór, a ja zaczynam czuć się znudzona i samotna, rozbrzmiewa dzwonek: pojawił się nowy klient. Odruchowo podnoszę głowę i aż mnie zatyka.

Caleb.

Chłopak w szarej koszulce, ten od Kilimandżaro, który pisał na komórce na wczorajszej imprezie. Odkąd podjęłam tu pracę, progu księgarni nie przekroczył nikt z naszej szkoły, nie licząc Liama. Nawet Dri, chociaż obiecuje, że kiedyś wpadnie. A dopiero co powiedziałam o tym dzisiaj Ktosiowi/Niktowi. Nie potrzeba zaawansowanej dedukcji, by wywnioskować, że to on stoi właśnie przede mną. Serce mi się ściska – a więc to jest osoba, przed którą wylewałam wszystkie swoje żale przez ostatnie dwa miesiące. Czekam na rozczarowanie, ale ono nie nadchodzi.

Zamiast tego czuję się zdezorientowana – jak wtedy, gdy zapytam kogoś o drogę, ale nie skupiam się na tym, co mówi, i nadal nie wiem, gdzie jestem. Trudno mi sobie wyobrazić słowa K/N wypływające z ust tego chłopaka. Jest atrakcyjny – seksowny nawet – ale w tradycyjny sposób. Zwyczajny. Typ najbardziej oczywistego króla balu, taki znajdzie się w każdej amerykańskiej szkole średniej. Bez pazura. Co powinnam powiedzieć? Mam się przedstawić? Udawać idiotkę? Zachowywać się tak, jakby to był jedynie dziwny zbieg okoliczności?

Ma na sobie tę samą szarą koszulkę co wczoraj i w pierwszy dzień szkoły, kiedy to dosłownie zgotowałam mu owację za to, że wspiął się na szczyt. Widocznie poczuł wtedy do mnie litość, uznał, że potrzebna mi pomoc, skoro nawet nie jestem w stanie trafić do właściwej klasy. Mam jednak nadzieję, że nie zauważył trawy, która przykleiła mi się wtedy do tyłka.

Czuję się oficjalnie rzucona na kolana. Chłopak od Kilimandżaro.

– Cześć. Jest może Liam? – pyta i uśmiecha się do mnie, jakby to miał być żart, chociaż mnie nic nie bawi. Raczej czuję się zakłopotana. To dlatego tak długo zwlekał ze spotkaniem? Ponieważ wiedział, że będzie tak dziwnie i niezręcznie?

– Przykro mi, ale nie. Dzisiaj nie pracuje. „Jezu, Jessie. Przecież to K/N. Tylko na tyle cię stać?”

– Aha. Bo chyba ma mój telefon – rzuca Caleb. – Zgubiłem go na imprezie. Ty też, zdaje się, chodzisz do Wood Valley, prawda?

– Tak. Jestem Jessie. – Wyciągam rękę. To zbyt formalny gest. Zamyślam się i odrobinę za późno ściskam jego dłoń. Ma długie, suche palce i nieco bezwładny uścisk. Nie pasuje do jego głosu.

– Caleb. Miło mi cię poznać.

– Mnie też. – Odwzajemniam uśmiech i próbuję powiedzieć wzrokiem to, czego nie mam odwagi wypowiedzieć słowami: „Wiem, że to ty”. Gramy w dziwną grę, ale z drugiej strony, czy anonimowa korespondencja też nie jest dziwaczna?

– I jak ci się podoba? Znaczą... w szkole?

– Można powiedzieć, że nadal się przystosowuję.

– Aha. Super. Super. – Caleb odwraca się do wyjścia – czy jest tak samo zdenerwowany jak ja? – a ja czuję desperację. Chcę, żeby został. Chcę, żeby wróciło to, co nas połączyło. Mam wrażenie, że wystarczyło trzydzieści sekund twarzą w twarz, a ja wszystko spieprzyłam.

Czy powinnam zapytać go o Tanzanię? Bo chyba w Tanzanii znajduje się Kilimandżaro?

– Może wybierzemy się kiedyś razem na kawę? – Czy ja naprawdę to powiedziałam? N a g ł o s? Jessie, weź głęboki wdech. Spasuj. – No wiesz, staram się poznawać nowych ludzi, i tyle.

Wydaje się zdziwiony. Przechylił głowę na bok, jakby chciał lepiej mi się przyjrzeć. Szacuje mnie, i wcale się z tym nie kryje.

Ta cała sytuacja ciut ubliża mojej godności. Powinniśmy jednak trzymać się komunikatora.

– Pewnie. Czemu nie. W końcu co się może stać? – pyta i uśmiecha się tajemniczo, ewidentnie nawiązując do pytania, które zadałam mu wczoraj wieczorem. Już chcę odpowiedzieć, mam milion rzeczy do powiedzenia, ale jak się okazuje, było to pytanie retoryczne, ponieważ on już zdążył wyjść ze sklepu.

Ktoś/Nikt: jak było w pracy?

Ja: Miło, że wpadłeś.

Ktoś/Nikt: zabawne.

Ja: Nie takiego określenia bym użyła.

Ktoś/Nikt: ?

Ja: ?

Ktoś/Nikt: no dobrze. w takim razie zmieniam temat. dzisiaj spędziłem tyle czasu przed xboksem, że się wynudziłem. #nigdyniesądziłemżenadejdzietakachwila

Ja: Bolał Cię ręce?

Ktoś/Nikt: wznoszę się ponad żart, o który aż się prosi. jesteś ze mnie dumna?

A więc tak to rozegramy. Będziemy udawać, że nasze dzisiejsze spotkanie nie miało miejsca. Może tak jest nawet lepiej. Może K/N vel Caleb miał od początku rację. Pisanie jest lepsze.

Rozmowy w realu są zdecydowanie przereklamowane.

atką. Pamiętam jednak, że kiedy jest się w twoim wieku, wszystko wydaje się większe, intensywniejsze.

ROZDZIAŁ 20

To cholernie długi poemat – mówi Ethan. – A przy tym jest denerwujący. I złożony. Nie potrafię rozpracować tych głosów. – Znow siedzimy w Starbucksie, o którym teraz myślę: „Nasz Starbucks”, chociaż w życiu nie przyznałabym się do tego przed Ethanem. Sączę latte, które mi kupił, zapytawszy najpierw, czy chcę to samo co ostatnio. Pamiętał nawet, że lubię, kiedy kawa jest bardzo gorąca. Był przy tym tak swobodny i naturalny – zamówił, wyjął z portfela kartę kredytową – że nawet nie poczułam się niezręcznie. Następnym razem powiem: „Dzisiaj ja funduję” albo: „Teraz moja kolej”. A może nie.

– Zgadzam się. To znaczy sama tworzę okropne wiersze, ale nie potrafię pisać nie swoim głosem. Jestem, kim jestem, kim jestem, kim jestem. Czy mi się to podoba, czy nie.

– *Róża jest różą jest różą jest różą*. Jessie jest Jessie jest Jessie jest Jessie.

– Nie mów, że czytujesz Gertrudę Stein – dziwię się. Moja mama była wielką miłośniczką tej pisarki, więc kiedy zachorowała, to właśnie jej dzieła czytałam na głos przy łóżku mamy. Głównie *Autobiografię Alicji B. Toklas*, ale też trochę poezji. Na przykład *Najświętszą Emily*, dziecięcy wiersz, z którego – jak się okazuje – pochodzi cytat o róży. Wcale nie z Szekspira, na którego bym stawiała.

Wtedy dowiedziałam się także innych rzeczy: chemia oślepia. Kradnie włosy i wzrok. Na końcu mama nie była nawet w stanie czytać.

Róża jest różą jest różą jest różą.

– Niewiele. Tylko *Autobiografię...* To jeśli chodzi o pisanie w imieniu innej osoby. – Jak on znajduje czas na te wszystkie lektury? Jestem teraz pewna, że gdybym się nie uparła na ten projekt, sam zdobyłby dla nas najlepszą ocenę. Jak się głębiej nad tym zastanowię, zaczynam się bać, że przeze mnie będzie zdecydowanie niższa.

– Moja mama była profesorem angielskiego na uczelni i często cytowała Gertrudę Stein. Mówiła o niej „G.S”, jakby się przyjaźniły. Na czterdzieste urodziny kupiliśmy jej z tatą stare wydanie *Świat jest okrągły*. To szalona książka dla dzieci. Totalny chaos. – Wyglądam przez okno, żeby odzyskać równowagę. Z nikim nie rozmawiam o mamie, nawet ze Scarlett. A już na pewno nie z tatą. Rozmawianie o niej to jak przyznanie się do tego, że jej nie ma, jak skok w to, czego nie da się objąć rozumem. Urzeczywistnienie tego, co nie może być prawdziwe.

Ale rozmawiamy o Gertrudzie Stein i już poruszyliśmy temat mojej mamy. Nie wiem, słowa padły same z siebie.

Ethan patrzy na mnie i czeka. Zdaję sobie sprawę, że milczenie mu nie przeszkadza. Nic mu nie przeszkadza.

Ethan jest Ethanem jest Ethanem jest Ethanem.

– Chciałem tylko powiedzieć, że jest mi przykro z powodu twojej mamy. Wiem, bo ludzie gadają. W każdym razie to cholerna sprawa – mówi. – To takie popieprzone, że ludzie muszą umrzeć i nic z tym nie można zrobić. Więc chciałem stanąć na wysokości zadania i powiedzieć, że mi przykro.

– Dzięki – mówię do kubka kawy, bo nie jestem w stanie spojrzeć na Ethana. Nie mam w sobie odwagi, by podnieść wzrok, nie wiem, co bym zobaczyła: litość czy empatię. Do mojego prywatnego raportu na temat Ethana dodam jednak takie określenia, jak „odważny”, „szczerzy” i „właściwy”, bo to rzeczywiście popieprzone, a on jest pierwszą osobą, która mi to powiedziała. Wszyscy moi znajomi w Chicago tylko mamrotali: „Przykro mi” pod nosem, pewnie dlatego, że rodzice im kazali, i widać było wyraźną ulgę, kiedy to z siebie wyrzucili. Można było zaznaczyć ptaszkiem wykonanie zadania i przejść

do następnego, nawet jeśli ja wciąż tkwiłam w tym samym miejscu. Nie mam im tego za złe, śmierć sprawia, że wszystko staje się kłopotliwe i niewygodne.

– Nie musimy o tym rozmawiać – ciągnie Ethan. – Ale nie cierpię, kiedy coś takiego się dzieje, a ludzie udają, że nic się nie stało, bo się boją, czują się niezręcznie i nie wiedzą, co powiedzieć. To, że człowiek nie wie, co mówić, to żadna wymówka. No.

– No – odpowiadam. I podnoszę wzrok. Patrzę mu w oczy. – *Pokażę ci strach w garstce popiołu.*

– Jak widać nie tylko ja jestem nerdem, który uczy się na pamięć *Ziemi jałowej*. Ta pierwsza część nosi tytuł *Grzebanie umarłych*, wiesz?

– Wiem. – Uśmiecham się, ponieważ lubię Ethana i to, że niczego się nie boi, może z wyjątkiem snu. A uśmiech to na swój sposób podziękowanie.

– Oczywiście, że wiesz – odpowiada i też się uśmiecha.

Godzinę później nadal siedzimy razem. Zadanie na ten tydzień zostało wykonane – napisaliśmy stronę na temat powtarzających się odniesień Eliota do brudu – teraz po prostu gadamy. Może nawet stajemy się przyjaciółmi, a nie tylko parą przy zadaniu na angielski.

– Nie mówiłaś, co sądzisz o Oville – zauważa Ethan po tym, jak zamówił trzecią kawę. Pije czarną. Żadnego łagodzenia, tylko czysta, niczym niezmacona kofeina.

– Szczerze? Jesteście boscy. – Na miejscu Gem albo Crystal pewnie udawałabym luzaka. Nie rzucałabym się na niego jak rozgorączkowana fanka. Ale co tam, przecież rzeczywiście byli zajebiści. – Wszyscy macie talent.

– Szkoda, że nie możemy grać tylko w moim domu – dla gości, bez koncertów. Ale to już nie ode mnie zależy. Przedtem tak robiliśmy. – Słowo „przedtem” wymawia wielkimi literami. Jakby istniało Przedtem i Potem. Przed i Po.

– Przed czym?

– Niczym. Zanim Liam do nas dołączył. On poważnie myśli o karierze muzycznej, a ja chcę tylko grać. Razem. – Ethan miesza kawę patyczkiem, bezmyślnie, bo przecież nie ma w kubku niczego, co wymagałoby mieszania.

– Miewasz tremę? – pytam.

Zastanawia się, jakbym zadała ważne pytanie, zasługujące na przemyślaną odpowiedź.

– Neeee. Niezupełnie. Czuję się, nie wiem, bardziej samotny, kiedy wszyscy na mnie patrzą. To takie... izolujące. I wyczerpujące.

– Myślałam, że jest zupełnie przeciwnie. Że scena

– Na koncertach, kiedy są tłumy ludzi i nikt mnie nie zaczepia, jestem ja i muzyka... wtedy nie czuję się samotny, bo wtapiam się w piosenki. Chyba nie jestem zbyt towarzyski.

– Naprawdę? Powiedz to wszystkim z Wood Valley.

– He?

Czyżby nie zauważył, że każda dziewczyna w szkole na niego leci? Że ustawiają się w k o l e j c e, by z nim porozmawiać?

– No jak to, nie wiesz? Przecież masz własny harem, widać go na każdej długiej przerwie. – Znów mówię za dużo. Naprawdę przydałyby mi się lekcje flirtowania.

– Neeee. To nie ma nic wspólnego ze mną. To z powodu... Nieważne. Długa historia. – Chciałabym powiedzieć: „Ale ja mam sporo czasu”, jednak widzę, jaki jest Ethan: dość bezpośredni. Jeśli chce mówić, mówi. Jeśli nie chce, milczy. Nie znam go aż tak dobrze, żeby naciskać.

– Kto wam pisze słowa? – Tak naprawdę chciałabym wiedzieć, kto napisał tekst do *The Girl No One*

Knows, ale nie przyznam się, że znam wszystkie kawałki zespołu. Dri wysłała mi komplet ich piosenek, na okrągło słucham tej jednej. Umarłabym ze wstydu, gdyby ktokolwiek się o tym dowiedział. Wtedy w sklepie Liam zaśpiewał tylko refren, prosty i wpadający w ucho, co wprowadza w błąd, bo reszta piosenki jest zupełnie inna. Melancholijna, piękna, żałosna.

To poemat, a nawet elegia.

– To zależy od kawałka. Zwykle ja. Czasem Liam. A, i jeszcze Caleb, który nie należy do zespołu, ale się z nami kumpluje i bywa, że dorzuci coś swojego. – Gwałtownie podnoszę głowę. Caleb? Czy to on napisał *The Girl No One Knows*? Jeśli tak, to wszystko zaczyna nabierać sensu. K/N to rodzaj faceta, który byłby w stanie pisać smutne, chwytające za serce kawałki, ale nie ktoś, kto wychodzi na scenę, by je głośno odśpiewać. Przed tłumem ludzi.

– Caleb to ten wysoki, prawda?

– Taaa. Znasz go?

– Niezupełnie. Trochę. Przyszedł kiedyś do mnie do pracy.

– A tak. On i Liam są bliskimi przyjaciółmi.

Domyślałam się, że Ethan wie o mojej pracy w sklepie mamy Liama. Najwidoczniej powiedziałam mu w zeszłym tygodniu, kiedy wspominałam, że znam Liama. A może to Liam mu to powiedział? Cholera jasna. Czyżby o mnie rozmawiali? Zaczynają mi się pocić dłonie, wyobrażam sobie bowiem, jak Ethan i Liam wyśmiewają się z tego, że się powoływałam na Liama, jakbym nie wiem jak bardzo się z nim kumplowała.

Czy to właśnie dlatego Gem nazwała mnie zdzirą? Czy wszyscy uważają, że mam obsesję na punkcie Liama? I on sam też tak sądzi? A Ethan? I Caleb?

– Myślisz, że kiedykolwiek rozpracuję tę waszą szkołę? – pytam Ethana. Męczy mnie to, że wszyscy wszystko tu o wszystkich wiedzą. Najbliższą mi osobą jest Ktoś/Nikt – czy powinnam po prostu mówić: Caleb? – a nasza znajomość opiera się wyłącznie na wymienianych komunikatorem tekstach. Muszę wynająć Dri, żeby przedstawiła mi ze szczegółami każdą osobę, to może wreszcie przestanę strzelać takie gafy.

– Nie – odpowiada Ethan. – Mnie się to nie udało, a chodzę tu od przedszkola. Ale wiesz, do czego doszedłem?

– Do czego?

– Że wcale nie musisz tego robić.

– Nie?

– Nie. Ani trochę.

– Poważnie? – Zaczynam mieszać latte, które już wypiliśmy, co oznacza, że mieszam w pustym kubku. Muszę czymś zająć ręce. Pragnienie, by dotknąć włosów, dłoni Ethana, jest tak silne, że ledwo je kontroluję. Mam ochotę ugryźć go w ucho, które wygląda tak, jakby kiedyś mieściło niefortunnie dobrany kolczyk. Chciałabym go zapytać, jak może być jednocześnie taki gorący i taki chłodny, i dlaczego teraz dodaje mi otuchy, wydaje się prawdziwym przyjacielem, a na imprezie zachowywał się tak, jakbym była niewarta jego uwagi, jakbym zasługiwała najwyżej na jedną sylabę, na lekceważące „cześć”.

– Taaa. Kto by się przejmował tymi wszystkimi dupkami? Paru z nich to świetni ludzie, ale zdecydowana większość jednak nie. W ostatecznym rozrachunku człowiek powinien po prostu być sobą. Jeśli to im się nie spodoba – pieprzyć ich.

– Jessie jest Jessie jest Jessie jest Jessie.

– Właśnie tak. Jessie jest Jessie jest Jessie jest Jessie.

No dobra, przyznam się: robi mi się smutno, kiedy Ethan przestaje wypowiadać moje imię.

W domu. Czy raczej, jeśli mam wyrażać się precyzyjnie, w miejscu, w którym jem i śpię. Dzisiaj pod kopułą: kurczak w sosie marsala albo marbella, albo czymś innym na „M”, do tego szparagi i kupka dzikiego ryżu.

Ktoś/Nikt: jak minął dzień? pisz.

Ja: Całkiem dobrze. A Twój?

Ktoś/Nikt: zapamiętam go.

Dzisiaj tylko raz widziałam Caleba. Opierał się o szafkę na korytarzu, na mój widok zsalutował komórką, a potem szepnął coś do stojącego obok kolegi, gościa o filcowej cerze muppeta. Jak rozumiem, ten gest oznaczał coś w rodzaju: „Pogadajmy za pomocą telefonu, a nie twarzą w twarz”, bo przecież nie była to próba zareagowania na moją sugestię spotkania przy kawie. Jednak trzydzieści sekund później usłyszałam sygnał komunikatora.

Ktoś/Nikt: trzy rzeczy 1. Hendrix był najbardziej niesamowitym gitarzystą wszech czasów. lepszym niż Jimmy Page. 2. czasami, kiedy słucham muzyki, czuję się lżejszy. 3. a czasem, gdy gram na xboksie, nie czuję nic.

Ja: A co wolisz? Muzykę czy xboksa?

Ktoś/Nikt: ach, to dobre pytanie. podejrzewam, że apteczka mojej mamy spełnia funkcję jej własnej konsoli, dlatego powiem, że muzyka. nie ma dla mnie nic bardziej przerażającego niż perspektywa przerodzenia się w moją matkę.

Ktoś/Nikt: ale szczerze?

Ktoś/Nikt: xbox.

Chyba powoli zaczyna do mnie docierać, że nie pogadam z Calebem nad kubkiem czegoś gorącego, chociaż nie wypowiadam na głos podejrzenia, że K/N to Caleb, a Caleb to K/N. Może tak jest nawet lepiej. Może zbyt wiele trudnych słów padło podczas naszych rozmów w sieci i wiedząc to, co już o sobie wiemy, ciężko byłoby nam rozmawiać w cztery oczy. Ale z drugiej strony czuję smutek, bo nawet zaczął mi się podobać ten jego rodzaj seksowności. Siedzenie z nim przy jednym stoliku z pewnością nie rozpraszałoby mnie tak bardzo jak obecność Ethana. Caleb jest prostszy i zwykleszy.

Ja: Zapamiętasz dzisiejszy dzień? Ale dobrze czy źle?

Ktoś/Nikt: dobrze. co dzisiaj znalazłaś pod kopułą?

Ja: Fikuśnego kurczaka. A Ty? Tylko nie mów, że znowu jadłeś sushi z Whole Foods. Zaczynam się martwić, że zatrujesz się rtęcią.

Ktoś/Nikt: tak się składa, że dzisiaj gotowała moja mama, co – jak sama wiesz – było dość dziwne.

ale smaczne. makaron z sosem serowym domowej roboty. moja ulubiona potrawa z dzieciństwa. i chyba nadal ulubiona.

Ja: To miłe ze strony Twojej Mamy.

Ktoś/Nikt: taaa, to było jak przeprosiny. jakby zdawała sobie sprawę ze swojej... nieobecności.

Ja: A wydawała Ci się... no wiesz, czysta?

Ktoś/Nikt: trudno powiedzieć, ale chyba tak. pozwalam sobie mieć taką nadzieję, przynajmniej dzisiaj.

Ja: To dobrze.

Ktoś/Nikt: z drugiej strony, wiesz, jaki jest główny objaw zatrucia rtęcią?

Ja: Jaki?

Ktoś/Nikt: optymizm.

W nocy śnił mi się Ethan i Caleb. Obaj znajdują się w moim pokoju, siedzą na łóżku, tyle że zamienili się koszulkami. Ethan ma popielatą, a Caleb – z Batmanem. Żaden ze mną nie rozmawia. Caleb bawi się komórką, pisze do kogoś – może do mnie, ale nie do mojej wersji z tego pokoju – a Ethan brzdąka na gitarze, zajęty jakąś skomplikowaną palcówką, zaabsorbowany tak, jak bywa niekiedy, gdy patrzy przez okno biblioteki. Siadam za nimi w milczeniu, tylko przyglądam się i podziwiam ich jakże różne szyje, staram się nie myśleć o tym, że oni nie zdają sobie sprawy z mojej obecności.

to jedyne miejsce, na którym artysta nie czuje się samotny. Każdy chciałby być tym facetem na scenie.

ROZDZIAŁ 21

Dziewczyny, co byście powiedziały, gdybym zrobiła sobie różowe pasemko? Tak ciut z boku? – pyta Dri i przeczesuje palcami niesforne brązowe włosy. Mamy okienko, siedzimy na zewnątrz z twarzami zwróconymi ku słońcu niczym wygłodniałe kwiaty z kreskówki. Mam już okulary przeciwsłoneczne – Dri i Agnes pomogły mi wybrać parę z przeceny – i bardzo mi się podobają. Mam wrażenie, że posiadają zdolność transformacji, czuję się zupełnie inną osobą, gdy moją twarz zakrywają duże plastikowe kwadraty.

– Różowe? – pyta Agnes.

– Ale różowe różowe, z wykrzyknikiem zamiast litery ż? – dopytuję.

– Może – mówi Dri. – Któreś z tych. Albo oba.

– Nie. – Agnes nie owija w bawełnę. Czysty sprzeciw. Dokładnie w taki sam sposób zareagowała Scarlett, kiedy zasugerowałam, że przebiję sobie wystający kawałek w środku ucha. Kazała mi wygooglać, jak to się fachowo nazywa, ponieważ nie chciała więcej słyszeć słów: „Wystający kawałek w środku ucha”. Wcale jej się nie dziwię.

Jak się okazuje, ta część ucha nazywa się skrawkiem, co brzmi okropnie. Nikt nie powinien przebijać swojego s k r a w k a.

– A całość na różowo? – drąży Dri. – Może pofarbowałabym całe włosy?

– No nie wiem – odpowiadam. – Podobają mi się twoje włosy takie, jakie są.

– Dlaczego? Dlaczego chcesz sobie zrobić coś takiego? – pyta Agnes, ale nie mamy z Dri serca wypominać jej, że przecież jej włosy mają tak samo nienaturalny kolor jak potencjalny róż na głowie Dri. Tyle że ta czerwień pasuje do Agnes, a nie sądzę, żeby różowe włosy pasowały do Dri. Jeśli mowa o włosach, różnica między różem a czerwienią nie ma nic wspólnego z subtelnością.

– Potrzebuję zmiany.

– To samo co z ukulele. Chcesz zostać zauważona – rzuca Agnes, prosto z mostu, ale przyjaźnie.

– Czuję się... sama nie wiem. Jakby... niewidzialna. Jakby oprócz was nikt nie zauważał, że chodzę do tej szkoły. – Dri kładzie się na plecach i wpatruje w przepastne niebieskie niebo bez jednej chmurki. Zastanawiam się, czy nie powiedzieć jej, że Ktoś/Nikt poradził mi, bym się z nią zaprzyjaźniła, a więc zauważył, jaka jest fajna. Nie wiedzieć czemu to mnie zawstydza, wołałabym jednak, by sądziła, że nasza przyjaźń jest całkiem naturalna.

– Szczerze mówiąc, chciałabym być niewidzialna – mówię. – Gem i Crystal nie dają mi spokoju.

– Pieprz je – rzuca Agnes. – Po prostu chciałyby być takie super jak ty.

– Nie jestem super. Wręcz przeciwnie.

– Oczywiście, że jesteś. Teraz, kiedy cię poznałam, przekonałam się, że jesteś o wiele lepsza niż zwykłe super. Tylko roztaczasz wokół siebie atmosferę twardzielki, która się do nikogo nie zniża. I jesteś seksowna – dodaje Agnes. – A w świecie Gem nikt nie ma prawa być seksowny.

– Poważnie? O czym ty w ogóle mówisz?

– One są zazdrosne, ponieważ Liam cię lubi. Chcesz znać prawdę? Ja też jestem zazdrosna, ponieważ Liam cię lubi – mówi Dri.

– Co ty masz z tym lubieniem? Po prostu pracuję w sklepie jego mamy.

– Jak tam uważasz.

– Naprawdę. To tylko praca. A jeśli chcesz wiedzieć, on mi się nie podoba. Nie w taki sposób, jak

myślisz. – Mam nadzieję, że mi uwierzy. Musi mi uwierzyć.

– W takim razie oszalałaś. On jest obłądnie seksowny.

– Błagam, nie rób sobie pasemka ze względu na Liama Sandlera – prosi Agnes. – On nie jest tego wart.

Zauważam Ethana. Idzie przez trawnik z kawą w ręku i chociaż jest dopiero południe, zmierza w stronę parkingu. Za każdym razem, kiedy widzę go w takiej sytuacji – „na wolności”, jak to nazywam – mam wrażenie, że udało mi się go przywołać myślami, że pojawił się tylko z tego powodu. A tak się składa, że myślę o nim bez przerwy. Rozmawiam o różowych włosach i Liamie Sandlerze, ale w głowie mam jedynie: „Ethan jest Ethanem jest Ethanem jest Ethanem”.

Zastanawiam się, dokąd idzie i czy zdąży wrócić na angielski. Mam taką nadzieję. W szkole rzadko rozmawiamy, ale lubię wiedzieć, że siedzi za mną i że mogłabym się odwrócić i uśmiechnąć, gdybym tylko miała odwagę. Tyle że jeszcze nigdy nie miałam odwagi.

Cholera. Zauważył, że mu się przyglądam. Łudzę się, że z tej odległości nie dostrzeże mojego idiotycznego maślanego spojrzenia. Pokazuje mi znak pokoju i wsiada do samochodu.

– Za to Ethan Marks... – mówię, wreszcie przyznając się przed dziewczynami do mojego zauroczenia. Oczywiście wcześniej powiedziałam Scarlett, ale ona nie zna go od przedszkola, więc to się nie liczy.

Czy powinnam odpowiedzieć mu takim samym gestem? Nie, nie zrobię znaku pokoju. To mniej więcej to samo co „bombowo”.

– Poważnie? Podoba ci się Ethan! Kumplowałam się z nim w gimnazjum – piszczy Dri, po czym podnosi się do siadu i chwytą mnie za rękę. Reaguje z typowo babskim entuzjazmem – albo czuje ulgę, że nie chcę Liama. Przechyliła głowę w bok i zamyśla się. – Ale bądźmy szczerzy: to nie jest zbyt oryginalny wybór. A poza tym...

– Poza tym jest jakby pokancerowany – dodaje Agnes.

– I nigdy nie chodził z żadną dziewczyną ze szkoły. Nigdy – mówi Dri, a ja się nieco podłamuję. Nie żebym uważała, że mam u niego jakieś szanse, no ale... Teraz to już w ogóle wydaje się niemożliwe.

– Ale faktycznie jest totalnie seksowny – kończy Agnes. – Bez dwóch zdań.

Ktoś/Nikt: trzy rzeczy. 1. kiedy czytam wiadomości od Ciebie, słyszę Twój głos. 2. gdybym był zwierzęciem, to lemurem. no dobra, to chyba nieprawda, ale miałem ochotę użyć słowa „lemur”... uprzedzając Cię, tak, wiem, że jestem dziwny. 3. a poważnie? chciałbym być kameleonem. zmieniać barwę, żeby dostosować się do otoczenia.

Ja: 1. Film Footloose (remake, nie wersję oryginalną) obejrzałam zawstydzającą liczbę razy. Jest taki poruszający. PRAWO ZAKAZUJĄCE TANCA. Bohaterowie walczą i wygrywają. Tu mdleję. 2. Mogłabym być lepszym kierowcą. Wpadam w panikę przy zasadzie: „Skręcaj w lewo, kiedy światło zmieni się na czerwone”

Ktoś/Nikt: okej, będzie bez cukru.

Ja: Co?

Ktoś/Nikt: taki żart. aluzja do Seinfelda^[14].

Ja: To wcale nie jest zabawne.

Ktoś/Nikt: to tylko kawa. wyluzuj.

Ja: Jasne.

Ktoś/Nikt: przepraszam, zapomniałem, jak się złościś, kiedy mówię, żebyś wyluzowała.

Ja: Nie złoścę się.

Ktoś/Nikt: właśnie to robisz. wyczuwam złość w Twoim wirtualnym głosie.

Ja: Kiedy każesz komuś wyluzować, sugerujesz tym samym, że jest sztywny jak nie wiem co.

Ktoś/Nikt: wow. przeceniasz moje „wyluzuj”. mam na myśli: „spokojnie, nic się nie stało. wszystko gra”. zapominasz, że jestem z Kalifornii, wszyscy tu wciskają takie kawałki.

Ja: Namaste.

Ktoś/Nikt: ooo, zaczynasz łąpać. a teraz koniec pisania, uciekaj do klasy, bo się spóźnisz.

– Zdzira. – Gem udaje, że kicha, kiedy wchodzę na angielski. Ktoś/Nikt miał rację, spóźniłam się, wszyscy już siedzą z otwartymi laptopami i przyglądają się, jak zostaję obrzucona wyzwiskami i zarazkami. – Dziwka. – Gem kicha ponownie. Nie wiem, po co jej ta wyszukana przykrywka. Wszyscy doskonale ją słyszą, jestem pewna, że nawet pani Pollack. – Tłusta brzydka krowa.

„Udawaj, że masz na sobie słuchawki wygłuszające dźwięki z zewnątrz. Że nie widzisz, jak wszystkiemu przyglądają się Crystal, Dri, a nawet Theo. Nie, nie podnoś głowy, nie sprawdzaj, czy Ethan wrócił z miejsca, do którego pojechał, gdziekolwiek to było, czy śledzi cię wzrokiem, a w jego oczach czai się litość.

Nie ma nic gorszego od litości.

Już prawie. Jeszcze tylko wyminąć Gem. Dasz radę”.

A jednak nie dałam. Ponieważ zanim się obejrzałam, mój nos uderzył z łoskotem w ławkę, a ja runęłam jak długa na linoleum. Moja głowa znajduje się dwa centymetry od converse'ów Ethana.

– Nic ci nie jest? – pyta. Nie odpowiadam, ponieważ nie wiem. Leżę na ziemi, boli mnie twarz, i to znacznie bardziej niż wtedy, kiedy Liam przyłożył mi futerałem gitary, a do tego cała klasa na mnie patrzy. Gem i Crystal śmieją się otwarcie – rechoczą jak czarownice z bajki Disneya – a ja boję się wstać. Nie mam pojęcia, czy leci mi krew z nosa, czy spoczywam właśnie w kałuży krwi u stóp Ethana. Wiem za to, że mój tyłek rozciąga się na podłodze niczym rozsmazane masło, że znajduje się pod kątem, z którego nikt nie powinien go oglądać, a już na pewno nie Ethan.

Dzięki Bogu boli. Ból sprawia, że nie czuję upokorzenia.

Gem podstawiła mi nogę, oczywiście, że tak. Jestem taką kretynką, zasługuję na wącianie podłogi.

Ethan kuca, pochyla się nade mną i wyciąga rękę, by pomóc mi wstać. Biorę głęboki wdech. Im szybciej się podniosę, tym szybciej będę miała to za sobą. Ignoruję jego rękę – nie wyobrażam sobie nic gorszego od upaprania jej krwią, nie chcę, żebyśmy po raz pierwszy dotknęli się w takich okolicznościach – i podpieram się o podłogę. Powoli siadam, potem wstaję i – gruba krowa pakuje tyłek na krzesło.

– Leci mi krew? – pytam szeptem. Dri kręci przecząco głową, a szok malujący się na jej twarzy uświadamia mi, że to, co się właśnie wydarzyło, było tak fatalne i żenujące, jak sobie właśnie wyobrażałam. Nie. Nawet gorsze.

– Pójdiesz do pielęgniarki? – pyta pani Pollack ledwo słyszalnie, jak gdyby nie chciała, żeby inni jeszcze bardziej zwracali na mnie uwagę.

– Nie – odpowiadam, chociaż dałabym wszystko za woreczek z lodem i coś przeciwbólowego. Nie ma jednak mowy, żebym wstała i przeszła obok Gem. A potem słyszała śmiech za plecami. O nie, dziękuję.

– W takim razie wracamy do *Zbrodni i kary* – mówi pani Pollack. Czuję za sobą obecność Ethana, ale nie mogę się odwrócić, nie mogę nawet wymamrotać żalonych podziękowań, ponieważ boję się tego,

jak wygląda moja twarz. Boję się, że wybuchnę płaczem.

Trzymam głowę spuszczoną, jakby unikanie kontaktu wzrokowego miało mnie uczynić niewidzialną. „Nie ma czego oglądać”. Przypominają mi się słowa Ktosia/Nikta o tym, że chciałby być kameleonem i wtapiać się w tło. Jakimś cudem udaje mi się dotrzeć do końca zajęć, przez cały czas wbijam wzrok w ławkę. Ktoś wrył na niej napis „Axel uwielbia Fig Newtons”. Naprawdę ktoś zadał sobie tyle trudu i zniszczył mebel tylko po to, żeby wyrazić swoją miłość do ciastek? No, chyba że do szkoły chodził ktoś, kto nazywał się Fig Newtons. Zważywszy na to, że mamy trzech Hannibali, czterech chłopaków o imieniu Romeo oraz dwie dziewczyny nazwane Apple, to całkiem możliwe. Kiedy tylko rozlega się dźwięk dzwonek, chwytam za plecak i ruszam do drzwi. Nie czekam nawet na Dri.

– Jessie, poproszę na chwilę. – Głos pani Pollack dobiega do mnie, zanim zdążę wyjść z sali.

– Teraz? – Chcę stąd uciec, znaleźć się jak najdalej tych wszystkich ludzi, w miejscu, w którym mogę być sama, dać upust łzom, a najlepiej położyć sobie woreczek z lodem na nosie. Próbuję się skupić na Axelu i jego miłości do Fig – w głowie ułożyłam całą tragiczną historię ich uczucia – ale ciągle słyszę słowa Gem: „Zdzira. Dziwka. Tłusta brzydka krowa”. Zupełnie jak tekst piosenki, który nie daje mi spokoju. Brzmiałyby dobrze w Auto-Tune: „Zdzira. Dziwka. Tłusta brzydka krowa”. Może powinnam zaoferować je Oville.

– Jeśli nie masz nic przeciwko... – Mam coś przeciwko. Mam mnóstwo przeciwko, ale nie potrafię powiedzieć tego na głos. Pani Pollack pokazuje gestem na krzesło z przodu sali, więc siadam i czekam, aż reszta klasy sobie pójdzie. Theo. Crystal. Gem. Dri. Widzę, że Ethan przez chwilę kręci się w miejscu – czyżby chciał coś powiedzieć? Mnie? A może pani Pollack? Ostatecznie stuka w moje krzesło książką i też wychodzi. Zostałam ja i zatroskana twarz nauczycielki. Żebym tylko przetrwała kolejnych pięć minut bez płaczu. „Boże, proszę – błagam w myślach, chociaż moja relacja z Najwyższym jest dość kontrowersyjna. – Proszę, pozwól mi opuścić to pomieszczenie, nie robiąc z siebie jeszcze większej kretynki”.

Z tego miejsca nie mogę wpatrywać się w wyznanie miłosne Axela, wobec czego wbijam wzrok w plakat przedstawiający Szekspira, mężczyznę z plisowanym kołnierzem, pod którym widnieje cytat: *Być albo nie być. Oto jest pytanie.*

Nie, to wcale nie jest pytanie. Bycie to chyba jedyna rzecz, która od nas nie zależy.

– Nic nie zrobiłam – mówię, chociaż zdaję sobie sprawę, że nie o to chodzi. Ona nie jest zła na mnie, to ja tu jestem ofiarą. Wybieram jednak złość, a nie łzy. Złość jest odrobinę mniej upokarzająca. Złość bardziej pasuje do atmosfery, którą zdaniem Agnes roztaczam wokół siebie: twardzielki, co to do nikogo się nie zniża.

Pani Pollack wysuwa krzesło i siada na nim okrakiem, tak że oparcie ma z przodu. Ona też chce się wydawać fajna i luzacka. Sprawiać wrażenie uczennicy, a nie nauczycielki.

– Chciałam tylko się dowiedzieć, jak wygląda sytuacja. Czy jest coś, o czym chciałabyś porozmawiać?

– Nie. – Wycieram nos wierzchem dłoni. Łzy nabiegają mi do oczu, ale jeszcze mnie nie zdradziły i nie przelały się na zewnątrz. Czekają na krawędzi. Jeśli kiedykolwiek napiszę wspomnienia, tak właśnie je nazwę: *Na krawędzi.* – Potknęłam się. Bywa.

– Zmiana szkoły może być trudna.

– Nic mi nie jest.

– Mówię to z bólem, ale szczególnie dziewczęta w tym wieku są czasem wyjątkowo okrutne.

– Nic mi nie jest.

– Nie jestem pewna, co mam zrobić. Oczywiście mogę porozmawiać z dyrektorem, w szkole nie toleruje się żadnej przemocy.

– Nic mi nie jest.

– Mam jednak przeczucie, że to tylko pogorszy sprawę. Ojciec Gem jest hojnym darczyńcą i...

– Naprawdę nic mi nie jest.

Nauczycielka patrzy na mnie z wyczekiwaniem. Czego ona ode mnie chce?

„Zdzira. Dziwka. Tłusta brzydka krowa”.

– Czy zrobiłaś coś, co ją skłoniło do takiego zachowania? Po prostu próbuję to zrozumieć – mówi i kładzie ręce na oparciu krzesła. Zupełnie jakby chciała powiedzieć: „Tak sobie tylko gadamy, nie ma żadnego problemu”.

– Pyta mnie pani, czy zrobiłam coś, żeby zasłużyć sobie na podłożenie nogi przez Gem i na wyzwanie mnie od dziry, dziwki i tłustej brzydkiej krowy? O to właśnie mnie pani pyta? – Zapominam, że w gestii tej kobiety znajdzie się jedna szóstka mojej średniej, że przez nią mogę nie dostać stypendium na studia. Powinnam zachowywać się grzecznie, ale jak się okazuje, złość jest nie tylko lepsza, ale i łatwiejsza. Przychodzi naturalnie.

– Nie chciałam... Przepraszam, ja tylko próbuję zrozumieć... – Wygląda na urażoną, jakby to ona miała się rozpłakać. Jakby to ona rąbnęła twarzą o podłogę na oczach całej klasy.

– Odpowiedź brzmi: nie. Nie dotknęłam ani jednego chłopaka w tej szkole, a w zasadzie to w żadnej, chociaż gdyby nawet, to wcale nie usprawiedliwiłoby nazywania mnie dzirą i dziwką. Co do tłustej brzydkiej krowy, podejrzewam, że to subiektywne określenie. – Gdyby nie fakt, że jestem taka zdenerwowana, napawałabym się tą chwilą. Po raz pierwszy w życiu znalazłam właściwe słowa i powiedziałam dokładnie to, co chciałam. Teraz nie mam jednak ochoty niczym się napawać. Mam ochotę uciec. – Potrzebne jest pani moje BMI? Myślę, że da się załatwić.

– Źle mnie zrozumiałaś. Nie zamierzałam..

– Czy to koniec? – pytam. Pieprzyć to. I tak nie miałabym szansy na superstopnie w Wood Valley. Stypendium na studia to nierealne marzenie. Ale przynajmniej wyjaśniła się jedna tajemnica: Gem może gadać, co jej ślina na język przyniesie, ponieważ jej ojciec ładuje pieniądze w szkołę. Tyle można kupić za drobne oszustwo podatkowe.

– Ja tylko próbuję ci pomóc – mówi pani Pollack. – Nie chcę pogarszać sprawy...

Nie słyszę, jak brzmi koniec zdania, ponieważ już jestem za drzwiami.

◆ 3. Do Twojej informacji: rezygnuję z kawy.

ROZDZIAŁ 22

Spuszczona głowa. Dziesięć metrów do samochodu. „Dasz radę, Jessie”. Jeszcze sześć. Ręce mi się trzęsą, ale trzymam je w kieszeni, żeby nikt nie widział. Cały czas idę. „Nikt nie patrzy” – dodaję sobie otuchy. „Nikt cię nie widzi”. Cztery metry. „Już prawie”. Wsiadę do samochodu, przekręcę kluczyk w stacyjce, ruszę i będę jechać tak długo, aż nie zapali się kontrolka pustego baku. Wybiorę się na wschód, znajdę autostradę prowadzącą do Chicago. Zjawię się u Scarlett w samą porę, żeby jej mama poczęstowała mnie kimchi domowej roboty.

– Hej. Wszystko w porządku? – Najpierw widzę jego buty i pas od gitary przechodzący przez klatkę piersiową – to dlatego, że nie chcę podnieść głowy. Liam jest ostatnią osobą, jaką mam ochotę w tej chwili oglądać, nie licząc może tej jego okropnej dziewczyny. Ale gdybym zobaczyła teraz Gem, znalazłabym sposób, żeby się do niej dostać. Podrapać z całej siły. Złamać ten chirurgicznie wymodelowany nos za tysiące dolarów. Rozbić jej porcelanowe licówki.

– Proszę. Zostaw. Mnie. W spokoju. – Ze łzami jest jak z moczem. Tylko do pewnego momentu da się je powstrzymać. Od samochodu dzielą mnie może dwa, trzy metry, a potem będę mogła jechać i płakać, i nikt się o tym nie dowie. Już się nie mogę doczekać, kiedy przekroczę granicę stanu.

Wyobrażam sobie nawet ten znak z napisem: „Kalifornia żegna”.

– Moment. Co się dzieje? – pyta Liam i chwytą mnie za ramiona, żebym nie mogła uciec. Próbuję się wyszarpnąć, jednak trzyma mocno. – Mam po kogoś zadzwonić czy jak?

– Nie. Wiesz, czego mi trzeba? Żebyście ty i ta twoja dziewczyna dali mi święty spokój. – Jestem wściekła, może nie na Liama, ale w tym momencie nie ma to znaczenia. Ataki ze strony Gem i Crystal były wcześniej tylko głupie, dotyczyły moich ubrań albo naklejek na laptopie. Dupereli. Ale teraz, po tym jak na imprezie przez dwie minuty rozmawiałam z Liamem, przybrały zupełnie inny wymiar. Sorry, ale jego gadanina nie jest aż tak ekscytująca. A już na pewno nie jest warta czegoś takiego.

Przez chwilę gram w grę, która mnie niekiedy uspokaja: „Co bym robiła, gdybym znajdowała się w Chicago i nigdy się stamtąd nie ruszała?”. Tkwiłabym na zebraniu redakcyjnym albo może zajmowała się kroniką szkoły, kadrowałabym zdjęcia, dobierała czcionki. Nie byłabym szczęśliwa, o nie. Ale nie czułabym się tak jak teraz.

– O czym ty mówisz? – Liam wydaje się zdezorientowany. Może jednak nie jest aż taki bystry, jak mi się wydawało? Według tego, co mówiła Dri, chodzi z Gem od sześciu miesięcy, co znaczy, że od pięciu miesięcy i dwudziestu dziewięciu dni powinien zdawać sobie sprawę, że jego dziewczyna to wredna suka.

Liam zdejmuje Earla i kładzie na ziemi obok samochodu. Tesli. Ja nie mogę, jakiś uczeń Wood Valley jeździ cholerną teslą. Kim są ci ludzie?

– Nieważne. Zostaw mnie samą. Ta rozmowa w niczym mi nie pomaga – mówię.

– Nie rozumiem.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego jestem zdenerwowana? Idź, zapytaj Gem – odpowiadam i pokonuję ostatnie metry dzielące mnie od mojego auta.

– Moment – mówi Liam. – A czy dzisiaj, no wiesz, przyjdiesz do pracy?

Oczywiście, że nie pojedę do Chicago. Nie będzie żadnych znaków, ani realnych, ani metaforycznych. Ucieczka to zwykła mrzonka. Najpierw musiałabym odłożyć pieniądze, to, co mam, ledwo by starczyło na paliwo.

Czuję się jak przekłuty balon – nie będzie żadnej ucieczki, ukrywania się. To, co jest tutaj, to moje życie. Niestety.

– Tak. Przyjdę.

Wsiadam do samochodu i ruszam do tyłu tak szybko, że chyba zostawiłam ślady na asfalcie. Dopiero kiedy szkoła stanowi tylko mały punkt w lusterku wstecznym, pozwalam sobie na płacz.

Ktoś/Nikt: wczoraj obejrzałem Footloose. obie wersje. na Twoją cześć.

Ja: I?

Ktoś/Nikt: nie mają sensu. nie można wprowadzić lokalnego zakazu tańca. to wbrew zagwarantowanej konstytucyjnie wolności. nie wspominam już nawet o całej tej kwestii z kościołem/państwem.

Ja: Jęk.

Ktoś/Nikt: a nawet jeśli zignorować wątpliwości co do GŁÓWNEJ koncepcji filmu... cóż...

Ja: CO?!?!

Ktoś/Nikt: to po prostu kiepskie filmy.

Ja: Powiedz mi lepiej, co naprawdę o nich myślisz.

Ktoś/Nikt: podobało mi się, że Tobie się te filmy podobają. czy to ma sens?

Ja: Żadnego, ale akceptuję odpowiedź. Mam gówniany dzień. Zastanawiam się, czy nie uciec z powrotem do Chicago.

Ktoś/Nikt: NIE!

Ja: Ha. Uwielbiam zmuszać Cię do użycia Shiftu. A jak Twój dzień?

Ktoś/Nikt: moja mama ani na chwilę nie podniosła się z sofy. przyniosłem jej obiad. nie zjadła. była tak nieobecna, że nawet na mnie nie spojrzała.

Ja: Tak mi przykr

Ktoś/Nikt: myśli o wysłaniu jej na odwyk, ale szczerze mówiąc, leki nie są głównym problemem. to znaczy są, ale bardziej symptomem.

Ja: Czyli?

Ktoś/Nikt: straciła dziecko. po czymś takim człowiek nie od razu się podnosi.

Ja: Nadal ma Ciebie.

Ktoś/Nikt: dlaczego miałaś taki zły dzień?

Ja: Nic ważnego. Po prostu jeden z tych dni.

Ktoś/Nikt: nie wyjeżdżaj z LA. proszę. nie możesz tego zrobić. obiecujesz?

Zamyślam się. Co dla Caleba znaczy obietnica? Prześlizgnęliśmy się przez jego odrzucenie mojej propozycji pójścia na kawę, zagłębiliśmy się w inne tematy, jakby tamto w ogóle nie miało miejsca. Skłamałabym jednak, gdybym powiedziała, że ten jego absolutny brak ochoty na spotkanie w realu zupełnie po mnie spłynął.

A dzisiaj nie powiedział mi „cześć” na korytarzu, tylko znów zasalutował telefonem.

Tłumaczę sobie, że po prostu boi się zepsuć nasze niekończące się rozmowy, ale mam tendencję do wmawiania sobie wielu rzeczy, w które nie wierzę.

Postanawiam więc skłamać.

Ja: Obiecuję.

Kiedy pojawiaam się w księgarni, za ladą siedzi pani Sandler. Czuję wielką ulgę, że nie muszę stawać twarzą w twarz z Liamem. Na powitanie dostaję karton książek z poleceniem, żebym je porozkładała na półkach.

– Oczywiście – mówię i zaglądam do środka. Sporo poradników finansowych. *Zostać milionerem w jeden dzień. Pokonać rynek. Pieniądze dla ciebie.* Podchodzę do regału, który mama Liama opisała jako „Szybkie metody na wzbogacenie się”, i zaczynam układać książki alfabetycznie, autorami. Przez ułamek sekundy waham się, czy nie wybrać którejs dla taty, ale przypominam sobie, że 1. nie rozmawiamy ze sobą, 2. mój tata mógłby sam napisać podobną książkę, chociaż byłaby ciut za krótka: *Ożenić się bogato.*

– Podoba mi się twoje nastawienie do pracy – stwierdza mama Liama, ponieważ uwijam się szybko. Zrobię wszystko, byle tylko mieć zajęcie. Uśmiecha się do mnie uśmiechem swojego syna. Pracuję tu już kilka tygodni, a nie pamiętam, jak ma na imię. Zwykle myślę o niej „mama Liama”, ewentualnie „pani Sandler”. Przypuszczam, że gdybym spotkała ją w jakimś innym miejscu, niezwiązanym z księgarnią, w ogóle bym jej nie poznała. Wygląda jak większość mam w Chicago: skromna fryzura, wszystko zoptymalizowane, podporządkowane wygodzie, a niekoniecznie atrakcyjności. Jest jak prawdziwa mama, a nie starzejąca się aktorka.

Próbuję przypomnieć sobie uśmiech Caleba, ale nie jestem pewna, czy go w ogóle widziałam. To nawet logiczne, Ktoś/Nikt nie jest raczej wesołym typem. Za to z łatwością wyobrażam sobie uśmiech Ethana: jak rozkwita mu na twarzy, z lewej do prawej strony, niczym idealne zdanie.

Muszę koniecznie zwalczyć obsesję na jego punkcie. To niezdrowe.

– Wszystko w porządku? Bo jesteś trochę... rozmazana – mówi pani Sandler i podaje mi chusteczkę. – Chcesz porozmawiać?

Cholera jasna. Zapomniałam, że dzisiaj rano eksperymentowałam z maskarą. Mimo moich zapewnień, że nigdy się nie zaprzyjaźnię z makijażem, Agnes stwierdziła, że magiczna różdżka w kontakcie z rzęsami zupełnie odmieni mi życie. Teraz nie można poznać, gdzie kończy się siniak, a zaczyna rozmazany tusz.

– Nie, nie – odpowiadam. Ciekawe, czy pani Sandler lubi dziewczynę swojego syna. Czy w ogóle miała okazję poznać Gem. I czy Liam zostawia otwarte drzwi do swojego pokoju, kiedy ona przychodzi. Prawdę powiedziawszy, wątpię. Te dziwaczne zasady z północno-zachodnich stanów nie obowiązują w Los Angeles, gdzie dzieciaki otwarcie palą trawkę, jeżdżą samochodami prosto z salonu i mają rodziców, którzy zapłacą, byle tylko nie groziły im żadne konsekwencje. Matka Liama pewnie kupuje mu prezerwatywy i nad sushi z restauracji na wynos żartuje, że nie chce widzieć w domu małych Liamków.

Przychodzi mi na myśl mama Caleba, leżąca na sofie, odmawiająca jedzenia. Ciekawe, co jej przyniósł na obiad. Ciekawe, jak wygląda, czy też jest wysoka i ładna. I czy też ubiera się na szaro.

– Lepiej? – pytam, wycierając twarz. Chusteczka jest czarna i pewnie lekko słona.

– Znacznie. Jesteś śliczną dziewczyną. Na zewnątrz i w środku. Wiesz o tym?

– Eee... dziękuję. – Jakie to dziwne, że w ciągu jednego dnia zostałam nazwana zarówno brzydką, jak i śliczną, chociaż zwykle bardzo rzadko słyszę te słowa. To pierwsze, ponieważ większość osób nie jest aż tak wredna ani prawdomówna, a to drugie, ponieważ nigdy mnie nie dotyczyło. Agnes nazwała mnie dzisiaj seksowną – tak też nikt mnie dotąd nie określał – chociaż uważam, że seksowność to coś kompletnie innego niż uroda. Seksowność wiąże się z zainteresowaniem facetów. Piękno – z wyglądem, który się podoba.

Tyle że mama Liama jest już w takim wieku, że wszystkie szesnastolatki uważa za ładne. Za to Gem widzi mnie bardziej obiektywnie.

– Jeśli chcesz, możesz wziąć dzisiaj wolne – mówi pani Sandler, a jej dobroć przeszywa mnie bólem. Przypomina mi, że jeśli wrócę do domu, to będzie to dom Rachel. Nie ma tam mamy, która mnie przytuli i pocieszy. Nie istnieje już żaden człowiek na tym świecie, który byłby zainteresowany tym, co mówię, tylko dlatego, że to słowa wychodzące z m o i c h ust. Scar próbuje, ale to nie to samo.

Mama nie robi mi kakao z miniaturowymi piankami marshmallows, nie zjemy wspólnie talerza chips ahoy! – na takie dogadzanie pozwalałyśmy sobie w kiepskie dni. Mama nie była zbyt surowa w podejściu do mnie: nie przejmowała się, kiedy dostałam czwórkę w teście z matny, który moim zdaniem napisałam świetnie, albo zapomniałam gdzieś ulubioną bransoletkę z charmsami. Później, kiedy faktycznie ciągle potrzebne jej było wsparcie, zostawiałyśmy nasze rytuały na najgorsze okazje: diagnozę nowotworu, a później niski poziom limfocytów, czy wreszcie określenie „przerzuty” użyte przez lekarza po obejrzeniu czarno-białego zdjęcia jej wnętrza.

Na końcu robiłam dwie porcje kakao i obie wypijałam. I zjadałam wszystkie słodczyce.

– Dziękuję, ale przydadzą mi się pieniądze – odpowiadam.

Myślę o piwnicy w domu Scarlett. To nie jest mój dom, ale w sumie coś najbliższego, co ten dom przypomina. Wielka sofa w kształcie litery „L”, potężny telewizor z ubiegłego wieku, tak samo głęboki jak wysoki. Delikatny zapach pleśni w powietrzu, zawsze łagodzony aromatem świeżego prania. Nie byłoby wcale aż tak źle. Szkoła wydawałaby się znajoma i łatwa po Wood Valley. Odzyskałabym Scarlett i może nawet moją dawną pracę w Smoothie King. Tata wręcz by nie zauważył mojej nieobecności. Może nawet poczułby ulgę, że nie musi się już mną przejmować. Dałabym radę. Na pewno.

Ja: Sofa u Was w piwnicy będzie dostępna na przykład po feriach zimowych?

Scarlett: Poważnie?

Ja: Poważnie.

Scarlett: ABSOLUTNIE. Chociaż będziesz musiała ją przetrzeć.

Ja: Dlaczego?

Scarlett: Powiedzmy, że to właśnie na niej ja i Adam... ten tego.

– Czyli wszystko dobrze? Wybierasz się gdzieś? – pyta mama Liama, przerywając moje intensywne pisanie. Wyraźny znak, że mam odłożyć telefon i dokończyć układanie książek. Dzisiaj nie jest dzień, w którym powinnam wylecieć z pracy.

– Słucham?

Pani Sandler pokazuje na coś za moimi plecami, a kiedy spoglądam w ślad za jej palcem, zauważam, że nieświadomie podeszłam do działu podróży.

Zmieniam miejsce.

o. Szkoda, że nie mogę pomóc. A Twój tata?

ROZDZIAŁ 23

Tata: Skarbie, czy możemy dzisiaj porozmawiać?

Nie odpowiadam. Od czasu naleśników sprzed ośmiu dni udawało mi się skutecznie unikać ojca. Najwyżej wymijaliśmy się na korytarzach domu Rachel. To jego pierwszy krok w stronę pokoju, ale mam to w dupie. Dlaczego zawsze muszę działać według jego harmonogramu? Być dostępna wtedy, kiedy jemu pasuje? Być dobrą córką, która niczego nie utrudnia? Zawsze grać tak, jak on zagra, i starać się, by nie miał wyrzutów sumienia w związku ze swoimi nietrafionymi decyzjami? Gdzie jest, kiedy to ja go potrzebuję?

Ożenił się z Rachel, niech do niej się teraz zwraca. Ja nie mam mu nic do powiedzenia.

Ja: Pracuję do późna.

Tata: Brakuje mi Ciebie.

Nie, nie mam mu kompletnie nic do powiedzenia.

ROZDZIAŁ 24

No i wreszcie nadszedł Dzień Dobroci Wood Valley. Postanawiam zaufać K/N i włożyć vansy, głównie dlatego, że nie mam żadnego obuwia roboczego, a jest za gorąco na moje buty zimowe, które są superwygodne, ale za to brzydkie jak noc – Gem zapewne popłakałaby się z radości, że tak się wystawiam. Wkładam starą koszulkę mamy z logo University of Illinois, była prana już tyle razy, że napis wyblakł, a do tego stare, postrzępione džinsy. Włosy zwiążuję w kitkę. To prawda, nie wyglądam elegancko, ale uznaję, że dzień spędzony na pracy fizycznej/pracach społecznych nie wymaga elegancji, nawet w Wood Valley. Wklepuję puder maskujący, żeby zakryć siniaka na nosie. Nauka nie poszła w las: tym razem żadnej maskary.

Szkoła jest dzisiaj zamknięta, zamiast lekcji mamy pracować dla Habitat for Humanity. Chociaż raz Theo chciał jechać ze mną – drżał, że się zgubi i ktoś mu ukradnie samochód. A przecież okolica nie różni się specjalnie od dzielnicy, w której się wychowałam. Jak się okazuje, to właśnie tutaj rozpaczliwie potrzeba dwustu bogatych dzieciaków, z których nikt nie miał wcześniej w ręku żadnego narzędzia.

Naszym zadaniem jest zbudowanie szkieletu budynku. Ktoś tego naprawdę nie przemyślał.

Gem też tu jest – ona jest wszędzie, razem z tą swoją Crystal – i nic z tym nie zrobię. Ma na sobie koszulę z wielkimi wycięciami pod pachami, a pod spodem połyskujący sportowy stanik, jeden z tych, które nie powinny istnieć, a za które jakiś procent kobiet gotów zapłacić mnóstwo pieniędzy. Na koszulce ma napis: „Nie żartuję, prawdziwa gangsterka”.

Teren jest całkiem spory – to działka, na której stanie budynek – ale i tak Gem jakimś cudem ciągnie do tego, czego szczerze nienawidzi, więc znajduje mnie. Przechodzi tak blisko, że trąca mnie ramieniem. Nie powinnam być zdziwiona, a jednak. Przeszywa mnie ostry ból, podejrzewam, że ją też musiało zboleć.

Tak samo jak mnie, a może nawet bardziej, bo jest koścista.

– Przepraszam – mówi głosem pełnym oburzenia. Dopiero co przyjechałam z Theo, nie miałam jeszcze czasu odszukać znajomych, a przynajmniej otoczyć się moim całkowicie nieskutecznym babskim teamem. Dri i Agnes nic by nie działały, ale zawsze.

Czego ta Gem ode mnie oczekuje? Sceny? Ciosu? Łez? A może daję jej dokładnie to, czego pragnie, gdy stoję i patrzę na nią z otwartymi ustami? Nie pojawiają się jednak żadne słowa, nawet takie zupełnie oczywiste, którymi lubi we mnie pluć.

– Naprawdę? – pyta Theo. Początkowo sędzę, że mówi do mnie, i ogarnia mnie poczucie takiej samotności, że chyba zaraz się rozpłaczę. W końcu dam ludziom to, czego chcą. – Jeszcze raz dotkniesz Jessie, a przysięgam na Boga, że ci wymaluję.

Theo mówi do Gem, nawet celuje palcem prosto w jej twarz. Wygląda całkiem złowrogo w tej swojej wersji społecznika: koszula drwała, flanelowa, w kratę, do tego designerskie jeansy i nieskazitelne, celowo niezasnurowane buty marki Timberland. Gem gapi się na niego, widzę gumę tkwiącą w jej ustach.

– Zamrugaj raz, żebyś wiedział, że rozumiesz, co do ciebie mówię – warczy Theo.

– Phi – wyrzuca z siebie Gem. W tej samej chwili dołącza do nas Liam. Radosny i niczego nieświadomy, zagradza jej drogę.

– Cześć wam – mówi. – Wszystkiego najlepszego z okazji Dnia Dobroci Wood Valley. – Uśmiecha się do mnie, jakby wczorajszy dzień nie miał miejsca. Jakby spędzanie czasu na dworze z „przyjaciółmi”

było świetną zabawą. W ręku trzyma młotek, jest gotów do działania. Niemal słyszę jego mamę, która chwali go za „nastawienie do pracy”. Na scenie wygląda jak gwiazda rocka, tutaj przypomina bardziej skauta z zaskórnikiem na brodzie. Nie jestem wielką fanką ani jednej, ani drugiej wersji, ale Dri? Jej się na pewno spodoba.

– Liam, trzymaj swoją laskę na smyczy, dobrze? – mówi Theo i odchodzi. Zadanie wykonane. Jednak chociaż jestem mu wdzięczna za wsparcie, czuję przerażenie. Stoję tu teraz sama jak idiotka.

– O czym on mówi? – Liam pyta Gem, ale widzę, że patrzy przy tym na mnie.

– O niczym – odpowiadam. Zauważam, że po drugiej stronie trawnika stoi Caleb i wpatruje się w swój telefon. Kurde. Moją pierwszą myślą było napisanie do Ktosia/Nikta – on zawsze potrafi podnieść mnie na duchu – ale równie dobrze mogę z nim pogadać. Jestem zbyt załamana, żeby bawić się w tę maskaradę. Poza tym przychodzi mi do głowy, że być może Caleb jest tu jedyną osobą, która zna się na rzeczy. W końcu zbudował szkołę. – Na razie, Liam.

Ruszam przed siebie, ledwo rejestrując, że Liam i Gem zaczynają się kłócić.

– Cześć – mówię, stając przed Calebem. Zamiast swojego zwyczajowego ubrania włożył bluzę z logo Uniwersytetu Kalifornijskiego i dzinsy poplamione farbą, a czapkę bejsbolówkę opuścił nisko, jakby chciał ukryć to, jaki jest przystojny. Nadal jednak wygląda na Kena, tyle że w wersji budowlanej. – Jak zawsze na komórce. – Uśmiecham się, to najbliższe flirtowi zachowanie, na jakie mnie stać. Mam nadzieję, że nie widzi moich siniaków.

– Taaa – odpowiada. – Dzięki Bogu Liam ją znalazł wtedy na imprezie. Nie wiem, jak bym bez niej przeżył.

– Hm. – Wycieram czoło przesadnym gestem. Pewnie wyglądam jak idiotka.

– Jeśli chodzi o tę kawę...

– Tak jak wspominałam, nie musimy. Ja tylko... – Chcę powiedzieć: „Lubię codziennie z tobą rozmawiać. Wyczekuję trzech rzeczy, które mi o sobie powiesz. Myślę o tobie. Często. Przenieśmy to do realu”.

Oczywiście, nic z tego nie mówię. Nie wiedzieć czemu, on woli utrzymywać kontakty wirtualne.

– Nie, z chęcią, naprawdę. Wdrażanie nowicjusza w tajniki naszej szkoły będzie zabawne. Może w czwartek po lekcjach?

– Jasne.

– Super – odpowiada i znów salutuje mi komórką. To taki dziwaczny sygnał: „Pogadamy później na czacie”. Nie jest mi miło w związku z tym, jak mnie spławił – ewidentnie nie chce ze mną gadać – ale chwilę później moja komórka pika.

Ktoś/Nikt: ratujemy świat, gwóźdź za gwóździem.

Ja: Będę dzisiaj spała snem sprawiedliwego, wiedząc, że zrobiłam dobrych uczynków na cały rok.

Ktoś/Nikt: Twój sarkazm jest uroczy.

Ja: Doprawdy?

Ktoś/Nikt: doprawdy.

Dri ściska mnie tak, jakbyśmy wcale się nie widziały niecałe dwadzieścia cztery godziny wcześniej, jakby nie pisała do mnie dziesięć razy poprzedniego wieczoru, by się upewnić, czy nic mi nie jest. Najwidoczniej ma wyrzuty sumienia w związku z tym, że mi wczoraj nie pomogła, ale co niby miała

zrobić? To ja dałam sobie podłożyć nogę.

– Uwielbiam Dzień Dobroci – mówi i mruży oczy, żeby przyjrzeć się stojącemu na drabinie Liamowi. Zdjął koszulkę, świeci imponującym, chociaż nie do końca idealnym kaloryferem, i mnóstwem piegów. – Niezły widok.

– Wiem, wiem. Ona tylko o jednym. – Agnes rzuca mi przepraszające spojrzenie. – Sorry w związku z tym, co zmalowała Gem. Chcesz, żebym skopała jej tyłek?

– Cudownie byłoby na to popatrzeć, ale dzięki. – Tyle osób zaoferowało się skopać komuś tyłek w moim imieniu, odkąd tu się przeprowadziłam, że aż czuję wdzięczność. Co prawda wolałabym nie wymagać obrony, ale miło wiedzieć, że parę osób za mną stoi. – Moim rycerzem w złotej zbroi był dzisiaj Theo.

– Naprawdę? Theo? – Dri nie dowierza.

– Taaa. Jestem tak samo zszokowana jak ty.

– No proszę, rodzina ponad wszystko – stwierdza Agnes.

– Może rzeczywiście tak jest – odpowiadam, patrząc na Theo, który odnalazł Ashby – już nie ma różowych włosów, tylko wstrząsająco białe – i teraz śmieją się oboje gdzieś na uboczu, kompletnie niezainteresowani uczestnictwem w dzisiejszych pracach. Jestem prawie pewna, że widzę, jak Theo skręca sobie grubego jointa.

Obiad to pełny bufet, potrawy na aluminiowych tacach ustawionych na palnikach. Żadne bzdurne kanapki. Mam wrażenie, że Gloria tu była, może to wkład Rachel w Dzień Dobroci Wood Valley. Ale nie, jak się okazuje, za wszystkim stoi ojciec Gem. Na stole jest nawet kartonik z napisem: „Dziękujemy rodzinie Carterów za tę organiczną ucztę!”.

Ja pierniczę. Zastanawiam się, czy to znaczy, że nie mogę jeść.

– Bez przesady. Niech cię Gem nie powstrzymuje – mówi Ethan, a ja podskakuję, nie tylko dlatego, że nie zdawałam sobie sprawy z jego obecności, ale także ponieważ czytał mi w myślach.

– Wiem, że to głupie, ale...

– Nieee. Wcale nie głupie, ale mogę cię zapewnić, że jeśli jest tak smacznie jak w zeszłym roku, szkoda, żeby cię to ominęło. Przełknij dumę.

– To nie duma, tylko nie chcę dawać jej kolejnego powodu, żeby na mnie naskakiwała.

– Naprawdę? Myślałem, że jesteś twardsza – odpowiada, po czym bierze dwa talerze i napełnia je jedzeniem. A potem jeden mi podaje.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – pytam.

Wzrusza ramionami i daje znak, żebym za nim szła, co oczywiście robię. Zauważyłam, że Ethan ma dar znajdowania wolnego miejsca i rozsiadania się w nim tak, jakby był u siebie w domu. Udało mu się nawet tutaj, chociaż przecież to plac budowy, na którym spędzamy zaledwie jeden dzień. Siada na ziemi pod niską ścianką przyszłej kuchni, w cieniu olbrzymiego drzewa grejpfrutowego, z dala od reszty klasy.

– Słuchaj. Przepraszam za wczoraj – mówi.

– Ale dlaczego? Przecież nic nie zrobiłeś – odpowiadam. Siadam obok i zaczynam jeść. Miał rację: jedzenie jest przepyszne. Cheeseburgery, tyle że ser nie jest żółty ani topiony, zapewne ma francuską nazwę, której nie potrafiłabym wymówić, a burger przypomina burgera jedynie swoim kształtem. Wołowina z Kobe, jak głosi napis na maleńkiej chorągiewce wbitej w sam środek, jakby to miał być jeden mały krok dla człowieka, ale wielki skok dla ludzkości.

Prawdziwa gangsterka, ja cię kręcę.

„To świat Gem” – myślę. „Reszcie po prostu jest dane w nim żyć”.

– No właśnie – mówi Ethan. – Siedziałem i słuchałem, jak one mówią te wszystkie gówna, i udawałem, że ich nie słyszę, bo to taki idiotyzm, że nie warto zaprzętać sobie nim głowy. Ale nie wiem. Powinienem być coś powiedzieć. I przykro mi, że nie zauważyłem jej nogi.

– Nie musisz mnie chronić – stwierdzam. Odruchowo sięgam ręką do siniaka.

– Mimo wszystko powinienem. Boli? – pyta. Jego ręka unosi się, jak gdyby chciał dotknąć mojej twarzy, ale reflektuje się i ją opuszcza.

– Trochę – przyznaję.

– Zaslugujesz... Nie wiem... – Wzrusza ramionami i przez ułamek sekundy mam wrażenie, że się rumieni. W głowie słyszę głosy Agnes i Dri: „On jest jakby pokancerowany. I nigdy nie chodził z żadną dziewczyną ze szkoły”. – Nie żebym...

– Wiesz, na co zasługuję? Na najlepszą ocenę z angielskiego – mówię. I niech się Gem pieprzy, bo wznosimy z Ethanem toast naszymi wykwintnymi burgerami.

– Dzięki – mówię do Theo, kiedy wracamy do domu. Mijamy małe domki, miniaturowe centra handlowe z napisami po koreańsku, myjnie samochodowe i sieci fast foodów. Do wyboru tysiące hamburgerów nie z Kobe.

– To nic takiego.

– Ale i tak dziękuję. Nie musiałeś. – Udaję, że jestem bardzo skupiona na wykonywaniu trudnego zakrętu w lewo, w rzeczywistości czuję zakłopotanie. To podziękowanie jest trochę jak przeprosiny, chociaż nie wiem dlaczego. Ostatnio mam wrażenie, że moje istnienie jest dla wszystkich ciężarem.

– Gem nazwała mnie kiedyś ciotą – mówi tak cicho, że początkowo nie jestem pewna, czy go dobrze usłyszałam.

– Poważnie?

– Taaa. No wiesz, to było strasznie dawno temu, ale po raz pierwszy usłyszałam wtedy to słowo. Po powrocie do domu zapytałam o nie tatę. Podszedłem i powiedziałem: „Tato, co to jest ciotka?”. – Theo wygląda przez okno. Dłoń przyłożył do szyby, niczym dziecko uwięzione w długiej podróży, rozpaczliwie pragnące kontaktu z innymi pasażerami na drodze.

Nie ma wyraźniejsz

– Co odpowiedział twój tata? – Jestem ciekawa, jaki był. Czy Rachel ma jakiś typ faceta. Wyobrażam go sobie jako mężczyznę większego niż mój ojciec, przystojniejszego, ubranego w koszulę z wyhaftowanym graczem w polo i wyprasowane przez Glorię spodnie. W domu nie ma jego zdjęć, co byłoby dziwne, gdyby nie fakt, że w ogóle nie ma ich tam zbyt wielu. Jakby Theo przyszedł na świat jako nastolatek, w swojej obecnej postaci. Nie istnieje żaden dowód na to, że kiedykolwiek był tłustym niemowlakiem.

Ściany w naszym starym domu były pokryte fotografiami. Każde moje szkolne zdjęcie zostało oprawione w ramkę i powieszzone, nawet te, na których miałam zamknięte oczy, potargane włosy albo znajdowałam się na żenującym etapie – aparat na zębach i grube dziecięce ciało. I to wszystko w porządku chronologicznym. Moja osobista linia czasu pnąca się ku górze.

Kto wie, może Rachel uważa, że zdjęcia rodzinne, tak samo jak kolory, gryzą się z jej wnętrzami.

– Tata świetnie do tego podszedł. Oznajmił, że to nieładne słowo i że są lepsze określenia chłopców, którym podobają się chłopcy. Powiedział, że wszystko będzie w porządku, jeśli któregoś dnia ja też stwierdzę, że wolę chłopców. I wszystko będzie w porządku, jeżeli wybiorę dziewczyny. Że mnie kocha bezwarunkowo. – Głos mu się załamuje. Nie patrzę na niego, wzrok wbijam w drogę. Czekam. – Miałem szczęście. Nie musiałem przyznawać się rodzicom. Od początku wiedzieli i nie robili z tego problemu.

Nawet nie tyle, że nie robili, po prostu zachowywali się super. Uważali, że to coś, po czym nie ocenia się człowieka. Jak kolor włosów.

– Wychodzi na to, że miałeś naprawdę fajnego tatę.

Theo kiwa głową.

– Żałowałaś kiedykolwiek, że nie jest odwrotnie? – pyta.

– To znaczy?

– Że to twój tata zamiast mamy...

– Szczerze? Nieustannie żałuję.

– Mojej mamie pękłoby serce, gdyby to usłyszała, ale on mnie rozumiał, wiesz? We wszystkim.

– Mój tata chyba zdaje sobie sprawę, że gdybym mogła, zamieniłabym ich miejscami. Może dlatego mnie unika. Mam to wypisane na twarzy. – Gdy to mówię, dociera do mnie, że to nieprawda. Po prostu Rachel jest bardziej interesująca niż ja.

Mama zachorowała mniej więcej wtedy, kiedy powinnam była przestać chcieć spędzać czas z rodzicami – kiedy przyciąganie miało się przerodzić w odpychanie – ale to nigdy nie nastąpiło. Nie tylko kochałam mamę, ja ją też lubiłam. I chociaż ona była biologicznie zobligowana do miłości wobec córki, jestem pewna, że także mnie lubiła.

– Może przypominasz mu swoją mamę, a on chciałby zapomnieć – mówi Theo. To słodkie z jego strony, że próbuje go bronić.

– Może – mówię, chociaż nie wydaje mi się, żeby o to chodziło. Nie byliśmy do siebie podobne ani z wyglądu, ani z charakteru. Ona była odważna i wygadana, to Scarlett przypomina ją bardziej niż ja. Często żartowała, że w życiu by nie uwierzyła, iż jestem jej córką – fizycznie różniłyśmy się pod każdym możliwym względem – gdyby nie widziała na własne oczy, jak z niej wychodzę.

Wiem, że nie przypominam ojcu mamy, ale po raz pierwszy zaczynam się zastanawiać, czy i on by się nie zamienił – mama za mnie – gdyby istniała taka możliwość.

– Przyjaźnisz się z Ethanem, no nie? – pyta Theo ni z gruszki, ni z pietruszki, ale jestem mu wdzięczna za zmianę tematu. Nie chcę myśleć o rodzicach. O tym, jak niewielki wpływ mamy na własne życie.

– Tak. Chyba. Tak jakby. Nie wiem.

– Widziałem, że razem jedliście.

– Robimy wspólny projekt na angielski. *Ziemia jałowa*.

– Jasne. Tylko – nie chcę odgrywać roli starszego brata...

– To ja jestem od ciebie starsza.

– Nieważne. Po prostu bądź ostrożna. Nie chcę straszyć ani nic, ale mam wrażenie, że on ma... problemy.

– Na zasadzie Taylor Swift czy naprawdę?

Dri użyła słowa „pokancerowany”, co zabrzmiało, jakby był jakimś wadliwym sprzętem.

– Nie wiem. Może to tylko plotki. Ale być może bierze poważne gówna. Jak jego brat.

– Nie rozumiem. Masz na myśli narkotyki? – Ten brat pewnie jest starszy i się wyprowadził, bo Ethan nigdy o nim nie wspominał. To zabawne, ale będąc jedynaczką – bez rodzeństwa, ciotek i wujków (moi rodzice też byli jedynakami) – zapominam, że inni ludzie żyją w tłoku. Model rodziny składającej się z większej liczby osób niż trzy, ukształtowanej inaczej niż trójkąt, wydaje mi się zupełnie nienaturalny. Chociaż teraz, jak o tym myślę, dochodzę do wniosku, że moja rodzina ma obecnie tylko jeden wymiar: to linia prosta.

– Taaa.

– Nie wydaje mi się, żeby Ethan miał problem z narkotykami.

Oczywiście nie istnieją żadne podstawy mojej obrony. Nie mam pojęcia, co on robi, dokąd chodzi. Trzy razy w ciągu tego tygodnia widziałam, jak opuszcza teren szkoły w czasie przerwy obiadowej i wraca tuż przed angielskim. Jest wtedy wycofany, otepiały, ale z drugiej strony – zawsze się taki

wydaje. Za to na scenie wyglądał jak ktoś, kto mógłby spędzać całe dnie i noce, dając sobie w żyłę.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz. On zawsze sprawia wrażenie sponiewieranego, a do tego ma totalnie popieprzoną rodzinę. Nie masz nawet pojęcia.

– Mam serdecznie dosyć tego, jak wolno poznaję świat Wood Valley – mówię. Zastanawiam się, jak by to wyglądało – jaka byłabym – gdybym dorastała z tymi wszystkimi ludźmi, znała ich rodziny, historie, dziwne fazy, które przechodzili. Kompletnie nie wychodzi mi nadrabianie zaległości.

– Ja tylko mówię, żebyś zachowała ostrożność – dodaje Theo.

Myślę o oczach Ethana – o sińcach, które znajdują się pod nimi, o powiekach, jasnoniebieskim środku – i uświadamiam sobie, że być może nie będę zdolna do ostrożności. Ponieważ myślę o tych oczach, otwartych, wpatrzonych we mnie, a także zamkniętych, śpiących na imprezie u Gem. Myślę o jego dłoniach podających mi talerz, niemal dotykających mojej poturbowanej twarzy. Myślę o tym wszystkim i jeszcze o tym, jak bardzo chciałabym całować te oczy i te dłonie.

Całego Ethana. Wszystkie jego pokancerowane części. Po prostu jego całego.

ej oznaki samotności niż dłoń na szybie. Może dlatego, że tak rzadko ktokolwiek odwzajemnia ten gest.

ROZDZIAŁ 25

Ja: Frytki czy chipsy?

Ktoś/Nikt: łatwe. frytki zawsze i wszędzie. ketchup czy salsa?

Ja: Ketchup. Harry Potter: filmy czy książki?

Ktoś/Nikt: nie spodoba Ci się moja odpowiedź... ale szczerze? filmy.

Ja: Poważnie??

Ktoś/Nikt: wiem, wiem. nie powinno się przyznawać do tego, że woli się filmy od książek, ale bez przesady. powiem dwa słowa: Emma Watson. Starbucks czy Coffee Bean?

Ja: Starbucks.

Ktoś/Nikt: ja też.

Ja: Gwiezdne wojny czy Star Trek?

Ktoś/Nikt: ŻADNE.

Ja: :-) ja też.

Wracam do domu i znajduję Rachel w moim pokoju, po czym przypominam sobie, że przecież to wcale nie jest mój pokój. To pokój gościnny Rachel, a to, że w nim sypiam, potwierdza jedynie wszystko, co już i tak wiem: jestem tu intruzem. Rozglądam się w obawie, że zostawiłam otwarty laptop. Nie chciałabym, żeby zobaczyła moje rozmowy z K/N, a już Boże broń moją historię przeglądania w Google, pełną pytań zaczynających się od: „Czy to normalne, że...”. Staniki i stringi tkwią w szufladach, brudna bielizna w wiklinowym koszu, który Gloria wspaniałomyślnie mi zapewniła. Tampony też są pochowane. Nawet szczoteczkę do zębów schowałam do szafki razem z moimi kosmetykami, tak więc półki w łazience świecą pustkami, nie licząc wypasionych mydełek Rachel.

– O, witaj – odzywa się, udając, że nie przyglądała się jedynej rzeczy, jaka znajduje się na wierzchu: zdjęciu przedstawiającemu mnie i mamę. – Czekałam na ciebie.

– Okej – odpowiadam chłodno, ale grzecznie. Jestem wściekła na tatę i moja złość mogłaby przejść także na Rachel, ale nie mam pojęcia, jak funkcjonuje przybrana rodzina. Moi rodzice stanowili całość i nie tolerowali rywalizowania o względy jednego kosztem drugiego. Zwykle, kiedy byłam zła na jedno z nich, złościłam się na oboje. Rachel jest mi jednak obca i przysięga małżeńska złożona mojemu tacie niczego w tej kwestii nie zmienia.

– Twój tata twierdzi, że z nim nie rozmawiasz – mówi, po czym siada na moim łóżku, czy raczej jej łóżku – jak zwał, tak zwał. Siedzi tam, gdzie ja śpię, a wolałabym, żeby tego nie robiła.

– Nie jestem pewna, czy to twoja sprawa – odpowiadam i natychmiast tego żałuję. Pomimo ostatnich perypetii z ojcem stawanie do konfrontacji nie leży w mojej naturze. Gdy ktoś wpadnie na mnie na korytarzu, moją pierwszą reakcją są przeprosiny.

Ale teraz może wcale nie powinnam przeproszać. Kim ona jest, żeby się wtrącać? Ja z nią ślubu nie brałam.

– Masz rację. To sprawa pomiędzy tobą i twoim tatą. Ja tylko chciałam coś ci dać. To znaczy... chcieliśmy dać ci oboje, ale twój tata powiedział, że skoro to mój pomysł, to ja powinnam... Proszę. – Rachel podaje mi złożoną kartkę.

– Co to jest? – Zastanawiam się, czy to eksmisja na piśmie albo coś w tym stylu. Zerkam na papier i już widzę, że to nie czek. Szkoda, akurat pieniądze by mi się przydały.

– Otwórz – mówi, więc to robię. Lot: LAX do ORD na następny weekend. Bilet powrotny.

– Nie rozumiem.

– Pomyśleliśmy, że pewnie chciałabyś odwiedzić swoje miasto. Zobaczyć się ze Scarlett, spotkać ze starymi przyjaciółmi. Podobno bardzo za wszystkim tęsknisz – wyjaśnia i bierze do ręki zdjęcie. Podejmuje świadomą decyzję, żeby przyjrzeć się mnie i mojej mamie i pokazać mi, że się nam przygląda. Patrzy, jak przywieram do nogi mamy niczym rzep. A może wcale nie patrzy na mnie, tylko próbuje wy badać mamę, pierwszą żonę swojego męża. Chcę, żeby odłożyła zdjęcie, nie podoba mi się, że jej palce zostawiają na nim ślady.

– Kto powiedział, że tęsknię? – pytam, a to idiotyczne pytanie. Oczywiście, że tak jest, czasami ogarnia mnie taka nieprzemierzona tęsknota, że mogłabym ją przyrównać do grypy żołądkowej. Gwałtowna, nieustępliwa. Żadnego lekarstwa, trzeba przeczekać, aż minie.

– Rodzice Scarlett zadzwonili do twojego taty – wyjaśnia Rachel i wreszcie odkłada fotografię. Muszę się powstrzymać z całych sił, żeby jej nie odwrócić przodem do łóżka. Żeby nie przetrzeć ściereczką szybki. Żeby to zdjęcie znów należało do mnie. – To naturalne, że tęsknisz, przecież to wielka zmiana. Dla nas wszystkich.

Czy to, co przemknęło przez jej twarz, to był żal? Czy żałuje, że wyszła za mojego ojca, i marzy o prostym sposobie wyjścia z tego wspólnie popełnionego błędu?

– Moment, że co? – Rodzice Scarlett zadzwonili do taty? Powiedzieli mu o moich planach zaanektowania sofy w piwnicy? Co ta Scarlett im nagadała? Nie wiem, czy powinnam się wściekać, czy cieszyć, bo właśnie trzymam w ręku bilet lotniczy, który zabierze mnie do domu, do Scarlett i dobrze znanego mi życia, i to wszystko w czasie krótszym niż sześć godzin. W tę stronę nie lecieliśmy samolotem. Przyjechaliśmy samochodem, przemierzając mnóstwo stanów. Płaski świat pozbawiony życia: długie kilometry, podczas których otaczał nas wyłącznie pył i kurz. Sporadyczne przystanki w McDonalddie, żeby coś przekąsić i skorzystać z toalety, stacje benzynowe i noclegi w tanich motelach. Mój umysł jest tak pusty i nijaki jak tamte drogi. Tak odrętwiała jak Ktoś/Nikt, gdy gra na konsoli.

W podróży prawie nie rozmawialiśmy ze sobą. Być może tata próbował, nie wiem. Temat Rachel pojawił

– Rachel to niesamowita kobieta, sama się przekonasz. Nie martw się. Zobaczysz – rzucił, chociaż nie powiedziałam, że się martwię. W ogóle nic nie powiedziałam.

– Mama Scarlett się niepokoiła. I szczerze mówiąc, ja też – oznajmia Rachel. – Jedź, baw się dobrze. Wróc z nowymi siłami. Twój tata... uratował mi życie. Jest prawdziwy i normalny, rozumie, przez co przeszłam. Jestem mu za to bardzo wdzięczna. Różnimy się, ale razem jesteśmy silni. Cali. Musisz jednak wiedzieć, że ja doskonale zdaję sobie sprawę, iż to wszystko – dosłownie wszystko – wiele cię kosztuje.

Jest zasadnicza. Rzeczowa. I chociaż raz mówi nie za głośno.

– Wszyscy w tym domu rozumiemy, jak trudne jest zaczynanie wszystkiego od początku – dodaje.

Zerkam na bilet. Wylatuję w piątek rano, wracam w niedzielę wieczorem.

– A co ze szkołą?

– Theo wyśle ci mailem notatki, my usprawiedliwimy twoją nieobecność. Zasłużyłaś sobie na to. – Rachel klepie łóżko obok siebie, zaprasza, żebym usiadła. W połowie kroku zdaję sobie sprawę,

że zrobiłam już dwa okrążenia wokół pokoju.

Siadam i wpatruję się w bilet. W czwartek kawa z K/N vel Calebem i wreszcie spadnie maska – mam taką nadzieję. A potem wyjeżdżam. Przepadnie mi cotygodniowe spotkanie z Ethanem w sprawie *Ziemi jałowej*, ale on to zrozumie. Będziemy oglądały kiepskie programy w telewizji, przygotujemy sobie popcorn w mikrofalówce i zjemy prawdziwą pizzę, a nie to pełnoziarniste gówno, które serwują w Kalifornii. Ja będę mówić, Scarlett będzie słuchać, bez zbędnych wyjaśnień. Znamy się zbyt długo, żeby to było konieczne. Z chęcią wypiję nawet zieloną herbatę, którą zawsze zaparza jej mama – kiedyś uważałam, że smakuje jak siki, ale teraz przypomina mi dom.

– Dziękuję – mówię i zmuszam się, by spojrzeć Rachel prosto w oczy. Zdaję sobie sprawę, że to nie zasługa taty, wielkie gesty nie są w jego stylu. A przynajmniej nie były, zanim ożenił się z Rachel. Zresztą kupno biletu lotniczego to większy wydatek. – Ja...

Oczy nabiegają mi łzami, wbijam wzrok przed siebie, żeby nad nimi zapanować. Nie teraz. Nie tutaj. Łzy pojawiają się zawsze wtedy, kiedy są niemiłe widziane, prawie nigdy w głęboką i cichą noc, gdy pustka jest tak rzeczywista jak fantomowa kończyzna. Gdy mogłyby przynieść choć cień ulgi.

– Nie ma za co. – Rachel wstaje. – Ale jest jeden warunek.

Czekam na dalszy ciąg. Czego ona może ode mnie chcieć? Pieniądzy za to, że tu mieszkam? Pogodzenia się z tatą?

– Musisz wrócić.

Ja: OMG! OMG! OMG! 2 noclegi!

Scarlett: Wow! Wow!

Ja: Co ty powiedziałaś rodzicom? Bo najwyraźniej się przerazili.

Scarlett: Gadali o zrobieniu sali do ćwiczeń w piwnicy, oznajmiłam, że może powinni zaczekać i przekonać się, czy nie wrócisz, a wtedy oni: ŻE CO?

Ja: Nieważne. Wracam do domu! Wracam do domu!

Scarlett: Nie mogę się doczekać. Nie będziesz chyba miała nic przeciwko obecności Adama, co? Mieliśmy plany na sobotę i...

Ja: Eee, nie. Pewnie, że nie.

Scarlett: Może powinnam zrobić imprezę powitalną?

Ja: Wiesz dobrze, że nie jestem wielką miłośniczką imprez.

Scarlett: Ale nie imprezę imprezę. Raczej spotkanie towarzyskie.

Ja: Hurrraaa! Wracam do domu!

• • •

Ja: Nie zgadniesz.

Ktoś/Nikt: no nie.

Ja: ?

Ktoś/Nikt: sorry. co?

Ja: JADĘ DO DOMU!!! Tylko na trzy dni, ale zawsze.

Ktoś/Nikt: !!!! cieszę się w Twoim imieniu. ale...

Ja: Ale co?

Ktoś/Nikt: WRÓCISZ, PRAWDA?

Ja: :-)

Ktoś/Nikt: emotikony są zbyt zagadkowe. powiedz: wracam.

Ja: Wracam. Ale nie wiem, czemu miałbyś się tym przejmować. Z Chicago też możemy do siebie pisać.

Ktoś/Nikt: to nie to samo. poza tym lubię widzieć cię codziennie.

Ja: Widzisz mnie codziennie?

Ktoś/Nikt: nie kombinuj, panno Holmes.

• • •

Ja: Cześć. Musimy przełożyć ten piątek. Wyjeżdżam do domu na weekend.

Ethan: Ale gdy wracaliśmy, późno, z Hiacyntowego Ogrodu/ I miałś pełne ręce, mokre włosy, ja nie mogłem już/ Mówić i ćmiło mi się w oczach, i nie byłem/ Żywy ani umarły. Nie wiedziałem nic,/ Zapatrzone w serce światła, w ciszę.

Ja: To mój ulubiony fragment. Rozumiem, o co w tym chodzi. O niemożność mówienia. Nieczucie się ani żywym, ani umarłym.

Ethan: Jak ja.

Ja: Może gdybyś sypiał więcej...

Ethan: Ha! Pewnie jesteś przeschęśliwa.

Ja: Jeszcze jak.

Ethan: To dobrze. Zjedz za mnie kawał grubej pizzy.

Ja: Tak zrobię. Spotkamy się w tygodniu, żeby nadrobić pracę?

Ethan: Jasne. Poniedziałek po lekcjach.

Ja: Pewnie. Podejrzewam, że do tego czasu nauczysz się na pamięć całości.

Ethan: Już umiem.

Czy narkoman poświęcałby czas na uczenie się na pamięć poezji? Theo musiał się mylić. Ethan nie

bierze niczego. Cierpi na bezsenność i może jest pokancerowany, cokolwiek to oznacza. Tyle że ja dobrze wiem, co to oznacza. Komu próbuję mydlić oczy? Sama też jestem pokancerowana.

się tylko raz, podczas obiadu w Arby's, jakby tata odpowiadał na pytanie, którego nawet nie zadałam.

ROZDZIAŁ 26

Nie mogę jeść, jestem zbyt zdenerwowana. Za parę godzin idę na pierwszą randkę z Calebem, chociaż w zasadzie to nie randka i nawet nie wiem, czy można ją nazwać pierwszą, skoro ciągle rozmawiamy na czacie. Poprzedniej nocy tak długo do siebie pisaliśmy, że zasnęłam z komputerem na kolanach, a kiedy się obudziłam, na ekranie widniały jego słowa: „Trzy rzeczy: 1. dzień dobry. 2. mam na twarzy odciski klawiatury, litery *sdfgh*. 3. wyjeżdżasz za 24 godziny, będę za Tobą tęsknił”.

– Nie kupuję tego, że Caleb to K/N – mówi Agnes, kiedy po raz piąty odmawiam frytek, bojąc się, że je zwymiotuję. – To znaczy Dri ma rację, on jest wystarczająco dziwny, ale nie wiem. Nie jest nieśmiały. To najbardziej bezpośredni facet, jakiego znam.

– Ale kiedy tylko powiedziałam mu, gdzie pracuję, od razu mnie odwiedził. I widziałam, że pisze coś na komórce właśnie wtedy, kiedy rozmawialiśmy na czacie. I za każdym razem, gdy do niego podchodzę, wykonuje dziwaczny gest telefonem, jakby chciał powiedzieć: „Napiszę do ciebie”. I chwilę później zawsze pisze. I zacytował to, co powiedziałam w realu. To musi być on.

– To on, na sto procent – stwierdza Dri. – I jestem pod wrażeniem, że zrobiłaś pierwszy ruch. Masz, dziewczyno, jaja. – Dri nie patrzy na nas, gapi się na Liama, który siedzi po drugiej stronie stołówki, daleko od Gem. – Myślisz, że zerwali ze sobą?

– Nie mam pojęcia – mówię i wzruszam ramionami. – I nic mnie to nie obchodzi.

– Może udało ci się rozbić Gemiam.

– Gemiam?

– Gem i Liam. Gemiam.

Przewracam oczami na te słowa.

– Chcę pogadać o Jessalebie. Myślę, że bym wiedziała, gdyby zmarła mu siostra – mówi Agnes, a ja czuję ucisk w żołądku.

– Przecież powiedziałaś, że on nigdy o niej nie mówi. – Dri ma podzielną uwagę. Rozmawia z nami, a jednocześnie bacznie przygląda się Liamowi. Mogłoby się to za bardzo rzucać w oczy, ale Liam nie ma bladego pojęcia, że jest obserwowany. Mam nadzieję, że Gem tego nie zauważy. – No i krążyły różne plotki.

– No tak, słyszałam, że się tnie i ma poważne zaburzenia odżywiania, więc kto wie. Ale myślałam, że rodzice wysłali ją do szpitala psychiatrycznego na Wschodnim Wybrzeżu, a nie że z sobą skończyła.

Agnes mówi niedbałym tonem, jakbyśmy omawiały postać z książki, a nie człowieka z krwi i kości. To, czy osoba w realnym świecie żyje, czy umarła. Uderza mnie bezduszość, z jaką umniejszamy problemy innych: „Tnie się”. „Poważne zaburzenia odżywiania”. Jak łatwo przychodzi nam wypowiadanie tych słów.

Żałuję, że w ogóle wspominałam o jego siostrze. Czuję się, jakbym zdradziła Caleba, ujawniła tajemnice, które nie należały do mnie. Dobrze, że nic nie powiedziałam o jego mamie.

– Może mówił w przenośni. Że c z u j e s i ę, jakby jego siostra umarła – sugeruje Dri, ale kręcę głową. Caleb wcale nie wyrażał się niejasno. – Albo powiedział to tylko po to, żeby się do ciebie zbliżyć, no wiesz, ze względu na twoją mamę.

Chwytam frytkę z talerza Agnes i żuję ją pomału. Potem zapytam Caleba, o ile znajdę w sobie odwagę. Nigdy nie życzyłam nikomu śmierci, ale byłoby naprawdę paskudnie, gdyby się okazało, że ściemniał. Nie, Caleb naprawdę stracił bliską osobę. Jesteśmy wybrańcami, klubem osieroconych krewnych,

potrafię rozpoznać, kto mówi prawdę. On też liczy dni, tak jak ja.

Nikt nie mógłby sobie tego wymyślić.

Na angielskim Gem zajmuje swoje miejsce i nawet na mnie nie patrzy. Widzę jej proste plecy, kitkę, która śmiga z niezadowoleniem, kawałek czoła. Ma taką klasyczną urodę, powszechnie podziwianą, aż ciężko nie patrzeć. Nienawidzę się za to, ale strasznie chciałabym wyglądać tak jak ona, rzucać czar bez otwierania ust. Mieć ciało składające się ze szczupłych, proporcjonalnych elementów, niczym złożone w całość fantazje rodzaju męskiego.

Ciekawe, czy Ethan też na nią patrzy. Czy też się nie może powstrzymać.

Czy w nocy myśli o niej tak, jak ja myślę o nim.

Próbuję tego nie robić. Znaczy nie myśleć. Staram się podstawić Caleba na miejsce Ethana, ale to nigdy nie działa. Może i spędzam popołudnia, czatując z Calebem, ale w snach towarzyszy mi Ethan. Jest w nich w pełni obudzony, ma chętnie dłonie, jego oczy się we mnie wpatrują. W snach nie boję się zażyłości, nawet seksu, nie boję się niczego. Nie czuję się brzydka, nie porównuję swojego ciała do ciała Gem. Jestem piękna, silna i odważna.

Rano budzę się zarumieniona i smutna, gdy rzeczywistość zmywa to, co czułam we śnie. A kiedy myję twarz przed lustrem, widzę prosaki, czerwone plamy i okrągłe policzki.

– Jessie Holmes? – pyta pani Pollack. Ciekawe, jak długo mnie wywołuje.

– Eeee, tak?

– Odpowiesz na moje pytanie? – Nagle uświadamiam sobie, że nauczycielka chodziła po klasie. Otrzymałam mnóstwo ostrzeżeń, wiedziałam, że będę następna, a i tak zatopiłam się w myślach. Patrzę na panią Pollack, jest atrakcyjna, być może w szkole średniej przypominała Gem. Mogę się założyć, że nigdy nie miała żadnego pryszczka.

– Przepraszam, ja... – Wszyscy na mnie patrzą, Gem i Crystal prychną w duecie, a ja oblewam się czerwienią. Czuję, że po prawej skroni zaraz ścieknie mi kropla potu. W Chicago angielski był moim ulubionym przedmiotem. – To znaczy ja nie uwa...

– Ta scena z Raskolnikowem w jego domu, z matką i siostrą. Kiedy udaje, że wszystko jest normalne, chociaż zaczyna już tracić zmysły. – Ethan wchodzi mi w słowo i chociaż nie mam pojęcia, o czym mówi, jego odpowiedź najwyraźniej satysfakcjonuje panią Pollack, która przechodzi na przód klasy i pisze coś na tablicy.

– Właśnie tak – mówi i rzuca mi ostatnie spojrzenie, które zbija mnie z tropu. Ponieważ nie ma w nim gniewu. Ani nawet litości. To coś zupełnie innego. Empatia.

– Dzięki – zwracam się do Ethana po lekcji, kiedy wychodzimy na korytarz. – Uratowałeś mnie.

– Cała przyjemność po mojej stronie, Kłaczusiu.

– Mam nadzieję, że nie zepsuję ci oceny naszym projektem. – Bawię się torbą,

– Nie obawiam się. – Ethan się uśmiecha, więc spoglądam mu prosto w oczy, by skąpać się w ich błękiecie. Nie, to nie są oczy seryjnego mordercy, jak początkowo sądziłam. Są bardziej nieodgadnione. W głowie słyszę ostrzeżenie Theo i sprawdzam, czy nie ma rozszerzonych źrenic, ale według mnie wyglądają normalnie.

– To dobrze – odpowiadam. Nic błyskotliwego. Ani kokieterijnego. W ogóle nic szczególnego. Może

za godzinę przyjdzie mi do głowy lepsza riposta, coś zabawnego i lekkiego, co podsumuje sytuację.

Chwilowo jednak pustka.

Ethan drapie się po głowie, jakby próbował obudzić włosy. Znowu się uśmiecha.

– Szczęśliwej podróży jutro.

– Dzięki.

– Nie zapomnij tylko o nas – mówi, a zanim zdolałam wyartykułować pytanie (Co ma na myśli, mówiąc: „O nas”? Wood Valley? Los Angeles? Jego i mnie?), wychodzi ze szkoły i rusza przez parking do swojego auta.

Czekam przy drzwiach na Caleba, kręcę się przy schodach. Umówiliśmy się na piętnastą, jest już kwadrans po, a ja udaję, że wcale się nie denerwuję. Wpatruję się w ekran komórki, jakbym tkwiła w głębokim zamyśleniu, jak gdyby od wiadomości, którą piszę, zależało moje życie. Tak naprawdę jednak do nikogo nie piszę, ponieważ osobą, z którą zwykle pisuję w takich sytuacjach, jest Caleb. Tylko poruszam palcami na wyświetlaczu, myśląc: „Błagam, nie wystaw mnie do wiatru!”. Zastanawiam się, jak długo mam tak czekać, zanim uświadomię sobie, że jestem kretynką.

Obok przechodzi Gem, ponieważ oczywiście, jeśli już musi pojawić się świadek mojego upokorzenia, to będzie to z pewnością ona. Przez chwilę zastygam w przerażeniu, bo przychodzi mi do głowy, że K/N to Gem, że to jeden wielki żart moim kosztem, ale napominam sama siebie i przestaję o tym myśleć. Nie, Gem ma lepsze rzeczy do roboty niż pisanie do mnie wieczorami w ramach wyszukanego kawału. Moja przyjaźń z Ktosiem/Niktem to prawda, nawet jeśli Caleb nie jest jeszcze gotów na rozmowy w realu.

– Chciałabym, żebyś wróciła tam, skąd przyjechałaś – rzuca Gem, zeskakując ze schodów. Słowa, którymi ciska przez ramię, są ostre jak strzały.

– Ja też bym chciała – odpowiadam tak cicho, żeby nie słyszała.

– Co byś chciała? – pyta Caleb, który materializuje się tuż obok mnie, a ja nie mogę się powstrzymać i uśmiecham się od ucha do ucha. Nie wystawił mnie do wiatru. Jest tutaj, z długich palców zwisają mu kluczyki, ma zamiar jechać. Wypijemy razem kawę, pogadamy i będzie to tak proste jak przesuwanie palców na klawiaturze. I chociaż dziwnie jest mu ufać, robię to. „Trzy rzeczy: – zacznym pisać w myślach – 1. Rozumiesz mnie. 2. Opowiedz mi o Kilimandżaro. 3. Bałeś się tam, u góry?”

– Nic. Gadałam do siebie.

– Często to robisz?

– Zdarza się.

Caleb jest tak wysoki, że muszę zadzierać głowę, gdy z nim rozmawiam, a szyja zgina mi się pod nienaturalnym kątem. Może później zrobię sobie selfie i sprawdzę, jak wyglądam z jego perspektywy. Cała moja twarz skierowana w jego stronę. Same brwi i podbródki. To nie może wyglądać ładnie. Kiepska ze mnie Barbie, nie pasuję do tego Kena.

– Słuchaj, w kwestii tej kawy... – zaczyna, a ja czuję, jak wzbiera we mnie rozczarowanie, chociaż nawet nie dokończył zdania. „To właśnie cię czeka, kiedy jesteś dziewczyną z jajami”. Zachowywałam się absurdalnie, wykazując taki optymizm i otwartość, zakładając, że spełnią się moje oczekiwania. Daję się podnosić i upuszczać, jak pluszak w maszynie do łapania zabawek. Nikt mnie nigdy nie wybierze, a już na pewno nie ktoś o jego wyglądzie. – Uważam, że nie powinniśmy.

– Iść na kawę? Dobrze. – Mam ochotę wziąć komórkę i napisać do K/N. Napisać to, co tak trudno mi powiedzieć: „Dlaczego nie? Dlaczego nie jestem dla ciebie wystarczająco dobra na żywo?”.

Myślę o prosaku na brodzie, który zaledwie pół godziny wcześniej zamaskowałam w łazience pudrem. Myślę o swoich rękach, obwisłych pasztecikach, nie to co opalone i umięśnione ręce Gem. O brwiach, które zawsze, bez względu na to, ile czasu spędzę przed lustrem, są odrobinę niesymetryczne. O ciuchach, niemal tak samo niemarkowych jak to, co nosi Caleb, tylko – jak rozumiem – dziewczynom nie wolno celować w niemarkowe. O szerokości swojego nosa, na co do tej pory nie zwracałam w ogóle uwagi,

o zdartym lakierze do paznokci, nawet o małżowinach usznych, zbyt zwieszonych, niczym długie, pociągłe owoce. No i rzecz jasna o rozczarującym od zawsze biuście, który jakimś cudem jest jednocześnie mały i obwisły: głupie, smętne, płaskie lejki.

Caleb nie ujrzy mojego rozczarowania, naśladowuję bowiem jego beztroskę. Wzruszam ramionami, jakby nie było problemu. Siłą utrzymuję uśmiech. Zachowuję się, jakby moje wnętrze wcale nie zwinęły się w supeł, w idiotyczną kokardkę. Szczęzę się radośnie mimo bólu – rzeczywistego, dosłownego, pochodzącego z trzewi.

– No wiesz, ze względu na Liama – ciągnie Caleb, a ja przestaję go rozumieć. Mówi w obcym języku, takim, jakiego jeszcze nigdy nie słyszałam. Agresywnym, przerywanym, paskudnym, bo tak brzmią jego ostre, okrutne litery.

– Liama. Ale ja... Znaczy że co?

– Nie chciałbym, żeby źle to rozumiał. Bo wiesz, to mój najlepszy przyjaciel. – W dalszym ciągu nie wiem, o co chodzi. Co Liam ma wspólnego z moim wyjściem na kawę z Calebem?

– Ja po prostu... nie wiem, o czym ty mówisz. Co ma źle zrozumieć? Co Liam ma z tym wspólnego? – Mój mózg nie nadąża za rozwojem sytuacji. Może Caleb miał rację, lepiej porozumiewać się słowami na ekranie, tak jest zdecydowanie łatwiej. Są czytelne i można do nich wrócić, gdy się czegoś nie zrozumiało.

– Wiesz, że zerwał z Gem, prawda? Z twojego powodu. – Caleb mówi tak rzeczowym tonem, jakby to była podstawowa informacja na temat Wood Valley. I jakby wcale go nie dotyczyła.

– Eeee, nie. Nie miałam pojęcia, że ze sobą zerwali, a jeśli nawet, nie było w tym mojego udziału. – Przełykam ślinę i zaczynam znowu. Słyszę po własnym głosie, że próbuję się bronić, chociaż nie wiem, z jakiej przyczyny. – To znaczy... Gem to wyjątkowo wstrętna suka i może on wreszcie przejrzał na oczy, no wiesz, w czym mogłam mieć marginalny udział. Ale chwila! – Bełkoczę, bo jestem zdenerwowana. Przerywam i czekam, aż mój umysł dogoni sytuację. Przecież Caleb nie chce chyba powiedzieć tego, co mi właśnie przyszło do głowy? Nie. Liam nie zerwał z Gem dlatego, że ja mu się podobam.

To po prostu niemożliwe.

O mój Boże. Dotykam palcami kartki, którą mam w kieszeni. Mojego biletu do Chicago i z powrotem. Nie mogę się doczekać następnego dnia. Muszę wyjechać stąd jak najdalej. Dri dowie się o wszystkim przez dziwną sieć przepływu informacji w Wood Valley, do której ja nie mam dostępu, i pomyśli, że zdradziłam naszą przyjaźń. Ale chyba zdaje sobie sprawę, że nie jestem zainteresowana Liamem?

Nic tu nie ma sensu. Gem to dziewczyna, za którą oglądają się wszyscy mężczyźni. Nie tylko chłopcy, ale m ę ż c z y ź n i. Nie istnieje rzeczywistość, w której ktokolwiek miałby zerwać z nią ze względu na mnie. Chyba że... Czy Liam mógłby być K/N? Czy łączy nas nic intelektualnego porozumienia, którym byłby gotów załatać przepaść dzielącą Gem i mnie?

Nie. Liam jest jedynakiem. Nie było żadnej siostry. I nic wielkiego nas nie łączy, kiedy rozmawiamy w realu. A przynajmniej tak mi się wydaje.

Z drugiej strony powiedział mi któregoś dnia w sklepie, że łatwo się ze mną rozmawia i umiem słuchać. Szczęrze mówiąc, wcale nie umiem, po prostu pozwalam mówić innym.

Nie, Caleb coś źle rozumiał.

– Nieważne. W każdym razie nie mogę się angażować – rzuca i odchodzi.

– Zaczekaj – mówię. Chciałabym mu zadać milion pytań, ale uświadamiam sobie, że zamiast tego napiszę je na czacie. To bardziej bezpośredni i skuteczniejszy sposób.

– Co? – Odwraca się i znów potrząsa tym swoim głupim telefonem, jakby to miało mnie usatysfakcjonować: obietnica późniejszej wiadomości.

– Nic – odpowiadam. – Mówiłam do siebie.

Ktoś/Nikt: podeksycytowana przed podróżą?

Ja: NIE MOGĘ SIĘ DOCZEKAĆ, KIEDY STĄD WYJADĘ.

Ktoś/Nikt: aż tak źle dzisiaj?

Ja: Po prostu. Wiesz co? Nieważne.

Ktoś/Nikt: mogę coś zrobić?

Ja: Nie.

Myliłam się. Wcale nie jest łatwiej to wszystko napisać. „Uraziłeś dzisiaj moje uczucia. Nie podoba mi się Liam. Jestem już zmęczona pisaniem, to miała być tylko kawa”.

Albo coś takiego: „Jak możesz wykazywać takie zainteresowanie moją osobą na piśmie i tak znikome w realu?”.

Albo nawet to, żeby zyskać stuprocentową pewność: „Jesteś Caleb, prawda?”.

Kładę się na łóżku. W sumie nie powinno mnie dziwić, że Ktoś/Nikt nie chce się ze mną spotykać. Nawet tata, zanim przestałam z nim rozmawiać, ledwo się do mnie odzywał.

Czuję, jak wkrada się we mnie żal nad samą sobą – powolny, wygłodniały, tajemniczy potwór, który czai się pod łóżkiem. Staram się nie myśleć o mamie, bo w takich chwilach ta myśl działa jak impuls wyzwalający. Jest sposobem na usprawiedliwienie tego uzalania się nad sobą: ofiara losu i do tego półsierota. Argument uwłaczający tak samo mamie, jak i mnie.

Dri: OMG! OMG! OMG!

Ja: ?

Dri: Miałam rację! Koniec z Gemiam!

Ja: Wow. Bosko.

Dri: Taka okazja zasługuje na większy entuzjazm. Ale posłuchaj najlepszego: TO ON ZERWAŁ Z NIĄ.

Ja: Hm. Widocznie się na niej poznał.

Dri nie usłyszała jeszcze drugiej części. Ale może Caleb nie miał racji. Może nie mam z tym nic wspólnego. Może nie zrozumiałam go dobrze. O tak, to wydaje się bardziej logicznym rozwiązaniem. Zresztą nie będę roznosicielką takich idiotycznych plotek, zwłaszcza że – jak mam nadzieję – nie ma w nich ani krzty prawdy.

Zaledwie dwa miesiące temu, kiedy jadłam samotnie kanapkę na pustej ławce, myśl, że jakiś chłopak z czwartej klasy będzie chciał się ze mną umówić, wydałaby mi się absolutnie nierealna, ale i ekscytująca. Nie tylko by mi pochlebiała, ale stanowiłaby przedmiot moich idiotycznych fantazji. W końcu Liam jest głównym wokalistą najlepszego zespołu w szkole. Teraz jednak mógłby mi wszystko zepsuć: przyjaźń z Dri, pracę, może nawet to, co łączy mnie z Ethanem, który robi się dziwny na samo wspomnienie Liama. No i jest jeszcze Caleb, który znalazł sobie wygodną wymówkę, by nie wychodzić

poza kontakty internetowe.

Nowa Jessie, ta kalifornijska wersja, stąpa po grząskim gruncie. Potrzebuję Dri, Ktosia/Nikta i nawet księgarni „Book Out Below!”. Dri marzy o czapce niewidce, ja o czymś przeciwnym: bez tych trzech elementów, które składają się na moje tutejsze życie, po prostu rozplynie się w powietrzu.

Dri: A jak kawa? Sorry, że nie od razu zapytałam. Podniecałam się sprawą L i G.

Ja: Nie miała miejsca. Odwołał.

Dri: Przykro mi. Jak się czujesz?

Ja: Jest, jak jest.

Dri: To bardzo zen z Twojej strony.

Ja: Jestem jednością ze wszechświatem, a wszechświat jest jednością ze mną.

Dri: Pieprzyć gościa.

Ja: To także.

która zaczyna mi ciążyć na ramieniu. – Zwłaszcza że właściwie wymusiłam na tobie współpracę.

ROZDZIAŁ 27

Telefon mam wyłączony, schowany w zasuwanej na zamek bocznej kieszonce torby. Minęło dopiero kilka minut, a mnie już go brakuje. Zwalczam w sobie odruch spojrzenia na wyświetlacz i zamiast tego wyglądam przez okno, patrzę, jak Los Angeles staje się coraz mniejsze – zbiorowisko budynków i samochodów na autostradzie, które z góry sprawiają wrażenie zupełnie niewinnych, jak w każdym innym obcym miejscu na świecie. Na kolanach mam podręcznik, ale nie mogę się zmusić do nauki. Za jakieś cztery godziny Scarlett odbierze mnie z lotniska i zawiezie prosto do DeLucci's, gdzie zamówimy sobie po dwa kawałki pizzy i dietetyczną colę w wielkich oszronionych szklanicach. I przy tych ich beznadziejnych składanych stolikach odżyje nasza wspólna historia, nasze wieloletnie żarty. Ostatnie dwa miesiące zostaną wymazane z mojego życia. Opowiem jej o wszystkim, co zepsułam, o tym, że moje życie znajduje się na krawędzi, a ona doradzi mi, co zrobić. Żeby utrzymać przyjaźń z Dri, zmusić Caleba, by chciał się ze mną kontaktować także w realu, żeby nie stracić pracy. I jak pozbyć się nieodwzajemnionego uczucia do Ethana, który – jak się okazuje – jest pokancerowany, być może nawet niebezpieczny, a do tego zupełnie niedostępny.

Scar przypomni mi, że wszystko, co nowe, zawsze wydaje się trudne i że większość rozwiązań, jeśli nie wszystkie, mam już w głowie.

Za mniej więcej cztery godziny znów znajdę się w domu. I chociaż nie będzie mamy, przynajmniej trafię do znanego, swojskiego miejsca.

Czuję taką ulgę, że pozwalam płynąć łzom. Pozwalam im zamazywać słowa na kartce, tworzyć na papierze głębokie, mokre plamy.

Później, gdy już jedziemy samochodem, zerkam z ukosa na Scar. Wygląda inaczej, wydaje się jakby starsza. Włosy ma teraz krótsze, obcięte na niesymetrycznego, potarganego boba. Nawet nie wspominała, że była u fryzjera. Zastanawiam się, czy najpierw przeanalizowała opcje na Pinterście, jak miałyśmy w zwyczaju, czy podjęła spontaniczną decyzję. Tak czy inaczej, wygląda obłądnie. Uderza palcami w kierownicę starej hondy należącej do jej rodziców, wystukując rytm piosenki, której nie znam. I muza, i ogrzewanie są podkreśnione na cały regulator. Kurtka i szalik to mus na zewnątrz, ale ciepłe ubranie w samochodzie okazuje się przesadą. Powinnam była się rozebrać, zanim wsiadłam.

Myślę o pogodzie w Kalifornii, o tym, że nigdy nie muszę sprawdzać prognozy. Codziennie niebieskie niebo i krótki rękaw. Wiaterek tak delikatny, że łaskocze.

– Czuję się, jakbym właśnie wyszła z więzienia – mówię. Spuszczam lekko szybę i skręcam radio, żebyśmy mogły rozmawiać. Wyczuwam dobrze znany zapach Scarlett: kokos i mango odżywki plus coś nowego, pieprzonego. – Naprawdę.

– No, jeśli więzieniem jest dla ciebie życie w zajebistej rezydencji w Beverly Hills, posiadanie pokojówki i kucharki, to pewnie. Rzeczywiście wyszłaś z więzienia – mówi Scarlett, a ja nie jestem pewna, czy nie usłyszałam nieznanego tonu w jej głosie. Jakby cień zniecierpliwienia wywołanego moją osobą.

– Przede wszystkim nie mieszkam w Beverly Hills. Wiesz, że to nie tak.

- Wyluzuj, tylko żartuję – odpowiada i kręci gałką radia. Nie jest tak głośno jak poprzednio, ale i tak denerwująco. – To co chcesz robić w weekend?
- Szczerze? Być z tobą. Zjeść pizzę. Pogadać. Pośmiać się. Brakowało mi, no wiesz – nas.
- Taaa. Zabawne, bo dopóki nie wyjechałaś, nie zdawałam sobie sprawy, że spędzamy ze sobą aż tyle czasu. – Wzrok ma utkwiony w szosę i znowu się zastanawiam, czy nie wpadam w jakąś paranoję. Czyżby Scar była na mnie wściekła z jakiegoś powodu? Oczywiście, że spędzaliśmy razem mnóstwo czasu. Tak właśnie robią przyjaciółki.
- Podoba mi się twoja fryzura. Świetnie wyglądasz.
- Potrzebowałam zmiany – mówi i znowu podkręca głośność.

Przy pizzy w DeLucci's – chociaż jednej rzeczy, która jest dokładnie taka, jaką ją zapamiętałam – opowiadam Scar o wszystkim, co wydarzyło się w LA. Od początku do końca. O tym, jak odkryłam, że Ktoś/Nikt to Caleb. O Liamie i Dri. Nawet o tym, co Theo powiedział na temat Ethana i narkotyków, chociaż początkowo boję się to zdradzić, bo chciałabym, żeby go polubiła, nawet jeśli nigdy się nie spotkają. Mówię jej wszystko, ponieważ nigdy nie stosowałam cenzury w rozmowie ze Scar. Trochę bełkoczę, bo jestem zdenerwowana. To pewnie przez kofeinę. W samolocie wypiałam kubek czarnej kawy, żalony hołd oddany Ethanowi.

- Co powinnam zrobić? – pytam, bo Scar zawsze wiedziała. To mędrzec zamknięty w ciele nastolatki. Na drugie imię ma Sage^[15] – nie żartuję.
 - To znaczy? – pyta i zaczyna ssać plasterek cytryny ze swojej coli. – Jakiś chłopak zerwał ze swoją dziewczyną i chce się z tobą umówić? To brzmi jak problem z wyższych sfer.
 - Bo ja... Nie chcę...
 - Mam wrażenie, że za dużo o tym myślisz, J. – mówi i omiata mnie wzrokiem, żeby sprawdzić, co się we mnie zmieniło w ciągu tych ostatnich miesięcy. Szacuje wszystko. Mam dłuższe włosy, bo nie przyszło mi do głowy iść do fryzjera, i ważę parę kilogramów mniej, głównie dlatego, że Rachel nie jest wielką miłośniczką węglowodanów. Poza tym wyglądam tak jak zawsze.
 - Może. Tylko...
 - A tak na marginesie, potem dołączy do nas Adam. Oraz Deena. – Scar przerywa mi w połowie zdania.
 - Przyjaźnisz się teraz z Deeną?
 - Ona nie jest taka zła.
 - Okej. – Nadgryzam pizzę, unikając spojrzenia Scar. Ona wie, że od zawsze nie cierpiałam Deeny, która w pierwszej klasie próbowała dokonać sabotażu na naszej przyjaźni. Powiedziała, że obsmarowuję Scarlett za plecami, co oczywiście miało się z prawdą. A do tego wiecznie wbijała mi szpile pod pozorem żartów. Może nie wyniosła prześladowania na mistrzowski poziom Gem, ale i tak plasowała się całkiem wysoko na wykresie wrednych dziewczyn.
 - Wiesz, nie tylko dla ciebie to wszystko było trudne. – Scar odstawia colę, aż ta chl
- Przez chwilę wyobrażam sobie, co by było, gdybym zamieniła się z nią miejscami. Gdyby to ona wyjechała, a ja zostałabym w Chicago. Jak by to było zaczynać od nowa wśród ludzi, których znam od dziecka. Ludzi, z którymi świadomie – z takiego czy innego powodu – nigdy się nie przyjaźniłam. Dopiero teraz dociera do mnie, że moja wyprawka dotknęła także ją.
- Przepraszam. W ogóle o tym nie pomyślałam.
 - Właśnie.
 - Scar! – Patrzę jej w oczy, staram się zrozumieć, o co chodzi. Czy to kłótnia? Nigdy się nie

sprzeczałyśmy. Nasza przyjaźń nie jest taka, nie ma w niej miejsca na fochy i walkę o pozycję. Zawsze bezgranicznie się lubiłyśmy. To teraz to dla mnie zupełna nowość, a szok wywołany tym, że Scar jest na mnie zła i może już nie interesuje jej nasza przyjaźń, wypełnia mnie bólem samotności. – Co jest grane?

Jej oczy wypełniają się łzami, moje też. Tak bardzo chciałam wrócić do domu, usiąść przy stoliku, przy którym siedziałyśmy setki razy, i zrelaksować się, być może po raz pierwszy od wielu miesięcy. A teraz wolałabym znaleźć się gdziekolwiek, byle nie tutaj.

Nie, tak naprawdę nie chciałabym się nigdzie znaleźć, bo gdziekolwiek się pojawię, zawsze muszę znosić samą siebie. Jestem na zawsze przywiązana do tego umysłu i ciała, do tego bagna człowieczeństwa, jaki reprezentuję.

Jakim cudem udaje mi się spieprzyć wszystko, czego dotknę?

Moją pierwszą myślą jest napisanie do K/N i poinformowanie go, że wszystko się posypało i nawet tu nie czuję się jak w domu, po czym przypominam sobie poprzedni dzień i to, że przecież nie chciał iść ze mną na kawę.

– Nic. Zapomnij. – Scar zajmuje się swoją pizzą, posypuje ją startym serem, papryką, solą.

Ale nie bierze do ust.

– Scar. – W moim głosie słychać błagalną nutę. „Zacznijmy od początku”. Nie mam siły, żeby się z nią kłócić. Nie, to nie siły mi brakuje, a odwagi. Nie zniosę myśli, że będziemy na siebie wrzeszczeć, rozkładać na czynniki pierwsze wszystkie nasze słabości, mówić na głos rzeczy, których nie powinno się mówić kochanym osobom. Jak to, co właśnie dała mi do zrozumienia: „Myślisz wyłącznie o sobie”. Nie zniosę myśli, że przestaniemy być najlepszymi przyjaciółkami.

– Nie rozmawiajmy o tym, dobrze? – Scarlett gryzie cytrynę i kropla soku ścieka jej po brodzie. Podaję jej serwetkę.

– Okej. – Kończę moją pizzę, Scar podnosi swoje kawałki, zupełnie nietknięte, i wrzuca je do kosza.



Scarlett siedzi na sofie obok Adama, nogi położyła mu na kolanach. Brat Deeny, Joe, student pierwszego roku college’u, tak samo wkurzający jak jego siostra, przyniósł skrzynkę piwa – być może to nowa cena wstępu do piwnicy w domu Scar. Deena rozdaje puszki, chociaż są ciepłe. Przyszedł też najlepszy przyjaciel Adama, Toby, ale chociaż znamy się od przedszkola, nie wiem, czy kiedykolwiek zamieniłam z nim słowo.

Wszyscy wyglądają tak samo, a jednak inaczej. Adam ma lepszą cerę – Scar miała rację – i wydaje się mniej patykowaty i dziecinny, przez co nie szokuje mnie tak bardzo, że jest czymś chłopakiem. Ani to, że Scar go wybrała. Wyobrażam sobie, jak Adam podnosi ciężary, które zamówił przez Internet – robi to w piwnicy identycznej jak ta w moim dawnym domu: niski sufit, linoleum na podłodze, idealne miejsce do takich zajęć. Deena też wydaje się starsza, może po prostu bardziej się prostuje, przez co jej skolioza nie jest tak widoczna. Ciągłe coś szepcze do Scar i wybucha śmiechem. „W porządku” – mam ochotę powiedzieć. „Rozumiem. Jesteście teraz najlepszymi psiapsiółkami”.

– Jak jest w Los Angeles? – pyta Adam, a wtedy wszyscy na mnie spoglądają. Jeszcze przed chwilą czułam się wyobcowana, teraz nagle znajduję się w centrum uwagi. Moje gadanie o LA może rozzłościć Scar jeszcze bardziej, zwłaszcza że pytanie padło z ust jej – nie wiem... chłopaka? szczególnego kolegi?

– No wiesz – mówię i kołyszę puszką piwa. – Słonecznie.

– Scar twierdzi, że mieszkasz normalnie w pałacu i w ogóle – rzuca Toby i trąca swoim piwem moje, jak gdyby ta przeprowadzka do Kalifornii była czymś w rodzaju osobistego zwycięstwa, jak dostanie się na wymarzone studia.

– Niezupełnie. To znaczy dom jest fajny, ale to nie mój dom. Tęsknię za Chicago. – Próbuję przywołać spojrzenie Scar, jednak ona na mnie nie patrzy, jest zbyt zajęta całowaniem się z Adamem. Myślę o domu Rachel – o wielkich oknach, które błagają, by przez nie wyglądać – a potem rozglądam się po piwnicy. Przypominam sobie, że znajdujemy się pod ziemią.

– Scar mówiła, że chodzisz do jakiejś wyjebistej szkoły prywatnej, gdzie wszyscy są hiperbogaci i śledzeni przez paparazzich. – Głos Toby’ego mnie zaskakuje, jest głębszy, niż sądziłam. Słyszę w nim też akcent chicagowski, choć wcześniej w ogóle go nie wychwytywałam. Czy tak właśnie postrzegają mnie wszyscy w Wood Valley? Niskie, gardłowe „da” zamiast „the”?

– Ludzie są faktycznie inni. – Czy przez cały ten czas Scar uważała, że się chwale swoim nowym luksusowym światem? Zawsze przecież mówiłyśmy w tym samym języku. Chyba zrozumiała, że wołałabym być tutaj, w tej piwnicy, może nie z ciepłym piwem w rękę, Deeną, Adamem i całą tą dziwną ekipą, ale jeżdżąc popcorn i oglądając z nią filmy przez Netflix. Że to, co sprawia, iż Wood Valley brzmi tak świetnie, to powód mojej wielkiej samotności. Nie imponują mi wysokie żywopłoty i wołowina z Kobe.

Wyobrażam sobie swoich nowych przyjaciół tu w Chicago i zastanawiam się, czy byłiby w stanie wślizgnąć się w moje stare życie tak, jak ja próbowałam wślizgnąć się w ich. Mimo wydawania mnóstwa pieniędzy na kawę, kosztownych korków przygotowujących do egzaminu i faktu, że nigdy nie postawiły nogi w sklepie z odzieżą używaną, Dri i Agnes bez problemu poczęstowałyby się puszką schlitza^[16] i wdały w pogawędkę ze Scar na temat tego, czy powinna znów zapuścić włosy. Caleb też by się tu odnalazł, bo on potrafi wmieszać się w tłum. Chyba. W każdym razie daliby radę.

Tylko Ethana nie potrafię w żaden sposób połączyć z Chicago, może dlatego, że nie wyobrażam go sobie w innych miejscach niż te, w których zwyczajowo przebywa. Wydaje mi się, że on jest taki jak ja: obciążony świadomością, że to, co dzieje się w jego głowie, różni się od myśli innych osób. Nawet tych najbliższych.

I że nie można o tym za długo myśleć, ponieważ ta świadomość – prawda o własnym osamotnieniu – jest trudna do zniesienia.

Jestem pijana, a ciepłe piwo przelewa mi się kwaśno w żołądku. Scar i Adam zniknęli za drzwiami pralni – sądząc po dźwiękach dobiegających z tamtej okolicy, z dużym prawdopodobieństwem można założyć, że uprawiają seks, zapewne nie po raz pierwszy. Może opowiedziała już wszystko ze szczegółami Deenie, a nowa najlepsza przyjaciółka dała jej mnóstwo cennych rad i udzieliła ważnych informacji odnośnie do rzeczy, które wydawały mi się szalenie skomplikowane na tych nielicznych filmach porno obejrzanych w sieci. I nie była to pogadanka na temat prezerwatyw i bananów, serwowana na przysposobieniu do życia w rodzinie, ale wszystkie „jak” i „dlaczego” oraz „co jest przyjemne”, o których ja nie mam pojęcia. Może właśnie dlatego Scarlett nie chce się już ze mną przyjaźnić: ponieważ nie jestem w stanie zapewnić jej fachowego doradztwa. A także ponieważ stosuję wyrażenia typu „fachowe doradztwo”, kiedy jestem pijana.

Prawdę mówiąc, sama nie chciałabym być swoją przyjaciółką.

Deena i Toby całują się w kącie, na ramieniu sofy Schwartzów, dokładnie w tym miejscu, w którym chciałam sypiać, kiedy tydzień temu fantazjowałam o powrocie do Chicago. Kiedy sądziłam, że to rozwiąże wszystkie moje problemy. Joe, który po moim wyjeździe zrobił sobie wokół szyi tatuaż słuchawek – najbardziej idiotyczny, jaki widziałam, ponieważ zważywszy na postęp technologii, wkrótce stanie się tak samo przestarzały jak rysunek telefonu z tarczą – próbuje ze mną rozmawiać i z każdym pytaniem przysuwa się coraz bliżej. Oczywiście zadaje same debilne pytania typu: „Czy można usiąść

na literach tworzących napis Hollywood?”. Podejrzewam, że wyobraził nas sobie jako całującą się parę stworzoną za pomocą nieskomplikowanego algorytmu łączenia osób, które pozostały w pomieszczeniu.

Wyciągam telefon i nie mogę się powstrzymać. Piszę do K/N.

Ja: Nie śpisz?

Ktoś/Nikt: zawsze do Twoich usług. jak tam w Chicago?

Ja: Szczerze? Beznadziejnie.

Ktoś/Nikt: ?

Ja: Po pierwsze, jestem pijana, a tu jest taki głupi gość, który nie chce dać mi spokoju.

Ktoś/Nikt: poważnie? nic Ci nie jest? mam zadzwonić na policję?

Ja: NIE! Nie o to chodzi. On jest OK, tylko wkurzający. A Scar jest na mnie wściekła, chociaż nie wiem o co. Deena jest teraz jej najlepszą przyjaciółką czy coś w tym stylu. Czuję się taka...

Ktoś/Nikt: samotna.

Ja: Samotna.

Ktoś/Nikt: ja tu jestem.

Ja: Tak naprawdę to Cię nie ma.

Ktoś/Nikt: jestem.

Ja: Nie ma Cię nawet wtedy, kiedy ja jestem.

Ktoś/Nikt: zawsze popadasz w taki egzystencjalizm, kiedy sobie wypijesz?

Ja: Nawet nie chciałeś iść ze mną na kawę. To miała być tylko kawa.

Zaczynam płakać i to moje łzy – a nie pisanie na komórce czy zrzucanie jego ręki z mojej nogi – wreszcie zniechęcają Joego. Wstaje i odchodzi. Jak się okazuje, alternatywą dla całowania się ze mną są gry na telefonie. Dochodzą do mnie przerywane piknięcia. Przynajmniej zagłuszają mój płacz. Wszyscy są zbyt zajęci, żeby coś zauważyć.

Ktoś/Nikt: o czym Ty mówisz?

Ja: DOBRZE WIESZ, O CZYM MÓWIĘ.

Ktoś/Nikt: naprawdę nie wiem.

Ja: NIE PRÓBUJ MI WMAWIAĆ, ŻE NIE WIEM, KIM JESTEŚ.

Ktoś/Nikt: Jessie, poważnie, nie wiem, co jest grane. wiesz, kim jestem? ostatnio pomyślałem, że wiesz, ale potem uznałem, że to niemożliwe. chciałem Ci powiedzieć, ale...

Ja: To miała być tylko kawa. Naprawdę jestem aż taka straszna, że... Zresztą nieważne.

Ktoś/Nikt: nie wiem, o czym mówisz, poważnie. może poczekamy, aż wytrzeźwiejesz, i wtedy dokończymy tę rozmowę? bo nie idzie tak, jak bym chciał...

Ja: Ani tak, jak ja bym chciała.

Wyłączam telefon. Biegnę po schodach do małej łazienki. Wymiotuję pizzą z DeLucci's i sześcioma puszkami piwa i nie czuję nawet cienia nostalgii na widok zasłony od prysznicza z motywem mapy świata ani dozownika do mydła z aplikacją Kota Prota, które są tu, odkąd pamiętam. Siadam na starej miękkiej niebieskiej macie i staram się tkwić nieruchomo, bo cały świat wiruje mi przed oczami.

apie na jej talerz. Jak dotąd nawet nie ugryzła pizzy. – Ja też musiałam zaprzyjaźnić się od nowa.

ROZDZIAŁ 28

Pobudka, śpiochu – mówi Scar. Otwieram jedno oko. Scarlett ma na sobie flanelową piżamę, włosy związała w mały kucyk i nie wygląda ani trochę na skacowaną. Siada po turecku w nogach swojego łóżka, w którym najwyraźniej zasnęłam, chociaż nie pamiętam, jak się tu znalazłam. Podaje mi szklanke z wodą. – Błagam, powiedz, że nic nie robiłaś z Joem.

– Ble. Nie. Oczywiście, że nie. – W głowie mi pulsuje, czuję ból, jakby mózg mignił. Siadam i zaraz kładę się z powrotem. Za szybko. To wszystko dzieje się za szybko. – Wiesz, chyba wrócę wcześniej do LA.

Słowa wydostają się z moich ust, zanim zdążę je przemyśleć. Nie zniosę obecności Scarlett, kiedy nie możemy być tym, kim dawniej. Podejrzewam, że tak właśnie czuje się człowiek, z którym zerwała ukochana osoba.

– Nie rób tego, J. Naprawdę. Nie w taki sposób.

– Nie wiem, dlaczego tak bardzo mnie nienawidzisz. – Oczy mam zamknięte, więc łatwiej mi wypowiedzieć te słowa, puścić je w ciemność. Widocznie wypłakałam wszystkie łzy poprzedniego wieczoru, bo teraz ani jedna nie napływa. Dosięga mnie tylko wszechobecne poczucie pustki.

– Nie nienawidzę cię. – Scar przysuwa się do mnie i kładzie mi rękę na ramieniu. – Matko, ale śmierdzisz.

Zaczynam się śmiać.

– Dzięki. Wymiotowałam.

– Chrzanisz.

– Scar...

– Nie nienawidzę cię – mówi i milknie. Zbiera myśli. – Ale to ty wyjechałaś. Nie ja. Ty.

Spoglądam ponad głową Scarlett i widzę, że drzewa są już niemal całkiem ogołoczone z liści, chociaż dopiero jesień. Spadły wszystkie, jeden za drugim, zostawiając nagie gałęzie, niczym nieosłonięte od zimna. Trzęsę się i podciągam koc.

– To nie fair – odpowiadam. – Nie chciałam wyjeżdżać. Dobrze o tym wiesz.

– Ale właściwie nawet nie zapytasz, co u mnie. Nie tylko wyjechałaś, ale też mnie zostawiłaś.

– Chyba po prostu zakładałam, że nic się u ciebie nie zmienia. U mnie tyle się działo, chciałam ci opowiadać o swoim życiu. Tak zawsze robiłyśmy – wyjaśniam i czuję, że dolna warga zaczyna mi drżeć w znajomy sposób. Może Scar ma rację, może to wszystko moja wina. Scarlett, mój tata, K/N, wkrótce także Dri. Może nawet moja mama, w jakiś dziwny, kosmiczny sposób. Może skupione na sobie narcyzy, do których należę, nie zasługują na to, by mieć matkę.

– Wiesz, jakie to było dla mnie trudne? Uważasz, że chciałam kumplować się z Deeną? Kiedy wyjechałaś, nie miałam nikogo. Nikogo – mówi Scar. – I nigdy nie pytasz. O nic.

– Przepraszam. Masz rację. Byłam skupiona tylko na sobie.

– Mam wyrzuty sumienia, że jestem na ciebie zła, bo straciłaś mamę, musiałaś się wyprowadzić i zamieszkać z paskudną przybraną rodziną. Tak na marginesie, oni wcale nie wydają się tacy okropni. Ale ja nadal potrzebuję najlepszej przyjaciółki, wiesz? Nie wszystko kręci się wokół ciebie. – Scar kuli się, zaczyna szlochać tak bardzo, że cała się trzęsie. Obejmuję ją od tyłu, przyciskam brzuch do jej pleców, chociaż nie wiem, o co tu chodzi.

– Scar. Już dobrze. Wszystko będzie dobrze. Porozmawiaj ze mną – mówię, ale ona jest w takim

stanie, że nie nadaje się do rozmowy. Za dużo łąz i smarków. Czekam, to potrafię. Potrafię czekać, a potem słuchać.

– Adam ze mną zerwie – mówi. Wstaję i podaję jej rolkę papieru toaletowego, żeby mogła się wytrzeć. Podłoga faluje mi pod stopami, ale pokonuję kaca, żeby pomóc Scar.

– Dlaczego? Skąd ci to przyszło do głowy? Jest wpatrzony w ciebie jak w obrazek – mówię, bo to prawda. Zanim zniknęli – dodajmy, niezbyt subtelnie – w pralni, ciągle na nią zerkał, sprawdzał jej reakcję na żarty, które opowiadał. Nie tylko czekał na jej śmiech, ale wyraźnie cieszył się z tego, że potrafi ją rozbawić.

– Nie wiem. Nie wiem. Częściowo chodzi o ten seks.

– O jaki seks? – pytam. Czy ona zdaje sobie sprawę, że mi o niczym nie powiedziała? Czy tak bardzo się od siebie oddaliłyśmy, tylko ja tego nie zauważyłam?

– O ten, którego jeszcze nie uprawiamy. Deena w zeszłym roku wpadła w panikę, bo myślała, że jest w ciąży, ja nie jestem chyba jeszcze gotowa. Wiem, że to głupie, ale się boję. Sama nie wiem, co robię.

– Chyba nikt tego nie wie, kiedy robi to po raz pierwszy, no nie?

– I jestem taka... – Milknie i zakrywa sobie głowę kocem. Nie poznaję tej nowej Scar. Moja przyjaciółka była nieustraszona, nie to co ja, pełna obaw w obliczu tak nieistotnych rzeczy jak faceci i ich głupie zwisające elementy.

Ściągam z niej koc i zmuszam, żeby się do mnie odwróciła.

– Powiedz mi.

– ...taka zakochana. Nie ogarniam tego. Nie spodziewałam się, że w ogóle go polubię, a tu... cholera jasna. Nie wiem, co mam ze sobą zrobić. Ciągle tylko o nim myślę – mówi Scar, a ja doskonale ją rozumiem. Ja też ciągle myślę o Ethanie – pokancerowanym, całkowicie niedostępnym. Przez cały czas, nawet wtedy, kiedy nie chcę. Kiedy jego osoba nie ma żadnego związku z tym, czym się akurat zajmuję, na przykład kiedy piję z wkurzającym Joem, zastanawiam się, jak Ethan by się tu odnalazł. Ale on nigdy nie przyjedzie do Chicago, nie zobaczy piwnicy w domu Scar. Chociaż i tak w niej był – w moich myślach.

I choć to idiotyczne, przyznam, że w podobny sposób myślę o Ktosiu/Nikcie. Ale nie o Calebie z krwi i kości, tylko jego wirtualnym odpowiedniku. O tym K/N, który jest zawsze przy mnie.

Oczywiście zdaję sobie sprawę, że jest nierzeczywisty. Wszyscy stanowimy lepsze wersje samych siebie, kiedy mamy czas, żeby dopracować idealne wypowiedzi. Ktoś/Nikt, którego znam i na punkcie którego mam obsesję, w żaden sposób nie przekłada się na realną postać. Jest jedynie moją wirtualną bratnią duszą, nie mam co do tego wątpliwości.

– Scar, to cudownie.

– Nieprawda. Czuję się jak kretyńka. To Adam, na litość boską. Twój sąsiad, który całował najgorzej na świecie. Chociaż trzeba przyznać, że teraz robi to świetnie. – Scar znów naciąga koc na głowę, a ja go z niej zdieram.

– Spójrz na mnie. On jest w tobie zakochany. Naprawdę. Widzę, że ćwiczysz. Po co miałby nagle chodzić na siłownię? A poza tym

Zarzucam jej ręce na szyję, bo cieszę się ogromnie. Zasługuje na fajnego chłopaka, zasługuje na wszystko, czego zapragnie. I na happy end w tej romantycznej komedii z udziałem mieszkającego po sąsiedzku Adama, chociaż technicznie rzecz biorąc, to był mój sąsiad, nie jej. Ale nie bądźmy drobiazgowi.

No i ma rację. Rzeczywiście wyjechałam i ani przez chwilę nie zastanawiałam się nad tym, co to oznacza dla niej. Nie pytałam wystarczająco często o Adama, o jej nowe życie, skupiałam się tylko na narzekaniu na własne.

– Przepraszam, że się tobą nie interesowałam. Byłam podła. Ale już jestem dla ciebie, okej?

– Okej – odpowiada i pociąga nosem.

– To opowiedz mi wszystko – proszę, a ona opowiada.

Później jemy zrobioną przez mamę Scar zupę z tofu z makaronem. Scarlett twierdzi, że to prastary lek na kaca. Nie wymiotuję, więc uznaję to za sukces.

– Adam chce, żebym zrobiła mu naklejki na komputer – mówi, a ja się do niej uśmiecham. Faktycznie przepadła. Bez względu na to, o czym rozmawiamy, zawsze wplata go do rozmowy.

– Są boskie. Powinnaś sprzedawać je na Etsy.

– On już wie, co by sobie wytatuował, gdyby się zdecydował na tatuaż, ale chciałabym najpierw zrobić rysunek, który będzie coś znaczył. Symbolizował jego albo nas. Ale nie wiem, może to za wcześnie.

Siorbiemy zupę i wpatrujemy się w brudną zawartość talerzy. Nie wiem, czy to za wcześnie. Nie znam się na tym, a nie chciałabym jej źle doradzić.

– To twoja komórka tak pika? – pyta Scar. Odkąd usiadłyśmy przy stole, naliczyłam chyba z dziesięć sygnałów przychodzących wiadomości, ale może być ich więcej.

– Taaa.

– Nie chcesz sprawdzić?

Specjalnie zostawiłam telefon w torbie. Kiedy rano go uruchomiłam, okazało się, że mam sporo wiadomości, ale bałam się do nich zajrzeć. Kilka od Agnes i Dri. Uznaję jednak, że jeśli chcą przestać się ze mną przyjaźnić, to mogą poczekać do poniedziałku. I budząca mój największy strach: wiadomość od Ktosia/Nikta. Nie mogę uwierzyć, że byłam taka głupia i napisałam do niego po pijaku. Chyba muszę zainstalować sobie alkomat blokujący telefon. Czy takie urządzenie w ogóle istnieje? Jeśli nie, wynajdę je, r o z c h w i e j ę branżę i zarobię pierdylion dolarów.

– Nie bardzo.

– To może być coś pilnego.

– Niby co? Jeśli tata chciałby się ze mną pilnie skontaktować, zna wasz numer domowy. Jestem tylko dla ciebie. Żadnego gówna z Wood Valley.

– Ale ja chętnie posłucham tego gówna z Wood Valley. Poważnie. – Scar wstaje i przeciąga się w taki sposób, że zaczynam się zastanawiać, czy chodzi teraz na jogę. – Tyle że czasami chciałabym pogadać także i o mnie.

– Przepraszam – mówię. To moja nowa mantra. Mam nadzieję, że ciągłe powtarzanie tego słowa – a dzisiaj rano zrobiłam to ze sto razy – nie spłyci jego znaczenia. Kiedy zmarła mama, zniechęciłam wyrażenie „Przykro mi”, bo wydawało mi się tanim sposobem na poradzenie sobie ze mną i moją rozpaczą i zajęcie się własnymi sprawami. Te słowa stanowiły pięknie zapakowane pudełko, ale puste w środku. Żadnego zrozumienia, że śmierć oznacza nieistnienie mojej mamy, teraz, codziennie, na zawsze.

– Wyciągam twój telefon.

– Nie. Proszę, nie rób tego.

– Trzeba to mieć z głowy.

Zabiera komórkę i przejeżdża palcem po ekranie.

– Jaki masz PIN?

Język mnie pali, a oczy pieką od ostrego sosu, ale i tak biorę kolejny łyk. Nie patrzę na Scarlett. Mieszam makaron i algi, aż stają się wielką płataniną.

– Dobra, i tak wiem – mówi.

– Nie wiesz – odpowiadam, ale oczywiście ma rację.

– Jeden, dwa, trzy, cztery. No, proszę. Ile razy ci mówiłam, że masz to zmienić?

Śmieję się, chociaż czuję strach. Co ona tam znajdzie? Co K/N miał mi do powiedzenia? Dlaczego zarówno Agnes, jak i Dri do mnie piszą, skoro wiedzą, że wyjechałam? Modłę się, żeby Liam poszedł po rozum do głowy i wrócił do Gem, żeby dziewczyny nie były na mnie wściekłe. Dziwne, jak Wood Valley zdołało pokonać tyle kilometrów i przesączyć się aż tutaj.

– Super! – Scar piszczy i klaszcze w dłonie. – Miałam taką nadzieję, że to nie będzie on!

– O czym ty mówisz?

– Zobacz! – Podaje mi telefon, na ekranie widać rozmowę Agnes i Dri.

Agnes: MAM WIELKI NIUS. Właśnie widziałam Caleba w Barney's.

Dri: No i?

Agnes: BYŁ Z SIOSTRĄ!

Dri: A więc ona nie umarła?

Agnes: Skądże. Żyje i ma się dobrze, kupowała sobie torebkę za tysiąc dolarów.

Dri: JESSIE!!!! OMG!!! OMG!!!

Agnes: Mówiłam Ci, że Caleb nie jest K/N.

– Moment, że co? – Patrzę na Scarlett i nic z tego nie rozumiem. Przecież to jasne, że Ktosiem/Niktem jest Caleb. Musi być, bo jak inaczej? Ubiera się jak ktoś, kto woli pozostać anonimowy. Miał telefon w rękę na imprezie. I przyszedł do księgarni zaraz po tym, jak mu powiedziałam, że tam pracuję. I zawsze pisze do mnie chwilę po naszej rozmowie twarzą w twarz. I jeszcze to całe potrząsanie komórką. Czyżby wymyślił sobie nieżyjącą siostrę?

A poza tym kiedyś rozmawialiśmy na czacie o mojej propozycji pójścia na kawę.

Szukam tamtych wiadomości. Proszę bardzo:

Ja: 3. Do twojej informacji: rezygnuję z kawy.

Ktoś/Nikt: okej, będzie bez cukru.

Ja: Co?

Ktoś/Nikt: taki żart. aluzja do Seinfelda.

Ja: To wcale nie jest zabawne.

Ktoś/Nikt: to tylko kawa. wyluzuj.

Oddaję telefon przyjaciółce, jakby to było coś szalenie toksycznego. Czyżbym wszystko opacznie zrozumiała? Czy K/N chciał powiedzieć, że to miała być tylko kawa? że spotkanie w realu to nic wielkiego?

– Tak bardzo nie chciałam, żeby to był Caleb. Nie obraż się, ale on wydaje się totalnym dupkiem, z Kilimandżaro czy bez. Skoro poświęcił tyle czasu na pisanie z tobą, powinien chcieć się spotkać.

- Czyli co, naprawdę uważasz, że to nie on? – Znowu mi się kręci w głowie. Scar nie miała racji, ta zupa wcale nie leczy kaca. Czuję, że pikantny sos podchodzi mi do gardła i wypala wszystko po drodze.
- Oczywiście, że nie. Kto wymyśla śmierć siostry?
- Dziwacy, którzy czatują z koleżankami z klasy.
- Nie ma mowy. Jestem stuprocentowo pewna, że K/N to nie Caleb.
- To kto, do cholery?
- Zobacz – mówi Scar i oddaje mi telefon.

Ktoś/Nikt: martwię się. nic Ci nie jest? możesz się na mnie gniewać, ale napisz mi chociaż, że wszystko w porządku.

Ktoś/Nikt: halo?

Ktoś/Nikt: okej, próbuję się uspokoić, chociaż jest środek nocy i nie jestem w stanie myśleć logicznie. będę sobie tłumaczył, że komórka Ci się rozładowała albo że ją wyłączyłaś, bo nie chcesz ze mną rozmawiać, co akceptuję, chociaż nie rozumiem. ale nie że leżysz w rowie, pijana, a obok Ciebie jest ten debil, który nie chciał Ci dać spokoju.

Ktoś/Nikt: jest już rano. nic ci nie jest, prawda? prawda. PRAWDA?

Ktoś/Nikt: trzy rzeczy: 1. skłamałem Ci tylko raz, cała reszta, wszystko, każdy szczegół, to prawda. to było duże kłamstwo, ale chyba zrozumiesz, skąd się wzięło. Jezu, mam nadzieję, że zrozumiesz. 2. TO jest ważniejsze niż wszystko inne. jest prawdziwe. chociaż reszta wydaje mi się często nierealna. 3. przez całą noc o tym myślałem, przeczytałem nasze rozmowy milion razy i jestem prawie pewien, za kogo mnie bierzesz. mylisz się, to nie ja.

Ktoś/Nikt: dzisiaj wyjątkowo będzie jeszcze czwarta rzecz. spotkajmy się.

– A więc to j e s t Caleb. Mówi, że skłamał. To na pewno on – twierdzę. – Skłamał w kwestii siostry, a cała reszta to prawda.

– Nie. Skłamał w innej kwestii. Albo może w kwestii siostry, ale to nie Caleb. Po prostu nie on, ja to wiem – mówi Scar, a ja – nie wiedzieć czemu, bo przecież nie poznała nikogo z LA – ja jej wierzę. Caleb traktował mnie lekceważąco, nie był zainteresowany nawet cieniem rozmowy, nie to co K/N – on zawsze chce wiedzieć więcej, poznać drobiazgi układające się w mój dzień. – Myślę, że to Liam.

– Nie ma mowy.

– To by wyjaśniało, dlaczego rzucił Gem. – Uśmiecham się do Scar, ale nie dlatego, że chciałabym, aby to był Liam. To byłoby okropne, i to z wielu powodów, między innymi ze względu na Dri.

– Słuchałaś, co mówię. – Czuję ogromną wdzięczność, że Scar nadal jest moją przyjaciółką i że będzie nią zawsze, taką mam nadzieję. Znała moją mamę. Znała mnie p r z e d t e m. A to wiele znaczy.

– Oczywiście, że słuchałam.

Ja: Przepraszam za wczoraj. Nie byłam sobą. To długa historia. Ale tak... spotkajmy się. Myślę, że najwyższy czas.

Ktoś/Nikt: absolutnie niewymijająco powiem, że nadszedł czas.

nie potrafi trzymać rąk przy sobie, kiedy jesteś obok, i ciągle na ciebie patrzy. Poważnie. Non stop.

ROZDZIAŁ 29

Wiesz, co jest dziwne? Że w szkole są dziesiątki ludzi. Ktoś/Nikt to może być każdy. Nawet ten gość, co się nazywa Ken Abernathy i ma poważny problem z pierdzeniem. No wiesz, to nawet smutne. To przecież może też być pan Shackleman!

Jeździmy ze Scar po okolicy. Nie przyświeca nam żaden konkretny cel, odwiedzamy różne ulice tylko dlatego, że są znajome. W przeciwieństwie do osób z mojej byłej klasy otoczenie nic a nic się nie zmieniło: drzewa są tylko bardziej nagie, ale to nagość, jaką widywałam każdej jesieni. Nawet mój dom wygląda tak samo, jak go zapamiętałam, chociaż teraz mieszka w nim inna rodzina. Jediną różnicą jest rowerek trzykołowy z frędzlami na kierownicy stojący na trawniku oraz piłka, która utknęła w krzaku. Gdy przejeżdżamy obok, mrużę oczy, żeby wymazać z widoku te dodatkowe, niepotrzebne elementy.

Dom, a jednak nie dom.

„Mamo, gdzie jesteś? To głupie z mojej strony sądzić, że tu będziesz b a r d z i e j niż w innych miejscach”.

– Kim jest pan Shackleman? – pyta Scar.

– Wuefistą. To kompletny zboczeniec.

– O Boże. Ale byłyby jaja, gdyby K/N okazał się starym facetem z brodą drwala, no nie?

– Ohyda. Ten łysieje i ma mięsień piwny.

– Ja tam myślę, że to Liam. – Scar podjeżdża pod sklep 7-Eleven, siedzimy w aucie i wpatrujemy się w wielkie okna wystawowe, jarzeniówki, półki pełne przetworzonej żywności oraz połyskujące na rusztach parówki do hot dogów. Podoba mi się tu, w samochodzie. To taki metalowo-plastikowy kokon.

„Mamo, tęsknię za tobą. Kocham cię”.

– Nie wiem, naprawdę – odpowiadam i skupiam się na rozmowie. – Liam mi się nie podoba. To znaczy... jest słodki, przystojny i w ogóle, ale... z nim jest jakoś tak dziwnie. No dobra, wiem, że robię z siebie wybredną laskę, powinnam brać każdego, kto zwrócił na mnie uwagę...

– Teraz to przegięłaś. Jeśli ci się nie podoba, to się nie podoba, przecież nie masz się rzucać rozpaczliwie na byle kogo. Ja tylko sugeruję, że może nie widzisz tego, co masz pod nosem. No wiesz, tak jak ja i Adam.

Śmieję się, bo nie mogę się powstrzymać. Adam i Scar. Scar i Adam. To nawet urocze.

– Tak, tak, śmieję się ze mnie. Powiedz, co cię tak bawi, bo jeszcze nie skończyłam.

– Zakochana para, Adam i Scar-bara. Siedzą na kominie i całują świnię...

– Akurat!

Tak naprawdę chciałabym powiedzieć coś innego, coś, co brzmi dziwnie nawet w moich myślach: „Przy Liamie czuję się czasami zauważona, ale nie w i d z i a n a”. Może to kolejny powód, dla którego Liam nie może być Ktosiem/Niktem. Ktoś/Nikt naprawdę mnie widzi. Wierzę w to. On wie, co przeszłam. Łączy nas nić wyjątkowego porozumienia.

– A ten cały seks – chcesz pogadać? – pytam Scarlett. Seks – „uprawiać czy nie uprawiać, oto jest pytanie” – to jedyny element jej związku z Adamem, którego jeszcze nie rozłożyłyśmy na czynniki pierwsze.

– Chciałabym. To znaczy moje dziewczynskie okolice zdecydowanie chcą, tylko... A co, jeśli okaże się kiepska albo obrzydzą go, albo – nie wiem – zajdę w ciążę?

– Pamiętasz zajęcia z zeszłego roku? Prezerwatywy na bananie. Penis. To mniej więcej to samo. I z całą pewnością go nie obrzydzisz.

– Nawet jeśli dojdę do wszystkiego – jak założyć gumkę – ona może pęknąć albo nie zadziałać, nie wiem. Przeszłabym na tabletki, ale musiałabym pogadać z mamą, a ona wpadnie w panikę. – Scar patrzy przed siebie. Najlepiej prowadzi się rozmowę, kiedy trzymamy głowy równolegle. Bez kontaktu wzrokowego.

– Czy Adam naciska? Rozmawiałaś z nim o tym?

– Nie bardzo. To znaczy wiem, że by chciał, ale z nim nie gadałam. Chociaż na to też by się pewnie pisał.

– Może po prostu poczekaś na rozwój sytuacji? On pewnie też jest prawiczkim. A kiedy twoja mama zobaczy, że spędzacie ze sobą każdą wolną chwilę, może sama poruszy ten temat.

– Akurat. Chyba nie znasz mojej mamy.

– No nie wiem. Nie musisz chyba wszystkiego od razu rozpracowywać.

– Uważasz, że nie powinnam tego robić? – pyta. Dziwnie jest patrzeć na taką wersję Scarlett, wrażliwą, pełną wątpliwości. Zastanawiam się, co powiedziałyby moja mama. Zanim umarła, miałyśmy na tyle dobry kontakt, że mogłabym z nią o tym porozmawiać. Ale podejrzewam, że jednak bym się nie odważyła. Coś się dzieje z człowiekiem, gdy kończy szesnaście lat. Rodzice przestają być sprzymierzeńcami, stają się raczej największymi przeszkodami w życiu. Szlaban dany przez mamę? Jestem chyba jedyną znaną mi nastolatką, która o niczym bardziej nie marzy. To dla mnie całkowite przeciwieństwo kary.

– Nieważne, co uważam. Powinnaś zrobić to, co ci pasuje.

– To wykrętna odpowiedź, Jess. – Śmieję się i trącam ją łokciem w żebra. Przychodzi mi do głowy, że mojej przyjaciółce potrzebny jest teraz ktoś taki jak ona; ktoś, kto wszystko przeanalizuje i będzie do bólu szczery.

– Szczerze mówiąc, a wiem, że to idiotycznie brzmi w moich ustach, za dużo o tym wszystkim myślisz. Wyluzuj. Zrób to, co chcesz i kiedy chcesz. Gdy będziesz gotowa, baw się dobrze. A jeśli nie jesteś, to też okej. Seks wydaje się czymś wielkim, ale może wcale taki nie jest. – Moje słowa brzmią pewnie i mądrze, wobec siebie nigdy ich jednak nie stosowałam, a już na pewno nie w tym kontekście. – Musisz tylko ocenić, czy się boisz, bo to twój pierwszy raz – w końcu pierwszy raz zawsze chyba jest trochę przerażający, no nie? – czy dlatego, że nie jesteś gotowa. Nie ma tu jednej słusznej odpowiedzi.

– Zupełnie jakbym słyszała samą siebie. – Scar wreszcie odwraca głowę w moją stronę. W oczach ma łzy, co mnie zasmuca, przecież powinna być szczęśliwa. Dostaje to, czego zawsze chciała, kocha i jest kochana, chociaż może nie do końca tak, jak to sobie wyobrażała.

– Uczyłam się od najlepszych – odpowiadam z uśmiechem. A potem, równocześnie, bez wcześniejszego umawiania się, jak dawna Scar z dawną Jess, otwieramy drzwi, wysiadamy i idziemy do 7-Eleven. I tak samo jak kiedyś, zanim wszystko się skomplikowało, ruszamy od razu na tył sklepu, do niezawodnego automatu ze slurpee^[17].

Dri: Czy Liam cię gdzieś zaprosił?

Ja: Nie!

Chwila, czy to kłamstwo z mojej strony? Jeśli on jest K/N i się spotkamy, czy to się będzie liczyło jako randka? Zakładam, że Caleb mówił prawdę i to ja jestem przyczyną rozstania Liama i Gem – nie jestem w stanie zmusić się, by nazywać ich Gemiam. Czy w takiej sytuacji powinnam powiedzieć o tym Dri?

– Nie mów jej! – oznajmia Scar, która czyta mi w myślach, jednocześnie czytając mi przez ramię wiadomości. Znowu siedzimy w piwnicy, a w telewizji przystojne wampiry płci męskiej próbują właśnie ocalić bezbronne nastoletnie dziewczęta przed innymi, morderczymi, wampirami. Jemy popcorn. Jestem przeszcześliwa. – Naprawdę, to tylko urazi jej uczucia. A poza tym przecież nie kłamiesz. Liam cię nigdzie nie zaprosił.

Dri: Myślę, że to zrobi. Podobasz mu się.

Ja: Nie jestem zainteresowana.

Dri: A jeśli on to K/N?

Ja: On nie jest K/N.

Dri: A co, jeśli jest?

Ja: Dri!

– Ona chce, żebyś powiedziała, że nigdzie z nim nie pójdziesz, a nie możesz jej tego obiecać. Bo jeżeli to on jest Ktosiem/Niktem, musisz dać mu szansę. Po prostu daj mu szansę. – Znowu wróciła pewność siebie Scar. To moja przyjaciółka – taka, jaką ją pamiętam. Dziewczyna, która zawsze wali prawdę prosto z mostu, niczego nie owija w bawełnę. – A jeżeli jest twoją prawdziwą przyjaciółką, zrozumie to.

– Ona j e s t moją przyjaciółką, ale łączy nas za krótka historia. To coś innego. Nie zdążyliśmy wypracować sobie pełnego zaufania.

– To nic.

– Liam nie jest Ktosiem/Niktem.

– A właśnie że jest!

Uśmiecham się do Scar – to zabawne, że mówi o moich znajomych z Wood Valley jak o postaciach z serialu, jakby próbowała przewidzieć, co wydarzy się w następnym odcinku. Ja na swój sposób robię to samo. Niekiedy mam wrażenie, że Wood Valley to moje udawane, odgrywane życie.

Dri: Liam nie ma siostry.

Ja: No widzisz.

Dri: Sama nie wiem. Nadal uważam, że on to K/N. I owszem, przyznaję, jestem megazazdrosna.

Ja: Nie bądź, proszę.

Dri: Dobra, i tak Cię kocham. Idę słuchać na okrągło The Girl No One Knows i uzalać się nad sobą.

• • •

Theo: Co to ma być? Liam zerwał z Gem, żeby być z Tobą?

Ja: Kto Ci to powiedział?

Theo: WSZYSCY. Liam jest sexy. Jak Ty to zrobiłaś?

Ja: Niczego nie robiłam.

Theo: Dziewczyno, jesteś pełna niespodzianek.

Ja: Nieprawda.

Theo: On tłumaczy wszystkim, że jesteś jak powiew świeżego powietrza.

Ja: To miłe z jego strony, ale sprawia, że czuję się jak dezodorant.

Theo: A tak na marginesie, Twój tata chce, żebym wyjechał po Ciebie na lotnisko, więc lepiej nie nadawaj żadnego bagażu. I nie każ mi na siebie czekać.

• • •

Ja: Trzy rzeczy. 1. Nie wiem, kim jesteś. Chciałabym wiedzieć, Scar ma pewne teorie, ale ja nie wiem. Brałam Cię za kogoś innego, teraz już wiem, że się myliłam. 2. Nigdy Cię nie okłamałam. To znaczy nie licząc pierwszego dnia, kiedy napisałam, że mam czarny pas w karate. Nigdy nie trenowałam karate. Kiepski ze mnie kłamca. Wydaje mi się, że łatwo mi z Tobą rozmawiać, bo nie mam pojęcia, kim jesteś. Pewnie z Twojej strony wygląda to inaczej? 3. Nie wiem już, gdzie jest mój dom.

Ktoś/Nikt: może dom wcale nie musi być konkretnym miejscem.

Ja: Może.

ROZDZIAŁ 30

Znowu siedzę w samolocie. Tym razem to Chicago staje się coraz mniejsze, aż w końcu nie widzę już miasta, mój dom zniknął, pod nami widnieją jedynie wielkie połacie zieleni i brązu, patchworkowa kołdra przykrywająca ziemię. I znowu na kolanach trzymam podręcznik, otwarty, ale bezużyteczny. Wpatruję się w okno, myślę o tym, dokąd wolałabym teraz lecieć: na wschód, z powrotem do Scar, która ma swoje własne życie i mniej czasu dla mnie, czy na zachód, do domu Rachel i mojego nieobecnego duchem taty, gdzie czekają rzeczy budzące mój strach. Konfrontacja z Liamem, o ile się nie wycofa. Ktoś/Nikt. A jeśli chodzi o tatę, w ciągu ostatniego tygodnia ignorowałam jego telefony i SMS-y. Nasze milczenie staje się zbyt głośne, a mój foch przerodził się w coś namacalnego i złośliwego.

Czekam, aż zgaśnie lampka sygnalizująca konieczność zapięcia pasów, i dopiero wtedy wyjmuję kopertę, którą Scar wręczyła mi tuż przed wylotem. „Prezent na pożegnanie” – stwierdziła. Obracam kopertę w rękę, boję się ją otworzyć. Mam nadzieję, że w środku znajdę jakieś mądrości, rady, które moja przyjaciółka zwykła mi dawać. Kiedy odeszła mama, Scarlett usiadła na moim łóżku i zanim jeszcze zaczęła odwracać moją uwagę od bólu – co robiła z godnym podziwu zacięciem i talentem, tak że nawet nie zauważałam, ile w to wkładała wysiłku – powiedziała jedyne słowa, które brzmiały wtedy sensownie, być może nawet jedyne sensowne słowa, jakie usłyszałam także i później: „Zdaję sobie sprawę, że w tym, co się stało, nie ma niczego dobrego, ale chyba powinniśmy udawać, że jest”.

Bo nie było i nigdy nie będzie. Próbujemy walczyć – z niemijającym, miażdżącym serce i duszę cierpieniem – ale w śmierci mojej mamy nigdy nie będzie niczego dobrego. Nie pojawi się na zakończeniu nauki w szkole średniej. Już nigdy nie udzieli mi reprimendy, a ja nie udam, że jestem zakłopotana i nie powiem: „No wiesz, mamo!”. Nie będzie jej, gdy otworzę pismo potwierdzające przyjęcie mnie na studia (albo odrzucające). Nie zobaczy, na kogo wyrosnę, nie dowie się, jak brzmi odpowiedź na najbardziej tajemnicze pytanie: Kim jestem i jaki los jest mi pisany? Samotnie wejdem w wielką niewiadomą, jaką jest moja przyszłość.

Otwieram kopertę, a wtedy wypada z niej nowiutka naklejka na laptopa, większa niż te, która Scar zwykle dla mnie robiła. Ta jest czarno-biała. To ninja z mieczem samurajskim, o szeroko otwartych oczach i zawziętym spojrzeniu. Naklejce towarzyszy krótki liścik:

Chciałam, żebyś zobaczyła siebie tak, jak ja Cię widzę: jako wojowniczkę. Silną i tajemniczą osobę. Absolutną twardzielkę. I stuprocentową córkę swojej matki.

*Kocham Cię,
Scar*

Przyciskam naklejkę do piersi, biorę ją za dobry znak, jedyną słuszną drogę. Przestanę się wszystkiego bać. Zranienia i odrzucenia. Niezdecydowania ojca w mojej kwestii. Urażenia uczuć Dri. Konfrontacji z Liamem oraz Gem. Spotkania twarzą w twarz z Ktosiem/Niktem. Wyruszania dzień w dzień nago, bez żadnej ochrony, na jaskrawe, palące słońce.

ROZDZIAŁ 31

Theo ma na sobie grafitową marynarkę w prążki, do tego pasujące szorty i czapkę szofera. W ręku trzyma kartonik z napisanym odręcznie moim imieniem. Nie po raz pierwszy się zastanawiam, czy on dysponuje kostiumem na każdą okazję. Czy udało mu się skomponować strój z przepastnej zawartości swojej garderoby, czy może poszedł na zakupy, by nabyć idealne ubranie na odbiór Jessie z lotniska? Tak czy inaczej, doceniam wysiłek, nawet jeśli nie moja w nim zasługa.

– Witaj, pani. Rydwan czeka – mówi Theo. Zabiera mi torbę i przerzuca sobie przez ramię. – Tylko tyle przywiozłaś? – pyta. – A buty?

Pokazuję na vansy, które mam na nogach.

– Nie ma dla ciebie nadziei – stwierdza i wyprowadza mnie z klimatyzowanego terminalu na ciepłe, wieczorne, kalifornijskie powietrze. – Zaproponowałem, że po ciebie wyjadę tylko dlatego, że chcę wszystko usłyszeć. Mów.

– Ach, więc zaproponowałaś? Twierdziłaś, że to mój tata cię prosił.

– Nieważne. Czasami jestem miły. Ale nie mów o tym nikomu. No, ale dawaj, dawaj.

– Co? Nie mam nic ciekawego do powiedzenia – rzucam i unikam jego wzroku, chociaż przecież to prawda. To, że Liam zerwał z Gem, to tylko plotka. Nie dzwonił do mnie, nie pisał, nigdzie mnie nie zaprosił. Nie dałam mu żadnego powodu do przypuszczeń, że możemy stać się parą, i zamierzam utrzymać taki stan rzeczy. Przyczyny ich zerwania są dla mnie tak samo tajemnicze jak to, co ich ze sobą związało. Zresztą nigdy nic mnie nie będzie łączyło z Liamem poza pracą – no, chyba że jest Ktosiem/Niktem. Którym nie jest, bez względu na to, co twierdzi Scar.

– No dobra, to ja ci powiem, co wiem. Najwyraźniej Liam ma do ciebie słabość. Podobno ogromną. Ponoć uważa, że potrafisz świetnie słuchać – mówi Theo, kreśląc cudzysłów w powietrzu. Prowadzi mnie przez zatłoczony chodnik do parkingu i nawet obejmuje ramieniem, żeby osłonić przed tłumem. Jedno mu trzeba oddać: jest szarmancki.

– Przecież to nie ma sensu – odpowiadam. – Miał najładniejszą dziewczynę w całej szkole. I to potwierdzone na piśmie. W zeszłym roku wygrała wybory na najatrakcyjniejszą uczennicę Wood Valley, widziałam, co o niej pisali. W kronice jest zdjęcie.

– Świat to niezbadane i tajemnicze miejsce – mówi Theo. – A o gustach się nie dyskutuje – dodaje, patrząc wymownie na moje vansy. Drapię się po brodzie środkowym palcem.

– Nie chcę, żeby Liam się ze mną umawiał. – Theo prowadzi mnie do samochodu i otwiera drzwi od strony pasażera, kłaniając się lekko. Doprowadza swój show do samego końca, tyle że nie każe mi siadać z tyłu. Wnętrze samochodu jest nieskazitelnie czyste, nie to co honda Scar, pełna paragonów ze stacji benzynowych i opakowań po cukierkach. – Nawet jeśli czuję, że mi to pochlebia.

– Dlaczego nie? To superchłopak, może nie jest orłem, ale i tak... – Theo z łatwością manewruje między samochodami i wyjeżdża na autostradę. Jeździ bardziej swobodnie niż ja, zmienia pasy tak, jakby był właścicielem drogi i tylko łaskawie pozwalał innym z niej korzystać. – Nie mów, że to z powodu Ethana.

– Nie z powodu Ethana. A poza tym on nie jest taki, jak myślisz – odpowiadam, wyraźnie go broniąc, co mi się wcale nie podoba.

– Masz na jego punkcie prawdziwą obsesję.

– To mój przyjaciel.

– Nie było cię tu – mówi Theo. Przybiera posępną minę i początkowo sądzę, że tylko gra. Wypróbuj nową rolę: mrocznego. – Zaufaj mi, lepiej trzymać się od niego z daleka.

– Co to znaczy, że mnie nie było?

– Nie było cię, kiedy umarł Xander. Wszyscy wiedzieli, że on bierze, ale żeby heroinę? To niebezpieczne gówno. A on był w szkole prawdziwym bogiem ze względu na Oville. – Theo zajeżdża drogę kobiecie w minivanie i ignoruje jej trąbienie. – Mieli zacząć grać prawdziwe koncerty, na Sunset i tak dalej. Byliśmy zszokowani, kiedy przedawkował. Z drugiej strony... można się było tego spodziewać.

– Nie rozumiem, co to ma wspólnego z Ethanem. Okej, byli w jednym zespole, ale przecież to nie znaczy, że Ethan też bierze. – Zastanawiam się, co musiał czuć, gdy patrzył, jak kolega z zespołu powoli się zabija. Czy był tak samo bezradny jak ja, kiedy przyglądałam się walce mamy z niewidzialną armią rozprzestrzeniających się komórek nowotworowych?

– Xander był starszym bratem Ethana.

– Co? – pytam, chociaż oczywiście słyszałam doskonale. Po prostu nigdy nie nadałam nazwy temu, co widzę w oczach Ethana – w tym spojrzeniu, gdy wypatruje przez okna. Wstrząs psychiczny, bezsenność. Żałoba. Jakbym widziała siebie. – Brat Ethana zmarł? Z przedawkowania?

Mówię to na głos, bo wtedy dociera do mnie sens tych słów. W moim umyśle zaczyna się formułować myśl, a jeśli mam rację, wszystko się zmieni. Jestem ninja, będę tajemnicza, powolna i stanowcza. Będę walczyć o to, czego chcę. W rzeczywistości jednak żaden ze mnie ninja, czuję się zdezorientowana, w głowie mi się kręci. Myśli kotłują się zbyt szybko, moje serce bije zbyt wolno, wyciągam komórkę, bo nie chcę czekać do naszego spotkania, tylko natychmiast zadać pytanie K/N.

Dwa proste słowa: Jesteś Ethan?

„Ethan, Ethan, Ethan”.

Moja nowa mantra, z chęcią zastąpię nią starą: „zdziradziwkatłustabrzydkakrowa”.

Czy o to jedno *kłamstwo* chodziło? Siostra zamiast brata? Jak to możliwe, że nie przyszło mi to do głowy? Byłam kompletnie ślepa na wszystkich i wszystko, co się wokół mnie dzieje.

„Ethan, Ethan, Ethan”.

Nie ośmielałam się mieć nadziei. I teraz też się nie ośmielam.

Odkładam telefon i potrząsam głową, żeby zebrać myśli. Już raz się pomyliłam, nie powinnam wyciągać pochopnych wniosków. Trzeba poczekać. Przekonać się.

Ethan.

– Wszystko w porządku? – pyta Theo. – Bo zzieleniałaś.

– Tak – odpowiadam. – Wszystko okej.

Ktoś/Nikt: wiedziałaś, że w całej Kalifornii nie ma ani jednego Waffle House? będziemy musieli jechać do Arizony.

Ja: A niby dlaczego?

Ktoś/Nikt: GOFRY. Twoje ulubione słowo, moja ulubiona potrawa. kismet. pomyślałam sobie, że spotkanie w takim miejscu będzie miało poetycki urok.

Ja: Doceniam romantyzm propozycji, ale nie zamierzam jechać z Tobą do Arizony.

Ktoś/Nikt: dobrze. w takim razie spotkajmy się w IHOP. czymże bowiem są naleśniki, jeśli nie goframi w innej postaci?

Ja: Na żywo też jesteś taki zwariowany?

Ktoś/Nikt: przekonasz się.

Ja: Czekam na to. A tak na marginesie: mam teorię na temat Twojej tożsamości. Nową teorię.

„Jesteś Ethanem? Błagam, bądź nim”. Nie mówię tego jednak. Gdy o tym pomyślę, dochodzę do wniosku, że nauczyliśmy się obchodzić różne tematy, nigdy nie przechodzimy do sedna. Przypominam sobie pracę nad projektem, nasze rozmowy w Starbucksie, zastanawiam się, czy kiedykolwiek dał mi jakiś znak. Nie, nic nie przychodzi mi do głowy.

Otwieram stare wiadomości od Ethana. Kurczę, prawidłowa interpunkcja, zdania zaczynające się dużą literą.

Kładę się na łóżku, zamykam oczy. Wysyłam w kosmos moje życzenie – ale nie do Boga, bo jeśli nawet istnieje, już tyle razy mnie ignorował.

Ktoś/Nikt: naprawdę? mam nadzieję, że nie przeżyjesz rozczarowania.

Ja: Ha. Też mam taką nadzieję.

Ktoś/Nikt: zawsze powtarzałaś, że to niesprawiedliwa sytuacja – to, że ja wiem, kim jesteś, a nie odwrotnie – ale kiedy się spotkamy, nie wiem... role się nagle odwrócą.

Ja: To kiedy dokonamy tego odwracania?

Ktoś/Nikt: jutro po szkole?

Serce mi zamiera. Jutro po lekcjach jestem umówiona z Ethanem. Będziemy pracować nad *Ziemią jałową*. Czy zrobił to specjalnie? Chce się dowiedzieć, którą jego wersję wybiorę? A może znów się mylę, może Ethan wcale nie jest Ktosiem/Niktem. Zaczyna mnie ogarniać rozczarowanie.

Ja: Nie mogę. Mam plany na jutro. We wtorek z kolei pracuję. Środa?

Ktoś/Nikt: zajęta z Ciebie kobieta, ale wiem, że warta czekania.

Ja: Oczywiście. A Ty?

I znów ten głupi flirt. Zaczęłam go używać na początku naszych rozmów, ale potem o nim zapomniałam. To nie mój głos, wkrada się tylko wtedy, gdy za bardzo się staram. Czy już straciliśmy to, co między nami było, ponieważ jestem zbyt nerwowa i nie potrafię zachowywać się normalnie w obecności chłopaka, na którym mi zależy? Nie. Przesuwam palcem po naklejce od Scar, która teraz znajduje się na pokrywie mojego laptopa. Nie będę się bać. To przecież Ktoś/Nikt. A to – bez względu na to, kim jest (Ethanem czy raczej, jak sądzę, jednak nie) – warte jest zachodu.

ROZDZIAŁ 32

Co? – pyta Ethan. Kupił mi kawę, a ja nie zaproponowałam, że za nią zapłacę, chociaż ćwiczyłam to w myślach. Siedzimy na wyściełanych krzesłach w Starbucksie, Ethan naprzeciwko mnie. Mam trudności z formułowaniem słów, bo jestem zajęta rozpracowywaniem sytuacji. Czuję się jak idiotka w związku z moim wcześniejszym założeniem, że K/N to Caleb. Nie chcę popełnić drugi raz tego samego błędu.

– Ale co „co”? Nic nie mówiłam.

– Dziwnie na mnie patrzysz. Mam coś na twarzy? – Ethan zaczyna wycierać sobie wargi. Co prawda przykleiły się do nich maleńkie okruszki jagodowej muffinki, ale nie dlatego się tak gapię.

– Przepraszam, nie jestem dzisiaj sobą – wyjaśniam i chwytam kubek obiema rękoma, jakby to było coś wyjątkowo kruchego, na przykład ranne pisklę. – To chyba zmęczenie po weekendzie.

– Jak było? – pyta Ethan i uśmiecha się tak, jak gdyby rzeczywiście chciał wiedzieć. Znowu myślę, że jest Ktosiem/Niktem, bo K/N zawsze się wszystkim interesuje. Zaraz myślę także, że on nie może być K/N, bo przecież K/N doskonale wie, jak minął mi weekend.

Przede wszystkim jednak myślę, że on nie może być Ktosiem/Niktem, ponieważ bardzo tego pragnę, a to najprostsza droga do niespełnienia marzeń: wystarczy, że czegoś b a r d z o chcę, a to się nie dzieje.

– Świetnie. Na początku z przeszkodami, to długa historia. Ale potem już bosko. Wyjeżdżałam z ciężkim sercem. – To prawda, ale i nieprawda. Ciężko było mi wyjeżdżać, ale równie ciężko byłoby zostać. Poczucie, że nigdzie nie mam własnego miejsca, sprawia, że ciągle szukam ruchu. Postój wydaje mi się ryzykowny. Może właśnie dlatego Ethan ma problemy ze snem. Osiem godzin w jednym miejscu to niebezpieczny wybór.

– Domyślam się. Nowa naklejka? – Wskazuje palcem wojownika ninja, a ja sobie uświadamiam, że chociaż przez cały dzień miałam komputer w szkole, on zauważył go jako pierwszy. Nawet Gem nie zwróciła uwagi, bo jedyne, na co się zdobyła, to rzucenie w moją stronę: „Ale się pocisz”. Mało kreatywne, zważywszy na to, że mamy ponad trzydzieści stopni. W listopadzie.

– Taaa. Moja przyjaciółka Scarlett ją dla mnie zrobiła. To coś w rodzaju tatuażu. Uwielbiam je.

– Nieźle. Powinna je sprzedawać na Etsy czy coś w tym rodzaju.

– To samo jej powiedziałam! – Podnoszę głowę, a kiedy napotykam jego wzrok, znowu ją opuszczam. To dla mnie za wiele. Chciałabym, żeby już była środa, chciałabym spotkać K/N i mieć to już za sobą. Jeśli to nie Ethan, dam sobie spokój z tym głupim zauroczeniem. Theo ma rację, ale i nie ma: to jak igranie z ogniem. Za bardzo lubię towarzystwo Ethana.

On też trzyma kubek obiema rękoma. Gdzieś przeczytałam, że jeśli ktoś naśladuje twoją mowę ciała, to znaczy, że cię lubi. Gdyby to jednak była prawda, już dawno podłapałabym jego nerwowy zwyczaj przeczesywania włosów palcami. A zamiast go naśladować, ja pragnę usiąść mu na kolanach i oprzeć głowę o klatkę piersiową.

– Wielkie umysły myślą podobnie.

– Tak jest. – „Czy jesteś Ktosiem/Niktem? Dlaczego codziennie nosisz koszulkę z Batmanem? Dlaczego nie sypiasz?”

– Dlaczego nie sypiasz? – pytam, bo to najprostsze z moich pytań. Najmniej napastliwe, chociaż może ten etap mamy już za sobą. Jaka szkoda, że rozmowa nie może być sterowana niczym ruch uliczny, za pomocą świateł: dostajesz czytelny sygnał, kiedy masz się zatrzymać albo zachować ostrożność.

– Nie wiem. Nigdy nie byłem w tym zbyt dobry, a w ostatnim roku sen stał się czymś w rodzaju

pociągu pospiesznego, który przyjeżdża raz, może dwa razy w ciągu nocy i jeśli nie pobiegnę, nie ma mowy, żebym na niego zdążył. Wiem, jestem dziwny. – Wygląda przez okno, a słowo „dziwny” rzuca tak lekkim tonem, że może to być nawiązanie do naszych rozmów na czacie, ale wcale nie musi. W końcu to powszechnie używane słowo. To jeszcze nic nie znaczy.

– Bardzo poetyckie to, co powiedziałaś. Ta metafora z pociągiem. Może powinieneś coś brać – no wiesz, na sen.

Ethan patrzy na mnie, w jego oczach czai się pytanie, a może odpowiedź. Albo i jedno, i drugie.

– Neeee. Nie lubię niczego brać.

– Naprawdę nauczyłaś się na pamięć całego poematu?

– Pierwszej części, tak. Podoba mi się, że autor przemawia tyloma głosami. To brzmi... głośno, wiesz?

Wyobrażam sobie, jak ćwiczysz z Oville, jak gra na gitarze i wyśpiewujesz swoją duszę. Dźwięki kojące niczym balsam. Codziennie po szkole słucham ich na okrągło. Staram się wyodrębnić głos Ethana, niczym gimnazjalistka z obsesją na punkcie boysbandu. Ma silniejszy, bardziej chrapliwy głos niż Liam. Jednocześnie wściekły i zrezygnowany.

– Przykro mi z powodu twojego brata – wyrzucam z siebie, a on podnosi głowę, tak samo zaskoczony jak ja. – Wiem, że „Przykro mi” to beznadziejne słowa, ale dopiero się dowiedziałam – jestem jakieś półtora roku w tyle, jeśli chodzi o Wood Valley – i tak jak mówiłaś parę tygodni temu, ja też nie chcę należeć do osób, które nic nie mówią tylko dlatego, że to kłopotliwe. W każdym razie to straszne i nic, co mogłabym powiedzieć, tego nie zmieni. Ale i tak mi przykro.

Przerywam, chociaż mam jeszcze sporo do powiedzenia. Chciałabym go zapewnić, że w końcu znów zaczniesz lepiej spać, że z czasem zrobi się łatwiej, mimo że nigdy nie będzie zupełnie dobrze. Że te kartki ze słowami: „Czas leczy wszystkie rany” wydadzą się kiedyś odrobinę bardziej prawdziwe, a jednocześnie nie będzie w nich nic prawdziwego. Chciałabym mu powiedzieć, że rozumiem. Jestem jednak pewna, że on to wszystko wie.

– Dzięki – mówi i znowu okno go czymś przyciąga. Wydaje się teraz taki odległy, mam wrażenie, że gdybym nawet uległa pragnieniu, by go dotknąć – gdybym położyła mu rękę na ramieniu, wplotła palce w jego włosy, musnęła policzek – on by nawet tego nie poczuł. – Jesteś jedyną osobą, która nie znała mnie przedtem. Wszyscy zakładają, że jestem taki sam jak on, albo zastanawiają się, dlaczego nie mogę być taki jak kiedyś. Ale ja nie jestem nim i nie jestem też dawnym sobą, wiesz?

– Ethan jest Ethanem jest Ethanem jest Ethanem. Cokolwiek to teraz znaczy.

Podnosi gwałtownie głowę, jakby wyrwany z transu. Zapomina o oknie, spogląda na mnie, wbija we mnie wzrok, niemal błagalny, chociaż nie wiem, z jakiego powodu. Jezu, jak ja bym chciała go dotknąć! Tyle że nie wiedziałabym, od czego zacząć. A co, jeśli on tego wcale nie chce? Jeśli potrzebne mu są jedy

Rozumiem to. Wyjazd z Chicago – zerwanie z otaczającymi mnie codziennie ludźmi, którzy znali mnie od zawsze i spodziewali się, że będę tą samą Jessie, którą pamiętali – wydawał mi się kiedyś świetnym rozwiązaniem. Już wiem, że tak nie jest.

– Właśnie. Jestem, kim jestem, cokolwiek to teraz oznacza.

– Żałuję, że nie mogę zacytować *Ziemi jałowej*, bo mam wrażenie, że to byłoby bardzo adekwatne do sytuacji. – Uśmiecham się, co jest prawie takie samo jak dotyk, ale... Nie, jednak to kompletnie co innego.

– Liam chce się z tobą umówić. Uznałem, że powinnaś o tym wiedzieć.

– Co? – Dobrze zrozumiałam, oczywiście, że zrozumiałam, tylko nie wiem, co powiedzieć. Liam nie ma nic wspólnego z tym, co tu się rozgrywa. Nadal nie jestem pewna, czy Ethan jest Ktosiem/Nikiem, i nie wiem, czy to jest w ogóle ważne. Bo Ethan jest prawdziwy, siedzi tu przede mną, to nie są starannie dobrane słowa ukazujące się na ekranie.

Nie miałam racji. Nie dam sobie spokoju z tym głupim zauroczeniem, bo to wcale nie jest głupie

zauroczenie. W ogóle. Może to moje zainteresowanie K/N jest idiotyczne. Pisanie jest proste. Ale rozmowa w cztery oczy? To dopiero trudne.

Ethan wzrusza ramionami. Dobrze wie, że go usłyszałam.

– Ja... wcale tego nie chcę – odpowiadam. Teraz to w moich oczach czai się błaganie. O co? Nie mam pojęcia. Żeby mnie dotknął? „Proszę, dotknij mnie. Twoja ręka jest tak blisko”.

Ethan znów znajduje coś szalenie fascynującego w zawartości swojego kubka. Zaczyna mieszać czarny płyn. Nie dotyka mnie.

– W takim razie powinnaś mu odmówić.

Później leżę na łóżku i na okrągło powtarzam w myślach naszą rozmowę. „W takim razie powinnaś mu odmówić”. Zastanawiam się, jaka odległość nas dzieliła, dosłownie, i dochodzę do wniosku, że niecałe trzydzieści centymetrów. Czy kiedykolwiek uda nam się ją pokonać?

Ktoś/Nikt: plus minus czterdzieści osiem godzin. denerwuję się.

Ja: Ja też. Ale myślę, że jeśli nasze spotkanie okaże się katastrofą, zawsze będziemy mogli wrócić do komunikatora. Przyjaźni online.

Ktoś/Nikt: tak sądzisz? no nie wiem.

• • •

Scarlett: Wiedziałaś, że można zamówić pigułkę przez Internet?

Ja: NIE zamawiaj leków w sieci. Jeśli chcesz przejść na pigułki, IDŹ DO GINA.

Scarlett: Blee. Nie cierpię tego czegoś do kładzenia nóg. To wszystko jest takie upokarzające. I jeszcze tyle intymnych pytań...

Ja: Zachowuj się jak duża dziewczynka. DASZ RADE. Może powinnam zacząć robić dla Ciebie podtrzymujące na duchu naklejki? Bo nagle przejęłam Twoją rolę.

Scarlett: Słuchałam Oville.

Ja: I?

Scarlett: Mmm.

• • •

Ethan: Myślę, że powinniśmy zacząć pisać naszą pracę. Nie tylko ją omawiać.

Ja: Tak myślisz?

Ethan: Taaa. Wiem, że mamy czas do wiosny. Ale to długi wiersz i trzeba w końcu zacząć. Może przydałoby się spotykać częściej niż raz w tygodniu.

Czyżby całe moje roześmiane ciało tańczyło po pokoju? Może. Może właśnie to robi.

Ja: Pewnie.

Ethan: Okej.

Ja: Bombowo.

• • •

Ktoś/Nikt: ciekawostka dnia: w czasach telegramów ludzie też pisali szyfrem, tak jak my teraz skrótami: omg, lol i tak dalej.

Ja: Nie wiedziałam o tym.

Ktoś/Nikt: nie wiem czemu, ale pomyślałem, że docenisz zupełną przypadkowość tej informacji.

Ja: Świetnie, że jest tyle różnych sposobów komunikacji.

Ktoś/Nikt: WŁAŚNIE.

nie sporadyczne spotkania przy kawie z kimś, kto nie znał go wcześniej? Może tylko tym dla niego jestem.

ROZDZIAŁ 33

Musisz koniecznie porozmawiać ze swoim tatą – mówi Theo i rzuca mi zielony sok z lodówki. Zaczęłam lubić te tajemne mikstury, ale nie jako źródło energii czy – już w ogóle – styl życia. W przeciwieństwie do Theo nadal potrzebuję jedzenia. Dlatego to nie jest moje śniadanie, a zaledwie przystawka.

– Dlaczego? – Jesteśmy sami w przepastnej kuchni. I sami w domu. Rachel i tata wyjechali pół godziny temu. Rachel na poranne zajęcia pilatesu, a tata na wczesną zmianę w aptecę. Niebawem zda egzamin i awansuje na stanowisko, które zajmował w Chicago.

– Bo to twój tata.

– No i?

– Ile ty masz lat?

– A co to za tekst w ustach kogoś, kto dostaje ataków szału? – Jak się okazuje, Theo poplamił jednak poważnie to krzesło, kiedy cisnął widelcem. Ale to nie ma znaczenia, zostało oddane do tapicera, będzie miało nowe obicie.

– Tylko raz, dziewczyno. Źle toleruję zmiany.

– Dlaczego przejmujesz się mną i moim ojcem? – Piję sok i wyobrażam sobie, że oczyszcza moje wnętrze niczym clarisonic twarz. Taaa, picie kalarepy w płynie dodaje mi próżności.

– Bo wprowadzacie do domu złą energię, a i bez tego atmosfera jest wystarczająco kiepska.

– Akurat.

– Nie wiesz, co będzie jutro. Jak długo będą żyć. Każdy człowiek ma tylko dwoje rodziców, a my już straciliśmy po jednym. Lepiej dbać o tych, co zostali, póki można. – Theo chwyta drewnianą łyżkę i bębni w blat. Umie wystukiwać rytm. Zastanawiam się, czy jest w ogóle coś, czego on nie potrafi.

– Jasne.

– Naprawdę. Zaczynasz brzmieć, jakbyś była jednym z nas, bachorów z Wood Valley.

– Jezu, okej. – Oczywiście Theo ma rację. Tak jak wcześniej Scar. Muszę być lepsza, silniejsza, odważniejsza. Jak ninja, chociaż nie do końca, bo przecież to tylko rozmowa, a nie walka.

– Co okej?

– Okej, pogadam z nim.

– Dobrze. Bardzo się cieszę, że sobie wszystko wyjaśniliśmy. – Ujmuje mnie pod brodę, jakbyśmy mieli lata pięćdziesiąte, a ja byłabym jego synem, który zdobył punkt w meczu baseballowym.

– Jesteś absurdalną istotą ludzką. Wiesz o tym?

– Bywałem nazywany gorzej.

Ja: Dobrze. Porozmawiajmy. Udana posunięcie z wykorzystaniem Theo.

Tata: Nie wykorzystałem Theo, ale cieszę się, że chcesz porozmawiać. To była TORTURA. TĘSKNIĘ ZA TOBĄ.

Ja: Wpadasz w melodramatyzm.

Tata: Przeczytałem poradnik dla rodziców z nadzieją, że pomoże. Wyjątkowe dziadostwo.

Ja: Co wyczytałeś?

Tata: Żeby dać ci przestrzeń.

Ja: Hm. Zapewne autor nie brał pod uwagę wielkości tego domu.

Tata: Kiedy możemy pogadać? Gdzie?

Tak się porobiło, że musimy u m a w i a ć s i ę na pogodzenie. Doskonale pamiętam, że kiedyś wszystko między nami było normalne. Nie tylko normalne – naturalne. Przedtem – p r z e d t e m – mama co wieczór przyrządzała obiadokolację, coś prostego, siadaliśmy wszyscy przy stole i rozmawialiśmy. Mieliśmy taką zabawę, w której każdy musiał opowiedzieć jedną rzecz, jaka mu się przydarzyła od poprzedniego wieczoru. Zwykle zachowywałam różne historie na ten moment – jak pan Goodman zadał mi jakieś pytanie na chemii, a ja nie potrafiłam na nie odpowiedzieć, jak Rabuś Smoothie znów się pojawił w naszym lokalu i ukradł napój jakiemuś dzieciakowi albo jak razem ze Scar robimy projekt na przyrodę i chcemy zbudować wulkan, bo fajnie jest czasem zrobić coś banalnego. Przesiewałam cały dzień i wybierałam historię, którą chciałam przekazać rodzicom jako mój dar. Właściwie było to coś podobnego do rozmów z K/N i naszych trzech rzeczy.

Co moja mama chciałaby wiedzieć o moich ostatnich dwudziestu czterech godzinach? Może opowiedziałabym jej o soku z kalarepki. Albo o porannej wiadomości od Ktosia/Nikta, w której liczył godziny do naszego spotkania. Albo najlepiej o Ethanie i jego „W takim razie powinnaś mu odmówić”, które raz za razem odtwarzam w myślach. Sześć idealnych słów.

A może nie. Może akurat ten okruczeństwo zostawiłabym dla siebie.

Ja: Nie wiem. Później?

Tata: Umowa stoi.

– Jessie, mogłabyś zostać na chwilę? – pyta pani Pollack po angielskim, a ja czuję ucisk w żołądku. Co zrobiłam tym razem? Jak twierdzi Crystal, Gem ma grypę żołądkową i „dosłownie wyrzuca swoje wnętrzności”, wobec czego dzień przebiega bez niespodzianek. To ulga, ponieważ mam dzisiaj na sobie bawełnianą sukienkę w paski, więc stanowiłabym dla niej idealny cel. To nieco bardziej dziewczęcy strój, niż zwykle noszę, ale cholera, tu jest naprawdę gorąco.

Zostaję na swoim miejscu i czekam, aż wszyscy znikną. Ethan rzuca mi pytające spojrzenie, wrzuszam ramionami, a wtedy się uśmiecha. Wychodząc, mówi bezgłośnie „Powodzenia”, a ja chciałabym schować do kieszeni jego słowa i uśmiech i nosić j

– Chciałam z tobą porozmawiać o zeszłym tygodniu. Jestem ci winna przeprosiny – mówi pani Pollack i tym razem nie siada na krześle tyłem do przodu. Siedzi przy swoim biurku, jak przystało na nauczyciela. Zrezygnowała z całej tej kumpłowskiej otoczki, która sama w sobie nie stanowiła problemu. Problemem były jej słowa. – Przez cały weekend myślałam o naszej rozmowie i uświadomiłam sobie, że źle ją przeprowadziłam.

Patrzę na nią, szukając właściwej odpowiedzi. „Dziękuję”? „Nic się nie stało”? „To nic takiego”?

– To nie pani wina, że Gem jest suką – mówię i podnoszę wzrok z przerażeniem. Nie chciałam powiedzieć tego na głos. Pani Pollack się uśmiecha, co witam z ulgą – nie wiem, jak miałabym wytłumaczyć Ethanowi, że dostaliśmy F z naszego projektu o *Ziemi jałowej* tylko dlatego, że mam

niewyparzoną gębę. Jeszcze w ubiegłym tygodniu pani Pollack była moją ulubioną nauczycielką, wcale nie wyłącznie z tego powodu, że czułam do niej wdzięczność, bo nie kazała mi stawać przed całą klasą pierwszego dnia szkoły.

– W szkole średniej nie byłam na topie. Co ja mówię, to wierutne kłamstwo. – Wzrusza ramionami. – Byłam prześladowana. Tak poważnie. Kiedy zobaczyłam całą tę sytuację z Gem, nie wiedziałam, co powiedzieć. Chciałam jakoś pomóc.

Pani Pollack sprawia wrażenie, jakby miała się rozpłakać. Może człowiek nigdy nie dochodzi do siebie po szkole średniej. Teraz ma piękne włosy i jest śliczna, taka dorosła wersja Gem. Ciężko uwierzyć, że kiedykolwiek wyglądała inaczej.

– Więc... chciałam cię przeprosić. Przyglądam się tobie, widzę, że już wiesz, kim jesteś. Większość dziewcząt w twoim wieku nie czuje się jeszcze dobrze we własnej skórze, zapewne dlatego Gem uważa cię za zagrożenie. – Nie mam bladego pojęcia, o czym ona mówi. Przecież ja nic nie wiem. – Tak czy inaczej, liceum jest po prostu... najgorsze.

– W takim razie to zabawne, że została pani nauczycielką w szkole średniej – mówię, a ona się śmieje.

– Chyba powinnam porozmawiać o tym z psychoterapeutą. A skoro już jesteśmy przy tym... Jeśli chcesz, możesz pogadać ze szkolnym terapeutą. Mamy tu psychiatrę. A także specjalistę od life coachingu.

– Naprawdę?

– Wiem, wiem. Czymś trzeba usprawiedliwić to czesne. A jeśli nie chcesz rozmawiać z nimi, zawsze możesz przyjść do mnie. To dzięki takim uczniom jak ty wybrałam zawód nauczyciela.

– Dziękuję.

– Nie mogę się doczekać twojej i Ethana pracy na temat *Ziemi jałowej*. Jesteście moimi najzdolniejszymi uczniami, mam wobec was wielkie nadzieje. – Następną lekturą jest Dickens. Taka literacka aluzja^[18]. Nic dziwnego, że pani Pollack była prześladowana w liceum.

– Będzie świetna, bez żadnych perswazji^[19] – odpowiadam, a gdy wymijam nauczycielkę, ta podnosi rękę, a ja nie mogę się powstrzymać – nerdzi wszystkich krajów, łączcie się! – przybijam jej piątkę.

Później siedzę w pozbawionej klientów księgarni i piszę do Ktosia/Nikta. Od powrotu z Chicago udało mi się skutecznie unikać Liama i cieszę się, że dzisiaj nie ma go w pracy. Jeżeli rzeczywiście zamierza się ze mną umówić, nie mam pojęcia, jak powiedzieć „nie”.

Ja: Jesteś pewien, że powinniśmy się spotkać?

Ktoś/Nikt: tak sędzę. a czemu? strach cię obleciał?

Ja: Nie. Tylko... ty możesz być każdym. Dla Ciebie inaczej to wygląda, wiesz, kogo się spodziewać.

Ktoś/Nikt: przysięgam, że nie jestem seryjnym mordercą.

Ja: Seryjni mordercy nie przyznają się zwykle do tego, kim są. Powiedziałabym, że pierwsze, co robią, to mówią: „Ależ skąd. Ja miałbym być mordercą? W życiu”.

Ktoś/Nikt: prawda. w takim razie nie ufaj temu, co mówię. spotkajmy się w miejscu publicznym, obiecuję, że nie zabiorę mojego przerażającego białego vana ani cukierków.

Ja: To gdzie się spotykamy, Dexterze Morgan? IHOP – poważnie?

Ktoś/Nikt: tak. uwielbiam IHOP. dają tam naleśniki w kształcie uśmiechniętej buźki. mam coś o piętnastej, więc może 15.45?

Ja: Okej. Skąd będę wiedziała, że Ty to Ty?

Ktoś/Nikt: zapomniałaś, że ja wiem, kim jesteś?

Ja: I?

Ktoś/Nikt: podejść i się przedstawię, panno Holmes.

Ja: Odważny z Ciebie facet.

Ktoś/Nikt: albo babka.

Ja: !!!

Ktoś/Nikt: żartuję.

Rozlega się dźwięk dzwonka, a ja natychmiast podnoszę głowę. To już odruch Pawłowa. „Błagam, tylko nie Liam” – myślę. Na szczęście to nie on. Na nieszczęście to mój tata.

– A więc to tu pracujesz – mówi i rozgląda się dookoła. Palcami muska grzbiety książek, tak jak ja mam w zwyczaju. Tata nigdy nie był takim pożeraczem książek jak mama, ale docenia ich magię. W dzieciństwie ciągle mi czytał. To on wprowadził mnie do świata Narnii. – Idealne miejsce. Cieszę się bardzo, że je znalazłaś.

– Podoba mi się – mówię i zastanawiam się, czy tak to właśnie będzie wyglądało. Czy będziemy udawać, że w ogóle się nie pokłóciliśmy. Że przez czternaście dni się do siebie nie odzywaliśmy.

– Mam nadzieję, że to lepsze niż robienie smoothie. – Tata ma plastikowy identyfikator z imieniem, nad którym widnieją słowa: „W czym mogę pomóc?”. Plakietka zwisa krzywo, przymocowana metalowym klipssem, a ja się nad tym rozczulam, jakby przyszedł tu z wąsem od mleka.

– Taaa. Tyle że w Smoothie King jest Scar. Tęsknię za nią.

Tata kiwa głową. Nie rozmawialiśmy dotąd o mojej podróży do Chicago. Nie pytał. To znaczy... to nie do końca prawda, bo przysyłał mi SMS-y, które ignorowałam. Nadal mu nie podziękowałam. Może Theo ma rację: staję się bardziej woodvalleyowska, niż mi się wydaje. Jestem ciekawa, czy mama Scar kontaktowała się z tatą i zdała mu relację z mojego pobytu. Chyba nie słyszała, jak wymiotuję, i nie wie, że piłyśmy. Te kilka razy, kiedy się widziałyśmy, tuliła mnie mocno i mówiła: „Tęskniłam za moją drugą córką”. To było miłe i nie liczy się, ile w tym prawdy.

– Wiem – odpowiada tata. Rozgląda się pospiesznie, upewnia, czy jesteśmy sami, a potem kiwa głową, jak gdyby chciał powiedzieć: „W takim razie możemy rozmawiać”. – Brakuje mi wszystkiego.

To „wszystko” oznacza mamę. Zabawne, że nie potrafimy wypowiedzieć na głos niektórych słów. Po prostu nie potrafimy. Pewne słowa wydają się trudniejsze do wyartykułowania niż inne, nawet jeśli są bardzo prawdziwe.

– Wyobrażasz sobie, że jest listopad? A tu ciągle trzydzieści stopni, to nienaturalne – ciągnie, po czym siada na podłodze, opierając się plecami o regał z poradnikami na temat szybkiego wzbogacenia się. – Nigdy nie sądziłem, że będzie mi brakowało zimna, ale ta pogoda jest... niepokojąca. I pizze mają okropne. Przecież żadna pizza nie powinna być bezglutenowa, to zbrodnia.

– Sporo rzeczy, do których trzeba się przyzwyczaić – potwierdzam. Czy powinnam dać z siebie coś więcej? Czy to ja mam wszystko zacząć? Powiedzieć: „Tato, przeprowadziłeś nas, nie pytając mnie nawet o zdanie. Wrzuciłeś mnie do nowej szkoły, nowego życia z okrzykiem *Ta-dam!*, a potem zostawiłeś

na pastwę wilków”.

Milczę. Czekam, aż on zrobi pierwszy ruch.

– Słuchaj, wiem, że było ciężko. A ja byłem tak skupiony na przystosowywaniu się do nowych warunków, na ułożeniu wszystkiego, że nie sprawdziłem się jako ojciec. Sądziłem, że... nie wiem – że wszystko przyjdzie nam łatwiej. To naiwność z mojej strony. Albo desperacja. O tak, nie naiwność, tylko desperacja. – Tata wygłasza tę przemowę do znajdującego się naprzeciwko regału z książeczkami dla dzieci. Zawsze uważałam, że to dziwaczna kombinacja – i jakże typowa dla Los Angeles: pieniądze vis-à-vis dzieci. Tata wpatruje się w okładkę książki o kredkach, które podejmują strajk, ponieważ właściciel zmusza barwy podstawowe do zbyt ciężkiej pracy.

Wzruszam ramionami. Jaka szkoda, że nie możemy rozmawiać na papierze albo – jeszcze lepiej – na ekranie, wymieniając wiadomości, tak jak to robię z Ktosiem/Niktem. To znacznie prostsze i nie tak bolesne. Mogę powiedzieć dokładnie to, co chcę, a jeśli słowa nie zabrzmiały właściwie, będę je wykasowywała i pisała od nowa tak długo, aż znajdę odpowiednie.

– Chcesz wrócić do Chicago? Jeśli tak, możemy się przeprowadzić. Nie chciałbym, żebyś pomieszkiwała u Scar. Wynajmiemy coś, skończysz szkołę, a wrócimy do Kalifornii, kiedy pójdiesz na studia. Oczywiście, jeśli ci to pasuje. Coś wykombinujemy z Rachel. Jesteś dla mnie najważniejszą osobą na świecie, jeśli nie będziesz szczęśliwa, ja też nie będę. Wiem, że przez ostatnie miesiące mogłaś odnieść przeciwne wrażenie, ale musisz mi uwierzyć.

Myślę o zeszłym weekendzie. O Adamie i Scar, o jej życiu beze mnie, o tym, jak wszyscy się zmieniliśmy. Czy powrót nie byłby krokiem do tyłu? Mojej mamy i tak tam nie ma, a wspomnienia... Jeśli zostają z człowiekiem, mają „charakter przenośny”. Owszem, w Chicago nie zaznałabym przemocy w szkole, to ogromny plus, ale z drugiej strony Gem nie jest aż tak przerażająca, żebym musiała przed nią uciekać na drugi koniec świata.

Rozmyślam o życiu, które zbudowałam w Kalifornii. O Ktosiu/Nikcie i Ethanie, a może K/N vel Ethanie, o Dri i Agnes, nawet o Theo. I chyba o Liamie. O nauczycielce angielskiego, która powiedziała, że jestem jej najzdolniejszą uczennicą – co jest niebagatelnym komplementem, zważywszy na to, że chodzę do szkoły, z której co roku aż p i ę ć osób dostaje się na Harvard. O tym, że w Wood Valley aż roi się od bogatych rozpuszczonych dzieciaków, ale szkoła dysponuje wspaniałą biblioteką, a ja mam pracę w księgarni i czytam poezję na poziomie akademickim z chłopakiem, który nauczył się jej na pamięć i mi ją recytuje. Co dziwne, dzięki Rachel Los Angeles okazało się rajem dla nerdów.

Myślę o uśmiechu Ethana i o tym, że chciałabym na niego patrzeć codziennie. Nie, nie chcę wracać.

– Neeee. To znaczy... ciągle wędruję myślami do Chicago i przez chwilę faktycznie chciałam wrócić, ale nie o to jestem zła. Tam już i tak nie czułabym się jak w domu. Po prostu... – Oczy wypełniają mi się łzami, więc spoglądam na kasę fiskalną. Cyfra 9 zaczyna się ścierać. Nie cierpię tego, że nie wiem, jak powiedzieć to, co chcę powiedzieć.

– Wiesz przecież, że możesz ze mną o wszystkim porozmawiać, prawda? Nie chcę, żebyś kiedykolwiek czuła się samotna. – Proszę, skoro on to powiedział, to i ja mogę dodać swoje.

– Tato, praktycznie mnie osierociłeś. Czułam się, jakbym straciła oboje rodziców, i jeszcze Scar. Zostawiłeś mnie, żebym sama się w tym odnalazła.

Udało mi się.

W dużej mierze. Może Scarlett ma rację: jestem większą twardzielką, niż byłabym skłonna przyznać.

– Wyobrażasz sobie, jaka czułam się samotna? Nie teraz, teraz jest w porządku. Ale jeszcze nie tak dawno miałam wrażenie, że jestem sama na świecie. Każdy wieczór spędzałaś z Rachel albo przyklejony do laptopa. Nie że jej nienawidzę czy coś takiego. W zasadzie przecież jej nie znam. Chyba... podziękuj jej, proszę, za mój bilet. – Przerywam, żeby wziąć oddech. Oczywiście powinnam podziękować jej osobiście, zamierzam to zrobić. – Tylko... wprowadziłam się do tego domu i dostałam dziwaczny pokój z wielkimi obrazami na ścianie, które wyglądają, jakby wyszły spod ręki ośmiolatka. O co w tym chodzi?

To nie jest sztuka... I nawet mydło z tymi dziwnymi literami, po którym ręce pachną ładnie, nieznajomo, ale bardzo ładnie, tylko że... ono nie jest moje, rozumiesz? I ja... to wszystko było takie strasznie do dupy, tato. Naprawdę strasznie.

Nie, łzy się nie cofnęły. Wróciły, ciekną mi po policzkach, a przecież jestem w pracy. Mam nadzieję, że nikt tu teraz nie wejdzie. W ciągu ostatnich trzydziestu sekund powiedziałam tacie więcej niż w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Czasem, kiedy już zacznę, kiedy w końcu znajdę słowa, nie jestem w stanie ich powstrzymać.

– Och, skarbie! – Tata podnosi się, pewnie chce mnie przytulić, więc gestem go powstrzymuję. Nie chcę płakać mu w ramię. Nie teraz. Nie jestem jeszcze gotowa. – Tak mi przykro.

– Nie chcę przeprosin. Niczego nie chcę. Jestem na ciebie zła i mam prawo do mojej złości. Wkrótce mi przejdzie. Jesteś moim tatą, więc oczywiście, że mi przejdzie. Nasz świat eksplodował. Nie zostało ci za wiele. Ja zrobiłam to samo Scar. Żałuję, że nie byłam silniejsza, lepsza i w ogóle, że czegokolwiek od ciebie potrzebowałam. Niestety. Byłoby miło, gdybyśmy przeszli przez to wszystko razem. Ale nie przeszliśmy. Stało się. Jesteśmy tu, próbujemy coś zrobić. Ale wcześniej było strasznie.

– Uważam, że „było strasznie” to poważne niedopowiedzenie. Było chujowo – mówi tata i uśmiecha się półgębkiem. Ja też się uśmiecham, nic na to nie poradzę. Tata nienawidzi przekleństw, dwa lata temu nie było mowy, żeby użył takiego słowa jak przed chwilą. – Okej, możesz się na mnie złościć. Nie ma sprawy. Ale nie możesz się do mnie nie odzywać. Tego nie zniosę. Brakuje mi naszych opowieści z każdego dnia. Zapisywałam sobie różne rzeczy, żeby móc ci o nich powiedzieć, kiedy znów zaczniemy ze sobą rozmawiać. Musimy spędzać ze sobą więcej czasu.

– Eeee, nie? Mam szesnaście lat, nie będę chodziła wszędzie z ojcem. – Uśmiecham się, mówiąc te słowa. Brakuje mi taty chyba bardziej niż jemu mnie. – To takie... nie wiem, mało luzackie.

– Pozwól, że udzielę ci drobnej ojcowskiej rady: to, co luzackie, jest zwykle znacznie przereklamowane.

– I kto to mówi? Facet, który nosi swoje imię na plastikowej przypince.

– Punkt dla ciebie.

– Kochasz ją, prawda? – pytam pozornie zupełnie bez związku, chociaż tak naprawdę istnieje wielki związek.

– Rachel? Tak. To znaczy... to wszystko potoczyło się trochę za szybko, dopiero rozpracowujemy szczegóły, ale tak. Kocham ją. Ale to nie znaczy... – Przerrywam mu uśmiechem. Nie musi kończyć tego zdania. Nie jestem już małym dzieckiem. Wiem, że to, co on czuje, nie wiąże się ze mną. Ani z mamą.

Zdaję sobie sprawę z tego, że miłość jest nieskończona.

A także z tego, że za niecałe dwa lata wyjadę na studia. Właściwie będę szczęśliwa, że tata nie zostaje sam.

– Rozumiem. – Tata znów się rozgląda, wdycha zapach papieru. – Mamie by się tu bardzo podobało. Nawet ta idiotyczna nazwa. Chociaż może bez wykrzyknika.

– Wiem.

– Kocham cię, skarbie.

– Wiem.

Mój telefon pika. To wiadomość od Scarlett.

Scarlett: Ja pierniczę. Zrobiliśmy to.

Ja: Naprawdę TO?

Scarlett: Taaa.

Ja: I?

Scarlett: Daję nam 7, może 8 punktów, to nie najgorzej jak na pierwszy raz. Trochę bolało. I wcale nie było łatwo z gumką, gorzej niż na bananie, no i w ogóle trochę wstydliwie. Ale i tak dobrze. Chyba za chwilę to powtórzymy.

Ja: GDZIE TY JESTEŚ?

Scarlett: W łazience. Chciałam Ci natychmiast powiedzieć, a ponieważ musiałam się wysikać, więc robię kilka rzeczy naraz.

Ja: Czy to znaczy, że ADAM JEST NADAL W TWOIM ŁÓŻKU?!?!

Scarlett: Taaa. ☺

Ja: Czy Ty mi właśnie wysłałaś emotikona?

Scarlett: Co mam powiedzieć? Wzięło mnie. W przyszłym tygodniu zaczynam brać tabletki, będę zabezpieczona.

Ja: Strasznie się cieszę, ty mała zdziro!

Scarlett: Kocham Cię.

Ja: Ja też Cię kocham. xoxo. Pogratuluj Adamowi ode mnie.

– Co cię tak rozbawiło? – pyta tata. Widocznie szczerzę się jak głupia do telefonu. „Scar straciła dziewictwo!” – mam ochotę krzyknąć, bo to ekscytujące, a ja się cieszę razem z nią, ale nie, nie zrobię tego.

– Nic takiego. Scar napisała mi coś zabawnego.

– Jej mama mówi, że ma chłopaka – rzuca tata, a ja wyobrażam sobie, jak plotkuje z panią Schwartz o Scarlett i Adamie.

– Taaa.

– Naprawdę chodzi z Adamem Kravitzem? Zawsze był z niego taki drobiazg.

– Ostatnio wziął się za siebie, zaczął chodzić na siłownię.

– Niech im się układa.

– Są szczęśliwi.

– A w twoim życiu są jacyś chłopcy?

– Tato. – Rumienię się. Uświadamiam sobie, że nawet gdybym chciała opowiedzieć mu o Ethanie i Ktosiu/Nikcie, to zbyt skomplikowana historia.

– Oczywiście. Pamiętasz, w dzieciństwie pytaliśmy cię ciągle, jakim cudem tak szybko stałaś się duża, a ty odpowiadałaś: „Narosłam”?

Tata wpatruje się w swoje dłonie. Nie trzyma w nich komórki tak jak ja, nie ma co zrobić z energią wynikającą ze stresu. Rodzice wiecznie wspominali moje dzieciństwo, zaczynając każdą opowieść słowem „Pamiętasz...”, a potem mówili o tym, co kiedyś robiłam, i uśmiechali się do siebie, jakby nic z tego nie miało związku ze mną, jakby chcieli powiedzieć: „Zobacz, co udało nam się osiągnąć”.

Kręcę przecząco głową. Nie pamiętam.

– Cóż, skarbie. Faktycznie narosłaś. Przykro mi, że nie było mnie ostatnio przy tobie. Ale wiedz, że jestem z ciebie bardzo dumny, i mama też na pewno by była. Wiesz o tym, prawda?

Czy wiem? Wiem, że mama na pewno nie byłaby niedumna, ale to nie to samo. Chyba jeszcze nie jestem gotowa, żeby myśleć o niej w ten sposób, żeby brać pod uwagę to, co mogłoby być.

– Taaa – odpowiadam, głównie ze względu na jego puste ręce, plaketkę z imieniem i zagubienie, które rysuje się na jego twarzy. Być może to całe przystosowywanie się do nowych okoliczności dla niego było jeszcze trudniejsze niż dla mnie. – Oczywiście, że to wiem.

Ktoś/Nikt: co było dzisiaj pod kopułą?

Ja: Pyszna ryba z takim grubym kuskusem. Nazywa się moghrabieh. Ciekawe, skąd pochodzi ta potrawa.

Ktoś/Nikt: z Maroka.

Ja: Ha, wiem. Chciałam Cię zmusić do użycia Shiftu. Chętnie podarowałabym Ci koszulkę z napisem: „Wszystkie nazwy własne piszemy wielką literą”.

Ktoś/Nikt: i to ja jestem niby dziwny.

Kiedy wchodzę na górę, Rachel czeka u mnie w pokoju. Siedzi przy biurku i znów wpatruje się w zdjęcie mojej mamy.

– Była taka śliczna – mówi zamiast powitania. Dzisiaj wygląda na smutną, przytłumioną, w rękę trzyma duży kieliszek z czerwonym winem. Mówi ciszej niż zwykle.

– Tak – odpowiadam, ale nie jestem gotowa rozmawiać z Rachel o mamie. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę dość silna. – O, zdjęłaś te obrazy.

Rozglądam się. Malowidła rodem ze szkoły podstawowej – teraz zdaję sobie sprawę, że to pewnie były dzieła jakiegoś wielkiego artysty – stoją w rogu, a ściany stanowią wielką białą połąć, tylko kilka gwoździ znaczy ją niczym znaki interpunkcyjne.

– Przepraszam, wcześniej nie zwróciłam na nie uwagi. Mój mąż – to znaczy tata Theo – zajmował się urządzaniem wewnątrz i to on je wybrał. To pewnie nie najlepszy wystrój pokoju nastolatki. – Rachel upija łyk wina i pociera ramiona okryte cudownym kaszmiem. – Powinnaś powiesić tu swoje rzeczy, plakaty, co tam chcesz. Żeby to był twój pokój.

– Dziękuję za bilet do domu. Znaczy... do Chicago. To miłe z twojej strony.

Macha ręką, jakby to był drobiazg. Może dla niej rzeczywiście coś takiego jest drobiazgiem, ale dla mnie to duża rzecz.

– Kupimy ci też nowe łóżko. Takie większe może? Dopiero teraz widzę, jakie idiotyczne jest to, na którym śpisz. Och, uprzedziłam też korepetytorów Theo, że się dołączysz. Nie mam pojęcia, dlaczego nie przyszło mi to do głowy wcześniej. Przepraszam. – Twarz jej smutnieje, widzę, że jest bliska łez. Co się stało? Nie mam pewności, czy dam radę się z tym zmierzyć.

– Dzięki. To łóżko jest wygodniejsze, niż się wydaje. Wszystko w porządku? – Nie może być tak, że ona płacze, a ja nawet o to nie zapytam. To nie byłoby miłe.

– Są lepsze i gorsze dni. Wiesz, jak to jest. To, że znalazłam twojego ojca, który jest fantastyczny – naprawdę najlepszy – nie znaczy, że cała reszta przestała być trudna i że nie tęsknię... – Bierze głęboki wdech, który zaczyna się gdzieś w dole brzucha, a którego można się nauczyć jedynie na zajęciach z jogi w Kalifornii. – Wiem, że Theo za nim tęskni, a ja mu nie wystarczam. Po prostu nie wystarczam. Czasami jest mi więc ciężko. Przepraszam za te wszystkie odbezpieczone granaty, które tu rzucam. Nie powinnam była tu przychodzić.

– Nic się nie stało – odpowiadam, chociaż jestem kompletnie zdezorientowana. Ten dom jest pełen cierpienia, złej energii, jak to nazywa Theo. Może warto zapalić kilka świeczek. Albo – jeszcze lepiej – trzeba zacząć wieszać różne rzeczy na tych wszystkich białych ścianach. – Wiesz, to piękny dom, ale... Może ty też powinnaś zawiesić tu jakieś zdjęcia? Twojego męża... Znaczącego poprzedniego męża, taty Theo. I zdjęcia Theo z dzieciństwa. Żeby mógł wspominać.

Rachel spogląda na mnie, wyciera łzy rękawem, a ja staram się nie skrzywić, bo na rękach ma tusz, a ten sweterek pewnie można czyścić tylko chemicznie.

– To świetny pomysł – stwierdza i patrzy mi prosto w oczy. Prawie się uśmiecha. – Nie jest łatwo, co? Ty i ja.

– Chyba nie.

– Staralam się nie starać zbyt mocno, a potem zamartwiałam się, że za mało się staram. – Wstaje i rusza do drzwi. A później odwraca się i jeszcze raz na mnie zerka. – Tak – mówi. – Damy radę.

e zawsze jak talizman. Na mojej twarzy tkwi idiotyczny uśmiech, chociaż Ethan już wyszedł. To jego wina.

ROZDZIAŁ 34

Przyszedłam trochę wcześniej, więc siadam blisko drzwi. To tchórzostwo z mojej strony, bo w ten sposób zobaczę Ktosia/Nikta, zanim on zobaczy mnie. Za plecami mam resztę restauracyjnych gości i ich wielkie stopy naleśników, przed sobą parking, który obserwuję przez szklane drzwi. Za piętnaście minut poznam K/N. Usiądzie naprzeciwko, przedstawi się i nasza wirtualna znajomość przerodzi się w realną. Wyjdzie na światło dzienne, będzie tylko to, co tu i teraz. Słowo mówione.

Oczywiście, to spotkanie może okazać się katastrofą. Być może nie będziemy mieli o czym rozmawiać. To pewnie nie jest Ethan. Teraz to sobie uświadamiam, kiedy tak siedzę ze spoconymi dłońmi i mokrymi pachami. Czasami człowiek za wiele oczekuje od życia.

Miałam rozpuszczone włosy, teraz związałam je w kitkę, ale chyba znów rozpuszczę. Przez pół nocy debatowałam nad tym, co mam na siebie włożyć.

Dri powiedziała: „Wyglądaj na luzie”.

Agnes doradziła: „Wyglądaj obłędnie”.

Nad ranem stwierdziłam, że będzie dziwnie, jeśli włożę cokolwiek innego niż zwykle. Nie chcę wyglądać tak, jakbym jakoś szczególnie się starała.

Scar napisała: „Bądź sobą”.

Ale teraz czuję się zbyt normalnie w moich głupich dzinsach i T-shircie. Powinnam była zrobić mocniejszy makijaż, wymyślić coś – cokolwiek – dzięki czemu poczuję się ładniejsza. A co jeżeli K/N widywał mnie dotąd jedynie z daleka i będzie rozczarowany, gdy usiądzie obok? Czy jestem jedną z tych dziewczyn, które tylko z oddali wyglądają dobrze?

Siedzę, katalogując wszystkie swoje niedociągnięcia, urażając własne uczucia. Mam pryszczę na brodzie. Nos upstrzony wągrami. Na tym plastikowym krześle moje uda wydają się rozlaźle. Nie, to mi wcale nie pomaga.

Kelnerka przynosi kawę, zdieram wieczka ze wszystkich śmietanek w miseczce, tworzę stos, który burzę i układam od nowa. Rozważam opcję wyjścia. Przecież nie muszę się spotykać z K/N. Można ciągnąć to, co było. Może pozostać moim tajemniczym przyjacielem, z którym lubię flirtować.

Dri: POWODZENIA! A jeśli się okaże, że K/N to Liam... idź w to!

Ja: Poważnie?

Dri: Taaa. Ja się tylko w nim podkochuję. Was łączy coś prawdziwego.

Ja: Boję się. Ale nie sądzę, żeby to był Liam.

Dri: Ja też nie.

Ja: Jesteś prawdziwą przyjaciółką.

Dri: Nie zapomnij o tym, kiedy będziecie w sobie obłędnie zakochani i nie będziecie mieć czasu na nikogo innego, okej?

Ja: Ha!

Dri: Jest już?

Ja: Nie.

Dri: Jest już?

Ja: Nie.

Dri: Jest już?

Właśnie mam napisać po raz kolejny „Nie” – podoba mi się ta zabawa, jest nawet śmieszna i odwraca moją uwagę – ale wtedy on się pojawia, a żołądek ląduje mi u stóp. Niewidzialna obręcz zaciska mi gardło, łzy napływają do oczu. Czuję się źle w związku z tym, że tak się czuję. Nie chcę tak się czuć. Jak mogłam się tak pomylić?

To Liam. Okej. Ktoś/Nikt to Liam.

Próbuję dojść do siebie, zrozumieć cokolwiek. Przynajmniej to nie pan Shackleman ani Ken Abernathy. Liam to dobry chłopak, większość ślicznych dziewczyn w szkole ma na niego chrapkę. To z pewnością się liczy.

Jeszcze mnie nie zauważył. Stoi przy kasie, zjada miętówki wystawione na ladzie, te, które podobno mają wysokie stężenie bakterii kałowych, ale poznaję go od tyłu. Liam.

Liam jest Liamem jest Liamem jest Liamem.

Odwraca się, a jego twarz całkowicie się przeobraża na mój widok. Uśmiecha się tak promiennie, że zaczynam się zastanawiać, czym sobie zasłużyłam na jego radość.

– Cóż za niespodzianka – mówi. – Mogę się dosiąść?

Milczę. Chciałabym wyjąć telefon i napisać do Ktosia/Nikta: „Pewnie. Siadaj”. I jeszcze: „Nic nie rozumiem”. Ostatecznie kiwam twierdząco głową. Dobrze chociaż, że Dri nie będzie na mnie wściekła. Przynajmniej tyle.

Mam ochotę napisać: „Nie jesteś Ethanem. A tak chciałam, żebyś nim był”.

Wiem, że to okrutne. To tak, jakby on powiedział: „Chciałem, żebyś okazała się ładniejsza”.

– Miło cię widzieć – mówi Liam i siada naprzeciwko. Wykonuje ruchy pełne gracji, tak samo jak na scenie: płynne i pewne siebie. Ludzkie origami.

– Ciebie również – odpowiadam i próbuję się uśmiechnąć.

– To może wypaść niezręcznie i może pora jest niewłaściwa, ale już od jakiegoś czasu noszę się z zamiarem zapytania cię, czy nie chciałabyś... no wiesz, pójść ze mną na kolację albo coś takiego? – No i proszę. Liam chce się ze mną umówić. Poważnie. W realu. Nie na ekranie, K/N z krwi i kości.

Jednak w

To jednak było, zanim Ktoś/Nikt okazał się Liamem, a Liam – Ktosiem/Niktem. Przed ostatnimi dziesięcioma sekundami, kiedy wszystko się nagle zmieniło. A co, jeśli to właśnie jest prawdziwe – ja i Liam, a nie ja i Ethan? Może i w tej kwestii się myliłam. No i co z tego, że czasem jest sztywno w księgarni, że nie mamy specjalnie o czym rozmawiać? Co z tego, że on chodził z kimś takim jak Gem? Ludzie ciągle podejmują niewłaściwe decyzje.

– Ja... – Upijam łyk kawy, zaglądam do kubka, odpycham od siebie przerażenie, które we mnie

wzbiera, pragnienie ucieczki z tego lokalu. Potrzebuję czasu, który dałaby mi rozmowa przez komórkę. Choćby kilka sekund, żeby zebrać myśli. Próbuję wyobrazić sobie, co bym teraz napisała. Pisanie ułatwiłoby sprawę: korzystanie z palców, a nie z ust. „Tak” – napisałabym. A może: „Pewnie”. Albo: „Bosko”. Lub...

Jednak zanim dojdę do tego, jakie słowa byłyby najlepsze, jakiś cień pada na nasz stół. Moją pierwszą myślą jest Gem, przyszła, uderzy mnie, i tak to się właśnie zakończy: ja na podłodze. Jednak to nie Gem, a zresztą bicie nie jest w jej stylu. Ona stosuje subtelniejsze metody.

To Ethan. Ethan jest Ethanem jest Ethanem jest Ethanem. On też tu jest. Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć i co robić. Ethan zauważa siedzącego naprzeciwko mnie Liama i twarz mu ciemnieje, a potem przybiera tajemniczy wyraz. Chciałabym zobaczyć jego uśmiech, jeszcze raz usłyszeć tych sześć słów: „W takim razie powinnaś mu odmówić”.

To z pewnością pomogłoby mi zrozumieć sytuację. Dałoby mi powód, żeby odejść od K/N, odejść od naszych „trzech rzeczy”, cudownych rozmów o północy i wszystkiego, co utrzymywało mnie przy życiu przez ostatnie miesiące.

Ktoś/Nikt to Liam. Liam to Ktoś/Nikt. Proste równanie. Czas je zaakceptować.

– Hej – mówi Ethan, a w jego wzroku czai się błaganie. Widzę tych sześć słów, chociaż ich nie wypowiada. Nie odzywam się do Liama, jeszcze mu nie odpowiadam, za to odwracam się do Ethana. Kupuję sobie czas.

– Hej – mówię. Wtem ogarnia mnie poczucie, że całkiem się myślę, że wszystko to sen, a nie rzeczywistość, bo nagle pojawia się też Caleb i staje za Ethanem. Oczywiście, wszyscy trzej muszą uczestniczyć w wielkim rozwikłaniu zagadki K/N. Ja naprawdę chyba śnię. Na pewno, bo wszyscy trzej nie mogą być Ktosiem/Niktem. Co prawda miałam już takie sny, kiedy oni – Liam, Ethan, Caleb – zamieniali się jeden w drugiego, wymieniali koszulkami.

Ale nie. Caleb jest ubrany na szaro, Ethan w koszulce Batmana, a Liam ma rozpinaną koszulę, bo w przeciwieństwie do swoich kumpli on zmienia garderobę. Punkt dla Liama.

Jeśli to rzeczywiście sen, za chwilę powinni zacząć śpiewać serenadę. *The Girl No One Knows*.

Nikt nie śpiewa, to nie sen. Wbijam paznokcie w dłoń, żeby się upewnić. Boli.

– Cześć – mówi Caleb i przenosi wzrok z Liama na mnie i z powrotem, jakby chciał powiedzieć: „No, dawaj”. Czy on i Ethan wiedzą, że K/N to Liam, i przyszli zobaczyć, co się stanie? A może wszyscy trzej w tym uczestniczyli, znali hasło i pisali do mnie na zmianę? Czy to jeden wielki żart? To jest to kłamstwo? Że nie jedna osoba, ale trzy?

Przypomina mi się propozycja taty w kwestii powrotu do Chicago, zastanawiam się, czy do tego to wszystko zmierza. Ja w samolocie, upokorzona i załamana.

– Czekaj – mówi Ethan. Robi krok do przodu, a potem się cofa. To dziwny taniec, jego twarz oblewa się rumieńcem. – Przyszłaś wcześniej.

– Ej, facet, jesteśmy w trakcie ważnej rozmowy – mówi Liam i patrzy na mnie, jakby chciał jeszcze raz zadać to samo pytanie. „Kolacja?” Gdybym nie czuła takiego rozczarowania, to nawet byłoby urocze. Ktoś/Nikt zaczyna pierwszą rozmowę w realu, zapraszając mnie na randkę.

– Liam – mówi Ethan i kładzie rękę na ramieniu kolegi. Ten strąca ją ze złością. Ale jestem głupia. To oczywiste, że oni mają ze sobą jakiś problem. „Zespół przeżywał dramat swego czasu” – powiedziała kiedyś Dri. Liam zastąpił brata Ethana.

„W takim razie powinnaś mu odmówić”.

Źle to wszystko zinterpretowałam: tych sześć słów nie znaczy wcale, że Ethanowi na mnie zależy. On po prostu nienawidzi Liama. Uświadamiam to sobie i jestem zdruzgotana.

– Dlaczego ty ciągle musisz mi wchodzić w paradę? – Liam wstaje i odwraca się do Ethana. Miesiące, może nawet lata tłumionej agresji dają o sobie znać, a ja mam to nieszczęście, że znalazłam się na ich drodze.

Liam zwija dłonie w pięści, jak gdyby był gotów bić się na środku naleśnikarni, a to idiotyczne miejsce na bójkę. Pełno tu dzieci, siedzisk z tworzywa sztucznego i naleśników w kształcie uśmiechniętych buziek. Syropów o rozmaitych smakach. Napojów z kandyzowanymi wiśniami.

Caleb staje między Liamem i Ethanem, Ethan podnosi ręce. Nie interesuje go pojedynek. Może i ja go nie interesuję.

– Źle mnie zrozumiałeś, facet. To nie tak – mówi Ethan i opuszcza ręce. Wkłada je do kieszeni. Wyciąga komórkę. – Daj mi chwilę.

Wzrok ma wbity we mnie, a nie w Liama, i mówi do mnie, nie mówiąc do mnie. Nie wiem co. Wiem tylko, że chcę na niego patrzeć. To wszystko dzieje się zbyt szybko, żebym mogła cokolwiek zrozumieć, a jednocześnie zbyt wolno, bo słyszę łomot swojego serca i szum krwi w uszach, czuję ciepło bijące od kubka, który trzymam w drżących dłoniach.

Mój telefon pika. Dostałam wiadomość. Patrzę na niego. Biorę do ręki.

Ktoś/Nikt: to ja.

Podnoszę głowę. Ethan uśmiecha się do mnie nerwowo. Pisze, nie patrząc na klawisze.

Ktoś/Nikt: ja. nie on. ja.

Ktoś/Nikt: pozwól, że powiem to dużymi literami: JA.

– Ty? – pytam głośno, wreszcie znajdując głos. W końcu zaczynam rozumieć. Wpatruję się Ethanowi w oczy, nie mogę się powstrzymać. Śmieję się od ucha do ucha. – Naprawdę to ty?

– Ja – mówi Ethan i podnosi telefon. – Przyszłaś wcześniej. Mieliśmy próbę zespołu na tyłach, trochę się przedłużyła, a potem on przyszedł tu pierwszy.

Spoglądam na Liama, który kołysze się na piętach, zdezorientowany, ale nadal wściekły. Przysłuchuje się naszej rozmowie, ale nic z niej nie rozumie. Bo jak, skoro nawet do mnie ledwo dociera, co się dzieje.

Ethan jest Ethanem jest Ethanem jest Ethanem. E t h a n to Ktoś/Nikt.

– Liam, przepraszam. Nie mogę. To znaczy... to Ethan. To on – mówię, co nie ma żadnego sensu, ale nieważne, bo Ethan siada naprzeciwko mnie. Uśmiechamy się do siebie, głupkowato, w oszołomieniu, i jest łatwo, łatwiej, niż sądziłam.

Liam wydaje się bardziej zagubiony niż załamany. Caleb wzrusza ramionami, a potem przewraca oczami w stronę drzwi, jakby chciał powiedzieć: „Daj sobie spokój. Ona nie jest tego warta”.

– Jak chcesz – odpowiada Liam. Rzuca te słowa niedbale przez ramię i wychodzi. Caleb macha komórką w naszą stronę, najwidoczniej to jego sposób pożegnania, i wybiega za kolegą.

– Ty? – pytam Ethana, ponieważ muszę o to zapytać jeszcze raz. Upewnić się, że nie wyciągam pochopnych wniosków, że nie śnię.

– Miło mi cię poznać po raz kolejny, Jessie. Jessie Holmes. To ja jestem tym dziwakiem, który do ciebie pisał. – Ethan patrzy na mnie nerwowo, w jego oczach czai się pytanie. – To spotkanie poszło zupełnie nie tak, jak miało pójść.

Śmieję się. To, co czuję, znacznie wykracza poza poczucie zwykłej ulgi.

– Nie spodziewałaś się, że prawie dojdzie do bójki?

– Nie spodziewałem się.

– Nie mogę uwierzyć, że to ty. – Wypuszczam oddech, który wstrzymywałam nieświadomie. Rozlega się pikanie mojej komórki.

Ktoś/Nikt: jesteś rozczarowana?

Ja: NIE!!!

Ktoś/Nikt: mogę usiąść koło Ciebie?

Ja: TAK!!!

Ethan się przesiada, teraz jego udo styka się z moim. Czuję jego zapach, mogę się założyć, że smakuje kawą.

– Cześć – mówi, po czym wyciąga rękę i wsuwa mi kosmyk włosów za ucho.

– Cześć – odpowiadam.

Rozmawiamy ze sobą i jest tak samo jak za każdym razem, gdy się spotykałam z Ethanem, a jednocześnie zupełnie inaczej, ponieważ nie zajmujemy się projektem, jesteśmy tu razem, bo tego chcemy, a ja go znam, tak prawdziwie, ponieważ przez ostatnie dwa miesiące rozmawialiśmy za pomocą palców.

– Dlaczego? – pytam. Ethan przysuwa się bliżej, chwyta moją dłoń. Trzymamy się za ręce. Ethan i ja trzymamy się za ręce. Nigdy nie oddam nikomu tej chwili.

– Co dlaczego?

– Dlaczego przysłałeś mi tego pierwszego maila?

– Odkąd mój brat... Zacząłem mieć wrażenie, że zapomniałem, jak się rozmawia z ludźmi. Tata wysłał mnie na terapię, a lekarka powiedziała, że pisanie może mi pomóc. A kiedy zobaczyłem cię w szkole pierwszego dnia... Było w tobie coś takiego, że chciałem cię poznać. Wydawałaś się zagubiona w znany mi sposób. Postanowiłem wysłać ci maila. Tak czułem się bezpieczniej. – Ethan potrząsa głową, jak gdyby chciał powiedzieć: „Tak, wiem. Jestem dziwny”.

– Pisałeś jeszcze do kogoś?

– Sporadycznie. Lubię przyglądać się ludziom. Parę razy powiedziałem coś komuś tak miło, jak tylko się dało. Na przykład Kenowi Abernathy’emu, że Gem ściąga od niego na matmie. Ale z tobą było inaczej. Rozmawialiśmy przez dwa miesiące.

– Chcesz więc powiedzieć, że jesteś jak Batman z Wood Valley?

Uśmiecha się i spogląda na swoją koszulkę.

– Niezupełnie. To był T-shirt mojego brata. Wiem, że to głupie.

– Podoba mi się, że mogę ci zadawać pytania, a ty na nie odpowiadasz.

– Podoba mi się, że zadajesz mi pytania.

– W takim razie powiedz mi trzy rzeczy. – Uwielbiam te nasze trzy rzeczy. Nie chcę z nich rezygnować, teraz możemy wypowiadać je na głos.

– Raz: wbrew obiegowej opinii nie biorę leków ani narkotyków. Przerażają mnie. Nawet środki przeciwbólowe. Dwa: nauczyłem się na pamięć pierwszej części *Ziemi jałowej*, żeby ci zaimponować. Zwykle, kiedy nie mogę spać, gram na konsoli albo czytam. Pomyślałem, że uznasz, że jestem.. nie

wiem... spoko.

– Zdziałało. To było bardzo romantyczne. – W moim głosie słyhać uśmiech. Nawet nie wiedziałam, że potrafię osiągnąć taki efekt.

– Trzy: moja mama poszła wczoraj na odwyk. Nie jestem aż tak naiwny, żeby zachowywać optymizm – przechodziliśmy przez to rodeo już parę razy – ale to zawsze coś.

– Ja... nie wiem, co powiedzieć. Gdybyśmy do siebie pisali, pewnie użyłabym emotikonu. – Ściskam go za rękę, to też sposób mówienia. Nic dziwnego, że Ethan ma problemy ze snem, jego rodzina jest jeszcze bardziej pokręcona niż moja.

– Twoja kolej. Trzy rzeczy...

– Okej. Jeden: miałam wielką nadzieję, że to ty. Byłam pewna, że to ty, a potem byłam pewna, że to jednak nie ty, i przez tę chwilę sądziłam, że to Liam, i chciało mi się płakać.

– Liam nie jest aż taki zły. Muszę być dla niego miłszy. Zwłaszcza teraz. O matko, połamię mi nogi, jak się dowie. – Ethan się uśmiecha, widać, że w ogóle się go nie boi.

– Nie połamię. Wróci do Gem i zostaną królem i królową balu, o ile coś takiego tu w ogóle macie. Będzie dobrze. Chociaż szkoda, bo bardzo bym chciała, żeby zszedł się z Dri.

– A tak na marginesie, nie miałem racji, że zaprzyjaźnisz się z Dri?

– Miałaś. Miałaś rację w wielu sprawach. – Dwa... Dwa... – Zastanawiam się, co powiedzieć. Że po raz pierwszy, odkąd pamiętam, czuję, że znalazłam się w miejscu, w którym chcę być. Że jestem szczęśliwa, mogąc siedzieć nieruchomo. Tu. Z nim. – Dwa: dziękuję za to, że zostałeś moim pierwszym przyjacielem w momencie, w którym nie miałam nikogo. To... naprawdę wiele dla mnie znaczyło.

Teraz to jego kolej, żeby ścisnąć mi dłoń. To takie miłe uczucie, że prawie zamykam oczy.

– A trzy? Nie mam trzeciej rzeczy. Ciągłe mi się kręci w głowie z oszołomienia.

– Ja mam.

– To dawaj.

– Trzy: chciałbym cię pocałować. I to bardzo. Proszę...

– Naprawdę?

– Naprawdę – odpowiada, więc odwracam się w jego stronę, i chociaż znajdujemy się w przypadkowej naleśnikarni, a nasz stół ugina się pod ciężarem chaotycznego zestawu niezjedzonych dań, które Ethan zamawiał przez ostatnie trzy godziny, żebyśmy mogli tu siedzieć – są oczywiście naleśniki, ale także warzywa i szarlotka – wszystko to nagle się rozpływa.

Jesteśmy tylko on i ja. Ethan jest Ethanem jest Ethanem jest Ethanem, a Jessie jest Jessie jest Jessie jest Jessie. Jego usta dotykają moich.

Niekiedy pocałunek nie jest pocałunkiem nie jest pocałunkiem nie jest pocałunkiem. Niekiedy jest poezją.

głowie słyszę Ethana, słowa, które wypowiedział na głos: „W takim razie powinnaś mu odmówić”.

DRODZY CZYTELNICY!

W książce *Coś o tobie i coś o mnie* moja główna bohaterka, Jessie, ciągle liczy dni, które minęły od śmierci jej mamy. Ja także – zupełnie jak Jessie – straciłam mamę, gdy miałam czternaście lat. Nie będę się krygować i udawać, że to zbieg okoliczności, bo tak nie jest. I ja kiedyś liczyłam – nadal to robię, ale teraz liczę lata, a nie dni. Doszłam do dwudziestu czterech. Dwadzieścia cztery lata? Jak to możliwe?! Dopiero dzięki *Coś o tobie i coś o mnie* znalazłam w sobie odwagę, by wrócić myślami do tamtego okresu, który dawno temu szczelnie zamknęłam w pudle z wielkim czerwonym napisem: „Zbyt bolesne”. Nie chciałam analizować szczegółów z własnego życia, chciałam jedynie przyjrzeć się uczuciom towarzyszącym utracie pierwszej ważnej osoby w życiu oraz ich konsekwencjom. Chciałam przypomnieć sobie, jak to jest być nastolatką, której zdarza się najtragiczniesz rzec, jaka się może wydarzyć.

Z drugiej strony, chciałam, żeby nie była to książka o zmarłej mamie. Postanowiłam więc połączyć uczucie żałoby i samotności z czymś o wiele bardziej uniwersalnym oraz magicznym: z cudem pierwszej miłości. Jessie nie jest mną: to o wiele fajniejsza i bardziej zdecydowana osoba niż ja w jej wieku – ba, nawet niż ja teraz. Jessie jest jednak jakąś wersją mnie, jest alternatywną mną jak wszystkie moje bohaterki. Powieść *Coś o tobie i coś o mnie* powstała, ponieważ chciałam podarować coś tej „mnie, ale nie mnie”, podarować Jessie coś, czego, gdy miałam szesnaście lat, pragnęłam najbardziej na świecie: by czuć się tak naprawdę w i d z i a n ą. Tak naprawdę p o z n a n ą. Jak przez Ktosia/Nikta.

Jedną z najwspanialszych cech wieku dorastania jest to, że jest to czas, w którym tyle rzeczy dzieje się po raz pierwszy. Niektóre z nich są cudowne, inne – nie do końca. W którymś momencie Jessie tak mówi o swojej mamie: „Nie zobaczy, na kogo wyrosnę, nie dowie się, jak brzmi odpowiedź na najbardziej tajemnicze pytanie: kim jestem i jaki los jest mi pisany”. Teraz – dwadzieścia cztery lata po śmierci mojej mamy – znalazłam odpowiedzi na wiele swoich pytań, chociaż ona już nie mogła mi w tym towarzyszyć. Pisanie tej powieści przypomniało mi, jak to było, gdy świat dopiero się przede mną otwierał.

Jestem Wam ogromnie wdzięczna, że przeczytaliście tę książkę. Być może dla Was to zwyczajna powieść, ale dla mnie to jedna z tych cudownych rzeczy, które dzieją się po raz pierwszy: to moja pierwsza książka dla młodych czytelników. Potrzebowałam dwudziestu czterech długich lat, by znaleźć w sobie odwagę i ją napisać.

Julie Buxbaum

PODZIĘKOWANIA

Z sercem wypełnionym wdzięcznością i zawstydzająco szczerze chciałabym podziękować osobom, bez których ta książka stanowiłaby jedynie wielki zbiór przypadkowych słów zapisanych na przestarzałym twardym dysku.

Jenn Joel za to, że jest wspaniałą i nieugiętą agentką, mistrzynią w swoim fachu. Beverly Horowitz – za wnikliwe uwagi i popychanie mnie do działania, dzięki czemu z każdą kolejną wersją książka stawała się coraz lepsza. Cudownej, niedoścignionej Elaine Koster, za którą wszyscy okropnie tęsknimy. Susan Kamil, boskiej jak mało kto. The Fiction Writers Co-op – za śmiech i wsparcie oraz dotrzymanie mi towarzystwa podczas samotnego procesu pisania. Johnowi Foleyowi za nazwę księgarni „Book Out Below!”. Karen Zubieta – dziękuję Ci za pomoc w tym, żeby wszystko się jakoś kręciło. Klanowi Flore za przyjęcie mnie do klubu i możliwość korzystania z jego nazwy. Mammaji, która zrezygnowała z tyłu rzeczy, żebym mogła robić to, co kocham. Jestem Ci dozgonnie wdzięczna. Joshowi, dzięki któremu jestem sobą i ciągle się śmieję – jeśli chodzi o rodzeństwo, mogę śmiało powiedzieć, że wygrałam los na loterii. Tacie, ponieważ jest wspaniały. Mojej mamie Elizabeth, którą wszyscy kochają i wspominają codziennie, a której imię zbyt rzadko pada w rozmowach. I oczywiście mojemu mężowi Indy’emu i naszym urwisom: Elili i Luce – miłość to za słabe słowo. Czuję zaszczyt, że jesteście moją rodziną.

PRZYPISY

- [1] T.S. Eliot, *Ziemia jałowa*, tłum. Czesław Miłosz, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2004. Wszystkie cytaty z *Ziemi jałowej* zamieszczone w niniejszej książce pochodzą z tego wydania. Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki.
- [2] „US Weekly” – tabloid amerykański z plotkami na temat celebrytów.
- [3] *Crystal* to po angielsku kryształ, a *gem* – klejnot.
- [4] *Target* – popularna sieć supermarketów amerykańskich; *Goodwill* – sieć sklepów charytatywnych z używanym towarem pochodzącym z datków.
- [5] *Cialis* – lek na impotencję.
- [6] *California Practice Standards and Jurisprudence Examination for Pharmacists* – rodzaj obowiązującego w Kalifornii egzaminu uprawniającego do praktyki farmaceutycznej.
- [7] *Cosco* – sieć sklepów magazynowych w USA.
- [8] *Filthy Meter Maids* – dosł. sprośne strażniczki miejskie.
- [9] Aluzja do tytułu filmu *Look Out Below!* – dosł. Uwaga na to, co niżej.
- [10] W. Szekspir, *Hamlet*, akt 1, scena 3, przeł. M. Słomczyński.
- [11] W wolnym tłumaczeniu: *Dziewczyna, której nie zna nikt,/ Ta, która w nocy błyszczy jak tysiące gwiazd,/ Tak, ta dziewczyna jest moja, tylko moja, moja...*
- [12] *Próbowaliśmy, ja płakałem, ty się chowałaś, a potem zaczęliśmy wszystko od nowa. Wszystko od nowa.*
- [13] Nancy Drew – młodociana detektyw z serii książek dla młodych czytelników.
- [14] Jerry Seinfeld – amerykański komik, autor m.in. serialu komediowego *Comedians in Cars Getting Coffee*, w którym zaproszeni aktorzy udają się na kawę.
- [15] *Sage* – ang. mędrzec.
- [16] *Schlitz* – piwo amerykańskie.
- [17] *Slurpee* – mrożony napój gazowany sprzedawany w sieci 7-Eleven.
- [18] Aluzja do powieści *Wielkie nadzieje* Charlesa Dickensa.
- [19] Aluzja do powieści *Perswazje* Jane Austen.